

BESTSELLER NR 1 „THE SUNDAY TIMES”



Placz niemyymi łzami

To niemożliwe, żeby matka mogła tak znęcać się
nad własnym dzieckiem...
A jednak to zdarzyło się naprawdę.

JOE PETERS



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Placz
niemyymi łzami

JOE PETERS

Przekład
AGATA KOWALCZYK



Redakcja stylistyczna
Izabella Sieńko-Holewa

Korekta
Barbara Cywińska
Renata Kuk

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© itanistock/Alamy

Tytuł oryginału
Cry Silent Tears

Copyright © Joe Peters 2008

Original published in the English language
by HarperCollins Publishers Ltd. under the title
Cry Silent Tears
All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp.
z o.o.

ISBN 978-83-241-4331-3

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)



*Michelle, mojej bratniej
duszy, i piątce moich pięknych,
wyjątkowych dzieci: Darrenowi,
Liamowi, Kirście-Lei, Shannon
i Paige.*

*Kochani, dziękuję Wam za
miłość i wsparcie.*

Tata

Przeciąganie liny

Nigdy nie wątpiłem, że ojciec kochał mnie bardziej niż cokolwiek czy kogokolwiek na świecie i od kiedy tylko potrafiłem, całym sercem odwzajemniałem to uwielbienie. Ojciec był wysokim, przystojnym mężczyzną o wesołych

oczach. Lubiano go wszędzie, gdzie się pojawił, i czułem się przy nim jak król świata w każdej sekundzie, jaką spędzaliśmy razem. Byłem jego pierwszym dzieckiem, jego dumą i radością, i wiem, że byłem dla niego równie ważny, jak on dla mnie. „Mój mały Joe” – mawiał czule, sadzając mnie na kolanie i czochrając moje kasztanowe, kręcone włosy.

W prawie wszystkich wczesnych wspomnieniach stoję przytulony do jego długich nóg i oglądam świat spomiędzy nich albo siedzę w jego samochodzie, albo na trawiastym poboczu koło

auta i obserwuję go przy pracy. Pracował jako mechanik u pewnego Irlandczyka o imieniu Graeme, który miał warsztat samochodowy w Norwich. Tata zaczynał u niego jeszcze jako praktykant, zaraz po szkole. Cała rodzina Graeme'a traktowała go, jakby był ich synem, a tata stukrotnie odwdzięczał im się za tę wiarę w niego. Stopniowo zasłużył sobie na coraz większe zaufanie i dostawał coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Aż w końcu właściwie kierował warsztatem, kiedy Graeme'a nie było na miejscu, i wszyscy ogromnie go cenili. Urok taty

działał tak na każdego, a ja grzałem się w tym blasku, kiedy byłem przy nim. W pobliżu taty czułem się bezpieczny i szczęśliwy.

Za to matka mnie przerażała. Była prawie tak wysoka jak ojciec, miała kruczoczarne włosy i wiecznie gniewną minę. Wydawało mi się, że cały czas jest o coś zła, a przede wszystkim wściekała się na tatę i na mnie. Moi trzej starsi bracia, dzieci z jej pierwszego małżeństwa, mogli robić, co chcieli, ale jeśli ja byłem w pobliżu, matka napadała na mnie – biła po głowie, kopała, popychała. Wyzywała mnie

słowami, których nie rozumiałem, i wrzeszczała, aż przerażony kulilem się w kącie.

Ojciec wiedział o jej gwałtownym charakterze i nienawiści do mnie, dlatego pilnował mnie od świtu do zmierzchu. Chodziłem wszędzie tam gdzie on. Kiedy byłem małym szkrabem, praktycznie nie spuszczał ze mnie oka. Zabierał mnie ze sobą nie tylko do pracy, ale nawet do toalety. A mnie nie trzeba było szczególnie zachęcać – chciałem być tak blisko niego, jak to możliwe. Łączyła nas wyjątkowa więź i tata z przyjemnością spełniał

każdą moją zachciankę. Miałem ochotę na płatki z miodem? Proszę bardzo, kupował mi pudełko dziennie i pozwalał schrupać wszystkie. Matka dostawała szału, kiedy dowiadywała się o takich rzeczach.

– Rozpuszczasz go! – krzyczała. – I podważasz mój autorytet, kiedy mu mówię, że nie może czegoś mieć!

– Może mieć, co chce – odpowiadał ojciec tonem, który ucinał dyskusję.

We wczesnym dzieciństwie nie miałem pojęcia, dlaczego toczy się ta nieustająca, zaciekła bitwa

o mnie, ale dopóki mogłem być z tatą, nie przeszkadzało mi to. A kiedy zaczęliśmy pomieszkiwać w domu jego przyjaciółki Marie, zamiast z matką, byłem jeszcze szczęśliwszy. Marie miała długie, rudawe włosy, była ładna, miła i zawsze bardzo dobra dla mnie. Podobało mi się, jak ze mną rozmawiała, jak w prosty sposób wyjaśniała mi różne rzeczy i zawsze liczyła się z moimi uczuciami. Przez te lata, kiedy ją znałem, chyba nigdy nie podniosła głosu. Ale kiedy mieszkaliśmy u Marie, matka robiła się jeszcze bardziej wściekła i przychodziła

o każdej porze dnia i nocy, próbując zmusić ojca, żeby mnie oddał. Przerażało mnie to i przyczepiałem się do niego jak pijawka, kiedy ci dwoje krzyczeli na siebie.

Któregoś dnia, kiedy miałem cztery lata, tata z jakiegoś powodu nie mógł zabrać mnie ze sobą do pracy, więc zostawił mnie u swojej siostry Melissy, z przykazaniem, żeby pod żadnym pozorem nie oddawała mnie matce. Ale matka jakimś cudem dowiedziała się, gdzie jestem, zjawiała się u ciotki i uparła się, że zabierze mnie ze sobą do domu. Melissa dzielnie

walczyła, ale matka nie odpuszczała. A ja stałem w korytarzu i trząsałem się, słuchając, jak wrzeszczą na siebie i obrzucają się obelgami.

– Kurwa! To nie twoje dziecko! – darła się matka. – Zadzwońię po policję i każę cię zamknąć za porwanie, ty pieprzona krowo!

– Nie nadajesz się na matkę! – odgryzła się Melissa. – Popatrz na siebie, jesteś urżnięta już o jedenastej rano! Zobaczymy, co policja na to powie!

Przycisnąłem dłonie do uszu, żeby odciąć się od tych wrzasków,

ale zanim się obejrzałem, matka złapała mnie za rękę i wyciągnęła na ulicę.

– Ty suko! – krzyczała Melissa, ale pozwoliła mi zabrać. Może wiedziała, że nie ma wyjścia, bo nie jest moją matką.

– Nie, mamó, nie! – wrzeszczałem głośno, przerażony, kiedy matka ciągnęła mnie ulicą. Wiedziałem, że mnie ukarze, chociaż nie miałem pojęcia za co.

Gdy tylko znaleźliśmy się w domu matki, uderzyła mnie pięścią w twarz. Poleciałem na podłogę. Chwyliła mnie za włosy, żeby postawić na nogi, i zaczęła

z furia ą okładać po twarzy i całym ciele. Wrzeszczałem ile sił w płucach, wykręcałem się, ale nie mogłem obronić się przed ciosami, którymi mnie zasypywała.

– Zamknij się, ty mały gnoju – syknęła. Trzymając za włosy, poderwała mnie z podłogi i zakręciła mną w powietrzu, aż nogi obić mi się o ścianę. Kiedy mnie puściła, osunąłem się na podłogę, oszołomiony i półprzytomny po tym biciu.

Ale ona jeszcze nie skończyła. Rozejrzała się po pokoju. Szukała czegoś, czym mogłaby wymierzyć karę, która utkwiałaby mi w pamięci.

Jej wzrok padł na żelazko stojące na desce. Widocznie prasowała, kiedy ktoś zadzwonił do niej, że jestem u Melissy i, wychodząc w pośpiechu z domu, nie wyłączyła żelazka. Chwyciła mnie za rękę i powlokła przez pokój, a potem przycisnęła mi dłoń do rozgrzanego metalu, aż zaskwierczało. Wrzeszczałem bez opamiętania z szoku i niewyobrażalnego bólu, jakiego nie czułem nigdy w życiu.

– Jesteś rozwydrzonym gnojkiem! – rzuciła jadowicie matka. – I już nigdy nie zobaczysz swojego pieprzonego tatusia.

Pchnęła mnie. Osunąłem się na

podłogę. Szlochałem i ścisnąłem przypaloną, pulsującą z bólu dłoń. Byłem przerażony. Naprawdę urządzi wszystko tak, żebym już nigdy nie zobaczył taty?

– Tato... – chlipałem. – Tato, ratuj.

Kiedy matka porwała mnie z domu ciotki, spanikowana Melissa zadzwoniła do ojca, żeby powiedzieć, co się stało. Rzucił narzędzia w warsztacie i przybiegł natychmiast, ale kiedy dotarł do domu, zastał mnie płaczącego histerycznie, z podbitym okiem i czerwoną, poparzoną dłonią. Kiedy tylko go zobaczyłem,

czmychnąłem za jego nogi, obejmując je kurczowo zdrową ręką i trzęsąc się ze strachu. Byle tylko znaleźć się dalej od matki.

– I zobacz, co mu robisz! – krzyknął ojciec. – Boi się własnej matki jak ognia!

– To nie ja mu robię! To ty! – odwrzasnęła. – Ty i ta twoja dziwka! Nastawiliście go przeciwko mnie!

– Co on sobie zrobił w rękę, do cholery? – spytał gniewnie tata. Patrzył z przerażeniem na jaskrawoczerwoną, pokrytą pęcherzami skórę.

– Och, dotknął żelazka –

skłamała matka. – Rozrabiał jak zwykle.

– A te siniaki na twarzy?

– Przewrócił się.

– Zabierz mnie stąd, tatusiu – błagałem. – Proszę cię.

Matka chwyciła mnie za jedną rękę, więc ojciec szybko złapał za drugą i zaczęli mnie ciągnąć, jak psy walczące o kość. Ciągnęli tak mocno, że myślałem, że za chwilę ramiona wyskoczą mi ze stawów. W końcu ojciec wyszedł z siebie ze złości i uderzył matkę pięścią, żeby mnie puściła. Kiedy rozluźniła chwyt, porwał mnie na ręce i wybiegł z domu. Tulił mnie do

siebie tak mocno, jakby miał już nigdy nie puścić. A ja tylko krzychałem i szlochałem histerycznie. Zapakował mnie do swojego forda capri i zawiózł na izbę przyjęć w szpitalu, żeby opatrzyli mi rany.

Pamiętam, że nie mogłem przestać się trząść, nawet kiedy pielęgniarki podały mi środek przeciwbólowy. Chyba byłem w szoku.

– Koniec – powiedział tata ponurym tonem do Marie, kiedy wróciliśmy do jej bezpiecznego domu. – Nie zostawię go więcej z nikim innym. Ani z tobą, ani

z Melissą, z nikiem. Od tej pory wszędzie chodzi ze mną.

Poczułem ogromną ulgę. Tata się mną zaopiekuje. Nie dopuści do mnie mamy. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Niedługo po tym wszystkim Marie usiadła ze mną i próbowała wyjaśnić, skąd biorą się problemy między mamą i tatą. Przede wszystkim powiedziała, że Lesley, moja matka, pochodziła z bardzo surowej rodziny. Dziadek był wojskowym, a babka, która pracowała w fabryce, trzymała

w domu żelazną dyscyplinę. Widocznie matka uważała, że bicie i zastraszanie dzieci to normalna rzecz. Może sądziła, że wszystkie dzieci są tak wychowywane.

Słuchałem Marie i przypominałem sobie wizyty ze starszymi braćmi w domu babki. Bardziej przypominało to musztrę wojskową niż rodzinną wizytę. Wszystko było zakazane i za wszystko można było oberwać. Jeśli któryś z nas choćby drgnął, łamał taką czy inną zasadę i karano go krzykiem albo kłapsem. Z czasem moja matka coraz częściej i chętniej stosowała przemoc.

Została jej ona wszczepiona przez babkę, która nieraz sprawiła lanie własnej córce.

Nie pamiętam, w jaki sposób Marie wyjaśniła czterolatкови skomplikowane relacje między moimi rodzicami a nią samą. Może powiedziała po prostu: „Twoja mama jest zła, bo tata chce mieszkać ze mną, a nie z nią”. Ale z upływem lat posklejałem sobie ich historię ze strzępów informacji, które zasłyszałem tu i tam.

Matka jeszcze jako nastolatka wyszła za swoją szkolną sympatię. Została zmuszona do małżeństwa przez rodzinę, kiedy zaszła w ciążę.

Wally był pierwszym z trójki dzieci młodej pary, a w ciągu paru lat przyszło na świat jeszcze dwóch chłopców, Larry i Barry. Kiedy Lesley zaczęła już rodzić dzieci, stała się gospodynią domową na pełny etat i zajęcie to szybko stało się raczej obsesją niż stylem życia. Jej dom był zawsze utrzymywany w nieskazitelnym stanie i biada każdemu, kto upuścił choćby paproch na dywan.

Z tego, co słyszałem, małżeństwo było dość udane od samego początku, choć dzieci wychowywane były równie srogo, jak babka wychowywała moją

matkę. Ale śmierć czwartego dziecka podczas porodu sprawiła, że Lesley i jej mąż oddalili się od siebie. Od tej chwili ich małżeństwo zaczęło się szybko rozpadać i zakończyło się rozwodem. Lesley została sama z trójką dzieci na wychowaniu, zła i wrogo nastawiona do całego świata.

Właśnie wtedy zaczęła pić na całego, by stłumić ból po stracie dziecka, aż w końcu ojciec chłopców zniknął z ich życia na dobre. Ale problem z piciem jest taki, że choć alkohol pomaga złagodzić ból, to podsyca gniew, który tli się w ukryciu. A Lesley

miała w sobie całe mnóstwo złości, która tylko czekała na podpałkę. W alkohol wsiąkają też wszelkie pieniądze, jakie są w rodzinie, przez co te same problemy, od których próbujesz uciec dzięki picciu, rozrastają się jeszcze bardziej.

Lesley nie miała najmniejszego zamiaru siedzieć jak więzień w domu. Zaczęła chodzić do pubów i na imprezy. Ostatecznie ciągle była młodą kobietą – miała dwadzieścia parę lat – i chciała się trochę zabawić. Niedługo po rozwodzie poszła na przyjęcie, które wydała Marie, jej dawna

szkolna przyjaciółka, z okazji rocznicy swojego ślubu z Frankiem. Lesley była żywiołową, atrakcyjną dziewczyną i tego wieczoru miała zamiar się dobrze bawić. Na przyjęciu poznała mojego ojca, Williama, przyjaciela Frankiego i Marie. William nie był z nikim związany i wydawało się, że zainteresował się Lesley. Matka nie wiedziała wtedy, że Marie i William byli w sobie zakochani, ale ukrywali się z tym, bo żadne z nich nie chciało zdradzić Frankiego, którego William uważał za swojego najlepszego przyjaciela. Lesley, przekonana, że po prostu

świetnie się bawi, tak naprawdę pchała się na oślepa w miłosny trójkąt, który był już o włos od wybuchu.

Z Williama był podobno niezły czaruś, który potrafił rozruszać całe towarzystwo. Tego wieczoru mógł przebierać w kobietach, ale był zakochany w Marie i nosił się z myślą, czy jednak nie odbić jej kumpłowi. Najpierw oczywiście musiał się upewnić, że Marie odwzajemnia jego uczucia i jest równie chętna, jak on.

Przyglądał im się wtedy, jak świętowali rocznicę ślubu, i poczuł się odrzucony. Chciał wzbudzić

zazdrość Marie. Postanowił uwieść Lesley, która prawdopodobnie wypła już dość, by wyglądać na obiecującą zdobycz. Miał chyba nadzieję, że Marie – kiedy zobaczy jego zainteresowanie przyjaciółką – zda sobie sprawę z tego, jak bardzo go kocha, i zdecyduje się zostawić Frankiego. Taka gra nie mogła się skończyć dobrze, ale przecież ludzie rzadko kiedy zastanawiają się nad konsekwencjami, gdy są młodzi i wypiją parę drinków na imprezie. Być może flirt między Williamem a Lesley zaczął się zupełnie niewinnie, od wygłupów na parkiecie, ale jedno

doprowadziło do drugiego i miesiąc czy dwa później moja matka zorientowała się, że jest w ciąży.

Nie sędzę, by tata kiedykolwiek czuł coś do matki, bo zawsze kochał wyłącznie Marie, nawet w noc mojego poczęcia. Był jednak przyzwoitym człowiekiem i kiedy się dowiedział, że dziewczyna, z którą spędził noc, jest w ciąży, uznał, że ślub to jedyne honorowe wyjście. Jego zapał trochę przygasł, kiedy się dowiedział, że Lesley ma już troje dzieci z pierwszego małżeństwa – o czym nie wspomniała, gdy

poznali się na przyjęciu – ale pochodziła z katolickiej rodziny i ojciec zdawał sobie sprawę, że wyglądałoby to fatalnie, gdyby nie założył obrączki na jej palec. Tyle że fakt, że był skłonny poślubić Lesley, nie zmienił jego uczuć do Marie. A plan, by podsycić jej zainteresowanie i wzbudzić zazdrość, zadziałał. Marie zdecydowała się wreszcie na romans z moim ojcem, choć tata oficjalnie zaręczył się z jej przyjaciółką i wciąż był przyjacielem jej męża. Więc jeszcze zanim wyjrzałem z matczynego brzucha, moje życie

było potencjalnym polem bitwy. I cokolwiek stałoby się później, mało prawdopodobne, by ta trójka mogła być szczęśliwa.

Namiętność sprawiła wreszcie, że tata i Marie zapomnieli o ostrożności i któregoś dnia Frankie wrócił niespodziewanie do domu i zastał swoją żonę i przyjaciela razem w łóżku. Nie wiedział, co powiedzieć zdradzieckiej parze, więc zawrócił na pięcie i wyszedł z sypialni bez słowa. Ojciec, przerażony i zawstydzony, szybko włożył spodnie i pobiegł za nim, ale było już za późno na ratowanie

przyjaźni. Zaczęli się kłócić, aż w końcu pobili się na ulicy. A kiedy Frankie wreszcie wrócił do domu, resztę gniewu wyładował na Marie. Tego dnia pełnego zdrady i przemocy ich małżeństwo rozpadło się z hukiem. Ojciec, wściekły, że ktoś ośmielił się uderzyć jego ukochaną, znów poszedł szukać Frankiego. Teraz już wszyscy usłyszeli, co się dzieje, włącznie z Lesley. Ale dla niej nie było już odwrotu – miała dziecko w drodze i męża, który wdał się w romans z jej najlepszą przyjaciółką. Została publicznie upokorzona i była z tego powodu

naprawdę wściekła.

Kiedy urodziłem się w 1973 roku, Frankie zdążył już zniknąć na dobre, a ojciec biegał w tę i z powrotem między Lesley, matką jego uwielbianego pierwszego syna, a Marie, miłością swojego życia. A ja? Urodziłem się w beczce prochu i byłem iskrą, która wysadziła wszystko w powietrze. I zniszczyła raz na zawsze. Gdybym nie został poczęty, ojciec z pewnością nigdy nie ożeniłby się z matką. Zeszliby się z Marie i pewnie oboje byłiby bardzo szczęśliwi. Ale pojawiłem się na świecie i to wszystko

zmieniło.

Pole bitwy

Warsztat, w którym pracował ojciec, był małym zakładem w bocznej ulicy – raptem dwa stanowiska z podnośnikami, na których windowało się samochody, kiedy mechanicy potrzebowali dostać się pod spód; do tego

obskurne biuro i poczekalnia dla klientów obok hali. Ściany umazane były oleistymi odciskami dłoni. Uwielbiałem odgłosy i zapach tego miejsca, kiedy wszyscy zajmowali się pracą. Jeśli samochodów nie trzeba było stawiać na podnośniku, tata czasami naprawiał je na dworze, na trawiastym poboczu przy drodze, gdzie Graeme trzymał kilka starych gratów, wypucowanych i ustawionych w rzędzie na sprzedaż po okazyjnych cenach. Tata lubił pracować na świeżym powietrzu i ja też to wolałem – byliśmy tylko my dwaj, samochody i świat, który

przesuwał mi się przed oczami.

Zawsze go pytałem, czy mogę mieć usmarowaną twarz jak on. I piszczałem z zachwytu, kiedy przeciągał palcami po brudnym silniku, a potem smolił mi nos i policzki, jakby namaszczał mnie na członka jakiegoś tajnego masońskiego klubu mechaników. Jeśli pracował pod samochodem, wsadzał mnie do swojego capri, które stało zaparkowane po drugiej stronie podjazdu. Kazał mi siedzieć w samochodzie i bawić się, dopóki nie skończy. Ale kiedy pracował przy silniku od góry, przysuwał wysoki stołek, sadzał mnie koło

siebie i pozwalał grzebać pod maską. Często bardziej mu przeszkadzałem, niż pomagałem, ale nigdy się nie złościł, kiedy coś popsułem, zawsze żartował i mnie rozśmieszał.

Domyślałam się, że tak bardzo lubił chodzić do pracy dlatego, że odrywało go to od codziennych kłopotów. Żaden mężczyzna, który usiłuje zadowolić dwie kobiety jednocześnie, nie będzie miał łatwo z żadną z nich, choćby był najbardziej czarujący na świecie. Oczywiście sam się tak urządził, ale przez to nie było mu ani trochę łatwiej radzić sobie z tym na co

dzień. Żarty z kolegami z pracy musiały być dla niego wypoczynkiem w porównaniu z tym, co się działo w domu.

W tamtych czasach już chyba nic nie zdołałoby uczynić z matki osoby łatwej we współżyciu. Jeśli była wściekła na świat po utracie dziecka i rozpadzie pierwszego małżeństwa, to teraz wściekała się jeszcze bardziej, wiedząc, że jej obecny mąż otwarcie sypia z jej najlepszą przyjaciółką i jasno daje do zrozumienia, że woli towarzystwo kochanki. Ojciec raczej nie ukrywał uczuć do Marie i matce na pewno trudno było to

znosić. Ale też wątpię, znając jej temperament, żeby jakoś szczególnie się starała wkupić w jego łaski. Zawsze trudno jest się zorientować, co się dzieje w czyimś związku. A ja z pewnością byłem za mały, żeby zrozumieć cokolwiek z tego emocjonalnego tornada szalejącego wokół mnie przez pierwsze pięć lat mojego życia. Wiedziałem tylko, że tata jest moim obrońcą, podczas gdy mama spuszczała mi manto bez powodu, jeśli tylko mnie nie pilnował. Może moi starsi bracia doświadczali takiego samego „wychowania”, kiedy byli mali, ale

wtedy taty jeszcze nie było w ich życiu i nie mógł dla nich nic zrobić. To nie oni byli jego problemem. Główną troską taty było, jak ochronić mnie przed gniewem matki. I robił to, trzymając mnie przy sobie przez cały czas.

Ponieważ zawsze byliśmy razem i ojciec nigdy nie robił tajemnicy z tego, jak bardzo mnie kocha, matka zaczęła mnie traktować, jakbym był tatą. Widziała we mnie członka spisku przeciwko niej; wroga, który należał do obozu ojca i Marie, element swojej upokarzającej sytuacji. Wiedziała, że jestem dla

ojca największym skarbem, i wykorzystywała mnie przeciw tacie, kiedy tylko miała okazję. Pewnego dnia, gdy byłem jeszcze niemowlakiem, złapała mnie za nogę i dyndała mną z okna na piętrze. Ojciec właśnie wypadł z domu po awanturze, a ona krzyknęła za nim przez okno:

– To nie chcesz tego gnojka?

Ojciec wpadł w panikę, widząc, że wiszę głową w dół cztery i pół metra nad chodnikiem, i pobiegł z powrotem. Wybił kopniakiem frontowe drzwi i popędził na górę, żeby mnie ratować. Pewnie zdawał sobie

sprawę, że w takiej chwili matka jest zdolna naprawdę upuścić mnie z okna. Zanim wpadł do pokoju, już podciągnęła mnie w bezpieczne miejsce, bo osiągnęła dokładnie to, czego chciała. O ile wiem, potem była dzika kłótnia, z której ona wyszła ze spuchniętą wargą, a on z dwojgiem podbitych oczu. Mówił, że nigdy przedtem nie podniósł ręki na kobietę, ale ona przeciągnęła strunę, ryzykując w taki sposób moje życie. Wyszedł z domu, tuląc mnie do piersi, i przysiągł sobie, że już nigdy nie zostawi mnie z nią samego.

Po tym wszystkim matka

zadzwoiła na policj. Oskarżyła ojca, że mnie porwał, i poprosiła o pomoc w odzyskaniu dziecka. Potrafiła świetnie kłamać, kiedy rozmawiała z policjantami. A z posiniaczoną twarzą pewnie bez kłopotu przekonała ich, że to ona – porządna i obowiązkowa matka, której leży na sercu dobro dziecka – jest pokrzywdzona, podczas gdy ojciec to gwałtownik i kobieciarz nie powinno mu się powierzać opieki nad dzieckiem. Bijąc ją i zabierając mnie, niechcący dał matce atut do ręki – wyszła przez to wszystko na niewinną ofiarę brutalnego męża. Policja nakazała

oddać mnie matce, co oznaczało, że ojciec też musiał wrócić, jeśli nie chciał mnie z nią zostawić. To musiał być dla niego trudny wybór i z pewnością znienawidził matkę jeszcze bardziej za to, że przyparła go do muru.

Z punktu widzenia matki, oczywiście, ten szantaż, który miał zmusić ojca do rezygnacji z Marie, chwilowo się opłacił. Tata miał świadomość, że będę potrzebował ochrony przed złością matki i nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić do domu. Matka postawiła wszystko na jedną kartę, licząc, że ojca bardziej przerazi perspektywa

utraty syna niż Marie. I wygrała, choć nie na długo. Ojciec musiał się czuć rozdarty; nie umiał zrezygnować ani ze mnie, ani z Marie, ale nieustannie bał się, co może zrobić matka. Chociaż zamieszkał z powrotem w domu, i tak bał się zostawiać mnie z nią w jednym pomieszczeniu. Wszędzie zabierał mnie ze sobą – przede wszystkim do pracy, ale też do Marie, kiedy nie mógł się już oprzeć pokusie, by z nią być.

Matka szybko się zorientowała, że jej plan nie zadziałał i że tata nie potrafi trzymać się z daleka od Marie, jeśli

tylko wie, że mnie nic nie grozi. Z pewnością dostawała szału na myśl, że jej mąż woli kochankę. A we mnie widziała jego współnika, jeszcze jednego wroga, choć byłem za mały, by rozumieć, co się dzieje między dorosłymi obecnymi w moim życiu.

Mimo wybuchowej natury związku moich rodziców, a może właśnie dzięki niej, chwilami dogadywali się na tyle dobrze, że matka zaszła w ciążę jeszcze dwa razy i osiemnaście miesięcy po mnie urodziła córeczkę, Ellie, a potem chłopca, Thomasa, który był prawie trzy lata młodszy ode

mnie. Widocznie w ich małżeństwie oprócz całego tego gniewu musiało być trochę namiętności, skoro między nieustannymi bitwami mimo wszystko powiększali rodzinę.

Od dnia swoich narodzin Ellie stała się ulubienicą matki, jej małym aniołkiem – matka jakoś nigdy nie krzywdziła jej tak jak mnie. Thomasa traktowała źle, ale nie czuła do niego aż takiej nienawiści i pogardy, jakie czuła do mnie. Jakaś wypaczona logika kazała jej obwiniać o występki ojca mnie, ale już nie tę dwójkę. Może dlatego, że byłem do niego taki podobny.

Ludzie, którzy znali naszą rodzinę w tamtych czasach, opowiadali mi, że ojciec nigdy nie miał takiej obsesji na punkcie mojego rodzeństwa jak na moim. Może wiedział, że dla nich matka nie jest aż tak niebezpieczna. Może wyczuwał, że jej niechęć przekracza wszelkie racjonalne normy, tylko jeśli chodziło mnie. Może celowo trzymał pozostałą dwójkę dzieci na dystans, w nadziei że Lesley zwiąże się z nimi mocniej, jeśli nie będzie ich kojarzyła z nim i Marie. A może po prostu lubił mnie mieć przy sobie, bo byłem trochę starszy i kochałem

go bez reszty. Kiedy już miał chłopca, który był jego nieodłącznym towarzyszem, może nie potrzebował nikogo więcej. Nie mam pojęcia, co myślał i czuł przez pierwsze lata mojego życia. Wiem tylko, że był moim bohaterem, kumpłem i obrońcą.

Niedługo po narodzinach Thomasa matka i ojciec postanowili naprawić swoje małżeństwo raz na zawsze. Tata niechętnie rozstał się z Marie i wrócił do domu, by spróbować być ojcem dla całej naszej szóstki; łącznie z trójką pasierbów. Ale wciąż nie spuszczał mnie z oka ani

na chwilę. Przerażony tym, że matka w każdej chwili może mi spuścić lanie, Ignąłem do niego coraz bardziej. A im bardziej go nie odstępowałem, tym bardziej matka złościła się na mnie. Jej nienawiść zdawała się narastać z każdym dniem. Próba pogodzenia się spaliła na panewce i kiedy miałem cztery lata, ojciec i ja właściwie na stałe mieszkaliśmy już u Marie. Rozpaczliwe próby matki, by utrzymać drugie małżeństwo, nic nie dały. Traciła Williama na dobre. Ojciec wystąpił o rozwód, a ona mogła tylko pomstować na nas przed każdym, kto chciał

słuchać. Wydaje mi się, że sporo osób jej współczuło, bo przecież to ona została porzucona. Ale każdy, kto wiedział, jaka jest za drzwiami własnego domu, raczej nie był zaskoczony, że ojciec wybrał Marie.

Tata postanowił zrobić wszystko, żeby nie oddać mnie w jej łapy, więc wniósł sprawę o przyznanie opieki i zeznał w sądzie, że Lesley jest dla mnie złą matką i że groziłoby mi niebezpieczeństwo, gdyby mnie z nią zostawił. Były przesłuchania, dyskusje z opieką społeczną, a siostra ojca, Melissa,

powiedziała mi nawet później, że sama zaczynała wierzyć, że ojciec jest nadopiekuńczy i dostał obsesji na moim punkcie. Nikt z zewnątrz nie miał pojęcia, jak naprawdę traktuje mnie własna matka.

W pewnym momencie ich stosunki tak się pogorszyły, że ojciec zaczął wierzyć, że Thomas nie jest jego synem. Chyba nie miał racji, ale widocznie ktoś mu powiedział, że widział matkę z jakimś innym mężczyzną. A kiedy tata już raz nabrał podejrzeń, nie potrafił się ich pozbyć. Może podświadomie chciał, żeby Lesley go zdradzała, bo wtedy nie miałby

takiego poczucia winy przez swój romans z Marie. A może myślał, że Thomas będzie bezpieczniejszy, gdyby się okazało, że jest synem kogoś innego. Może wtedy matka by się na nim nie mściła.

Marie musiała być bardzo zakochana w ojcu, skoro znosiła to wszystko i ciągle przyjmowała go z powrotem, nawet kiedy zafundował żonie jeszcze dwójkę dzieci. Gdy wrócił do Marie na dobre, obiecał, że się rozwiedzie. Rzekomo pod pretekstem zdrady Lesley, chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołałby to udowodnić. Marie powiedziała mi

bardzo ucieszona, że ona i tata niedługo wezmą ślub i zostaniemy szczęśliwą rodziną. Byłem zachwycony i nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie to załatwią, ale dla wszystkich zainteresowanych dorosłych musiał to być bolesny i burzliwy czas.

Niedługo potem Marie też zaszła w ciążę. Dodała w ten sposób jeszcze jeden powód do gniewu i goryczy do wszystkich poprzednich, które matka hodowała w głowie. Ta ostatnia zniewaga przebrała miarkę i Lesley wyruszyła szukać Marie. Planowała zemstę jak jakiś dziwaczny

rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Kiedy znalazła kochankę ojca, pobiła ją okrutnie, wkładając w ciosy całą swoją nienawiść. Trudno byłoby przecenić siłę mojej matki, kiedy traciła panowanie nad sobą; w tamtych czasach była jeszcze szczupła, ale przy jej wzroście nikt nie był dla niej godnym przeciwnikiem, kiedy się wściekła. W oczach nas, dzieci, narażonych na jej ciosy, wydawała się opętana przez demony.

Po tym jak Lesley ją pobiła, Marie zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa; bała się wchodzić matce w drogę i wołała nie wkurzać jej

bardziej niż to konieczne. Czasem, kiedy byłem z Marie, myliłem się i nazywałem ją „mama”. Bo dla mnie była mama – miała w sobie o wiele więcej macierzyńskich uczuć niż kobieta, która wydała mnie na świat. Ale Marie poprawiała mnie szybko i kazała się nazywać „ciocią Marie”, przerażona, że jeśli matka się dowie, oszaleje już do reszty i uzna, że Marie oprócz męża próbuje jej ukraść także dziecko. Bo choć matka wcale mnie nie chciała, to nie miała najmniejszego zamiaru dać Marie tej satysfakcji, że dostanie także i mnie.

Kiedy tata i Marie czekali, aż prawny młyn przemieli wreszcie sprawę rozwodową, Marie zmieniła nazwisko na Peters, żebyśmy bardziej przypominali rodzinę. Zaczęła nawet nosić obrączkę, bo w tamtych czasach i w tamtym środowisku niezamężne matki wciąż były naznaczone w oczach wielu ludzi.

Ale cień matki i jej dzikiej, gwałtownej natury wciąż wisiał nad tatą i Marie. Każde z nich przeżywało stres na swój sposób, wiecznie oglądając się przez ramię, wiecznie spodziewając się, że Lesley zaatakuje lada moment, że

zacznie rzucać obelgi i wymachiwać pięściami. Ja i moje młodsze rodzeństwo byliśmy ogniwami łańcucha, na którym ojciec był uwiązany już na zawsze, i przez który nie mógł uciec od swojego głupiego, młodzieńczego romansu.

Pewnego dnia matka zadzwoniła, by powiedzieć, że Thomas, który nie miał jeszcze dwóch lat, został zabrany do szpitala z poparzeniami. W tamtym czasie tata widocznie pogodził się już z faktem, że Thomas jest jego synem, bo popędził prosto do szpitala. Thomas został przyjęty na

oddział intensywnej terapii z poparzeniami na całej połowie ciała, od głowy do pasa.

– Na kuchence stał garnek z wrzątkiem – powiedziała matka, kiedy ojciec zapytał ją, co się stało. – Thomas siedział na podłodze. Larry się pośliznął i strącił garnek prosto na niego.

Wątpiłem, czy tata uwierzył w tę historyjkę, choć pewnie opowiadała ją bardzo przekonująco. Ale nie mógł jej udowodnić kłamstwa. Dopiero później mój najstarszy brat przyrodni, Wally, powiedział, jak to się stało. Thomas nie przestawał

płakać, więc matka w przyпадку złości wrzuciła go do wanny z gorącą wodą. Jakakolwiek była prawda, Thomasowi zostały straszne blizny i przez kolejne lata przeszedł liczne przeszczepy skóry. Ojciec był wystarczająco wściekły nawet po tym, jak usłyszał wersję matki, i pytał ją, dlaczego nie pilnowała uważniej tak małego dziecka. Kiedy poznał wersję Wally'ego, natychmiast zabrał Ellie, żeby mieszkała z nami u Marie; Thomas leżał jeszcze w szpitalu i walczył o życie. Tata może i nie czuł się tak mocno związany z Ellie i Thomasem jak ze

mną, ale przecież nie zostawiłby ich na łasce kobiety, która była zdolna zrobić coś takiego bezbronnemu, małemu dziecku.

Ale matka nie zamierzała mu pozwolić, by zabrał jej ukochaną Ellie. Ciągłe przychodziła do domu Marie – łomotała do drzwi, klęła, domagała się oddania dzieci i rzucała się na ojca i Marie z pięściami, kiedy tylko miała okazję. Wzywała też pracowników opieki społecznej i przekonywała ich, że powinni pozwolić jej zatrzymać dzieci, a nie oddawać je dziwce jej męża. Nie było mowy, żeby dała sobie spokój, więc

ostatecznie ojciec musiał pójść na kompromis i pozwolił jej zabrać Ellie, bo matka nigdy nie zrobiła jej krzywdy. Kiedy Thomasa wypuścili wreszcie ze szpitala, matka i jego zabrała do domu, a tata nie mógł nic na to poradzić. Ale mnie nie zamierzał oddać. Przez jakiś czas wydawało się, że matka się tym zadowoli i przestanie o mnie walczyć, ale nie trwało to długo.

Wtedy, kiedy zabrała mnie od ciotki Melissy, zaciągnęła do domu i przypaliła rękę żelazkiem, ojciec zgłosił to opiece społecznej i urzędnicy przyszli do matki na rozmowę. Ale ona znów zdołała ich

przekonać, że to ojciec jest agresywny, nie ona. Mogła im nawet pokazać siniaki, które nabił jej, kiedy o mnie walczyli. Potrafiła być naprawdę przekonująca, jeśli tylko chciała. Zupełnie jakby siedziały w niej dwie osoby – ta, która pokazywała światu słodki uśmiech, i potwór, który wyskakiwał z niej, kiedy tylko zamykały się drzwi. Okazywała się genialną aktorką, jeśli trzeba było kogoś przekonać – nauczycieli czy pracowników socjalnych – że jest wspaniałą matką, która dzielnie boryka się z samotnym wychowywaniem dzieci. Przed

takimi ludźmi grała zawodowo, a każdy, kto znał ją lepiej, za bardzo się jej bał, żeby zaprzeczać jej słowom. Nikt nie zerwał z niej tej szacownej maski.

Tak więc byłem z ojcem zawsze i wszędzie i absolutnie mi to nie przeszkadzało. A jego pracodawcy z wielką wyrozumiałością godzili się na moją obecność w warsztacie, nawet kiedy nabroiłem – tak jak tego dnia, kiedy spuściłem ręczny hamulec capri, w którym tata zamknął mnie, żebym się pobawił. Doskonale pamiętam jego przerażoną minę, kiedy samochód zaczął się powoli

staczać w stronę głównej ulicy. Ojciec rozpaczliwie próbował go zatrzymać, krzyczał do mnie, żebym odblokował drzwi, by mógł wsiąść. A ja zanosilem się ze śmiechu, zachwycony, że wzbudzam tyle uwagi, i radośnie podskakiwałem na siedzeniu. Miałem wtedy ze trzy... może cztery lata.

— Grzeczny chłopak! — krzyczał tata. — Otwórz drzwi! Otwórz drzwi!

Dopiero kiedy znaleźliśmy się na ulicy, zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ale wtedy było już za późno i samochód jechał zbyt szybko, żeby ojciec mógł do

niego wskoczyć, nawet gdybym
zdążył otworzyć drzwi. Ludzie
wiali na wszystkie strony, słysząc
krzyki taty, który dosłownie wisiał
na zderzaku. Na szczęście udało
nam się przeciąć ulicę bez
zderzenia z jakimś samochodem czy
rozjechania pieszego. W końcu
zatrzymał nas mur z żywopłotem.
Uderzenie wyrzuciło mnie do
przodu i huknąłem głową o deskę
rozdzielczą. Ojciec nie chciał mnie
zostawiać, żeby biec po kluczyki,
a ja, mocno oszołomiony, wciąż nie
otwierałem drzwi, więc w końcu
rozbił szybę i sam odblokował
zamek. Kiedy wreszcie wyciągnął

mnie z auta, uściskał mnie tak mocno, że ledwie mogłem oddychać. Płakał z szoku po całym tym zdarzeniu i nie powiedział mi złego słowa. Prawdopodobnie zawsze był dla mnie bardziej pobłażliwy, niż powinien, ale ja z pewnością na to nie narzekałem.

Nikt w warsztacie nie miał nic przeciwko mojej obecności – ojciec pracował tam od tak dawna, że był praktycznie szefem – ale dużo trudniej było im przymykać oko, kiedy do zakładu zaczęła przychodzić matka. Wszczynała awantury i bójki, próbując mnie odebrać, wyzywała ojca od

kidnaperów i wygłaszała tyrady na temat jego dziwki. Jestem pewien, że wcale mnie nie chciała, chyba że ze względu na zasiłki. Po prostu nie życzyła sobie, by ojciec i Marie mieli coś, co według niej było jej własnością. Kiedy usłyszała o przygodzie z hamulcem, próbowała to wykorzystać jako dowód, że ojciec jest nieodpowiedzialny i naraża mnie na niebezpieczeństwo, zabierając do pracy. Nigdy nie przegapiła żadnej okazji w tej nieustającej wojnie.

Do warsztatu najczęściej przychodziła pijana i prawie zawsze rwała się do bijatyki, jeśli

tylko zdołała sprowokować ojca. Kiedy tylko tata widział, że matka wtacza się przez drzwi, wołał do chłopaków, żeby zabrali mnie do biura, i stamtąd, przez brudne okna, obserwowaliśmy, jak moi rodzice się kłócą. Wtedy już wiedziałem, że nie lubię własnej matki. Bałem się jej i obserwowanie jej w akcji jeszcze bardziej utwierdzało mnie w przekonaniu, że wolę zostać z tatą i Marie.

– Chodź do mamusi – mówiła i wyciągała ręce, jakby się spodziewała, że przybiegnę radośnie w jej objęcia. Ale ja nie byłem w stanie się ruszyć, sztywny

ze strachu na sam jej widok. Nawet kiedy wiedziałem, że tata jest blisko i mnie obroni, sikałem w majtki, kiedy zaczynała na mnie krzyczeć. A zawsze wrzeszczała. Atakowała każdego, rzucała kluczami i innymi narzędziami. Jeśli udawało jej się podejść dość blisko, drapała ojca po twarzy, usiłując dobrać się do oczu, a on z trudem ją powstrzymywał.

Jeśli tylko mógł, starał się unikać bicia matki. Zwykle dzwonił po Melissę, która mieszkała niedaleko, i prosił, żeby przyszła i rozprawiła się z Lesley zamiast niego. Ciotka Melissa uwielbiała

tate, tak jak wszyscy, i zrobiłaby wszystko, żeby chronić swojego młodszego braciszka. Więc pędziła z odsieczą i staczała z matką prawdziwe bitwy na podwórku warsztatu – ciągały się za włosy, biły i kopały z całej siły. Ciotka Melissa zawsze wygrywała, więc po jakimś czasie matka wiała na sam jej widok. Dawała nura do samochodu jednego z kumpli od kieliszka, który akurat ją przywiózł, i odjeżdżali z rykiem silnika jak bandyci uciekający po napadzie na bank. Wydaje mi się, że matka po prostu uwielbiała urządzać takie teatralne sceny.

To nękanie nie miało końca. Matka wiecznie wydzwaniała do domu i warsztatu, wiecznie przychodziła szukać guza. Rysowała lakier na samochodzie ojca, rozwaliała okna Marie cegłami – robiła wszystko, co tylko wpadło jej do głowy, przepełniona nienawiścią i żądzą zemsty. W końcu miarka się przebrała i Graeme, właściciel warsztatu, powiedział tacie, że te awantury muszą się skończyć, bo niepokoją ludzi i psują mu interes. Nie mógł pozwolić na coś takiego, bo nieustanne sceny zaczynały odstraszać klientów. Któregoś

wieczoru zadzwonił i poprosił, żeby ojciec następnego dnia przyszedł do niego na rozmowę, co z tym dalej zrobić. Tego wieczoru tata i Marie długo o tym rozmawiali.

– To nie jest dobre dla Joego, że ciągle jest świadkiem tych scen – stwierdziła Marie. – Musisz zostawiać go w domu, ze mną. Ma pięć lat i niedługo i tak zacznie szkołę, a do tej pory ja mogę mieć na niego oko.

– Nie, nie – upierał się tata. – Jeśli go zostawię, Lesley przyjdzie tu, żeby go zabrać. A poza tym on lubi chodzić do warsztatu.

Marie wykazała się niemałą odwagą, kiedy zaproponowała, że się mną zajmie, bo bała się matki tak samo jak wszyscy, może z wyjątkiem ciotki Melissy. Matka była twardą kobietą, która chciała i umiała bić naprawdę mocno. Potrafiła powalić jednym ciosem dorosłego mężczyznę, a co dopiero drobną kobietę, jaką była Marie. Tego wieczoru Marie i tata rozmawiali o tym bez przerwy, aż w końcu zgodził się zostawić mnie w domu przynajmniej następnego dnia, kiedy pójdzie rozmawiać z Graeme'em.

Następnego ranka zostałem

z Marie. Ojciec wrócił w przerwie na lunch po narzędzia. Zawsze miał własny zestaw, którego pilnował jak oka w głowie i nikomu nie pozwolił dotykać – nawet kumplom z warsztatu.

– Obiecałem Graeme’owi, że załatwię sądowy zakaz, żeby nie zbliżała się do warsztatu – powiedział. – Ale on uważa, że jeśli Joe przez jakiś czas posiedzi w domu, to i Lesley przestanie przyłazić.

Słuchałem tego wszystkiego mocno zaniepokojony. Ojciec zebrał narzędzia i ruszył do drzwi. Obejrzał się na mnie.

– Chcesz iść do pracy z tatusiem? – spytał i puścił do mnie oko.

– Nie – sprzeciwiła się Marie.

– Co powie Graeme, jak się dowie?

– Graeme’a nie ma dziś po południu – zaczął prosić ojciec. – Nic nam nie będzie. Jeszcze ten jeden raz. Joemu to nie zaszkodzi.

– Nie podoba mi się to, Williamie – protestowała Marie. – Chyba nie chcesz ryzykować, że stracisz pracę.

– Tak źle nie będzie – upierał się ojciec, więc Marie ustąpiła i puściła mnie z nim.

Tego popołudnia nie zapomnę do końca swoich dni – popołudnia, kiedy moje życie zmieniło się na zawsze. Pamiętam każdy szczegół, najdrobniejszą rzecz, jaka wydarzyła się tego dnia, bo każdy drobiazg wrył mi się w pamięć i po trzydziestu latach wciąż przeżywam to w koszmarach. Kiedy wsunąłem rękę w wielką dłoń taty i poszedłem z nim do samochodu, nie miałem pojęcia, że życie, jakie znałem, za chwilę się skończy.

Ogień piekielny

To był zimny, wietrzny, lutowy dzień. Ojciec i ja właśnie zajechaliśmy do warsztatu i zaparkowaliśmy na poboczu, kiedy Derek, jeden z mechaników i dobry przyjaciel taty, pomachał na niego, by podszedł do samochodu

stojącego na jednym z podnośników.

– Czujesz benzynę? – spytał Derek. – Zajrzałem wszędzie, ale nie widzę, skąd cieknie.

– Wracaj do auta – polecił mi ojciec. – To mi zajmie tylko chwilkę.

Wolałbym mu pomóc przy robocie, ale nawet nie prosiłem, bo i tak by się nie zgodził. A zresztą wiedziałem, że wróci po mnie, kiedy tylko skończy. Wiele razy tata tłumaczył mi, że silniki samochodowe są niebezpieczne i nie wolno mi się przy nich bawić, jeśli on nie może mnie mieć cały

czas na oku. Kiedy byliśmy razem, ojciec niewiele ode mnie wymagał, ale w tej sprawie był stanowczy.

Przekręcił kluczyk w zamku forda capri. Patrzyłem przez przednią szybę, jak wziął się z Derekiem do zepsutego silnika. Czekanie mi nie przeszkadzało. Cieszyłem się, że jestem z ojcem w warsztacie, tym bardziej że zapowiedział mi, że to może być ostatni raz. Że nie będzie mógł mnie tu zabierać przez te wszystkie kłopoty, których narobiła mu matka.

Siedziałem za kierownicą na jego fotelu i bawiłem się dźwignią biegów, naśladowując ruchy taty, kiedy

prowadził. Był moim idolem i chciałem być taki sam jak on, pod każdym względem. Nie przejmowałem się zamkniętymi drzwiczkami, bo umiałbym je otworzyć, gdybym chciał. Tata bardzo starannie wytłumaczył mi, jak to się robi, po tamtym wypadku, kiedy spuściłem hamulec. Ale nie złamałbym jego zakazu, bo był dla mnie wyrocznią. Skoro powiedział, że tu mam siedzieć, to będę siedział. Nigdy w życiu nie musiał podnieść na mnie ręki, bo nigdy nie dałem mu do tego powodu. Poszedłbym za nim na koniec świata i nie sprzeciwiłbym się

niczemu.

Widziałem przez szybę, jak ojciec kładzie się na zatłuszczonej podłodze warsztatu, tak jak setki razy wcześniej, i wsuwa się pod samochód, by poszukać wycieku benzyny.

Dla wszystkich był to po prostu zwykły dzień pracy. Słyszałem, jak w biurze zadzwonił telefon – gigantyczny dzwonek zamontowany w warsztacie dał się niczym alarm przeciwpożarowy, żeby zawsze było go słychać wśród ryku silników i brzęku narzędzi. Derek poszedł do biura, żeby odebrać.

– Tato! – krzyknąłem przez uchyloną szybę, doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź, jeszcze zanim zadałem pytanie. – Mogę wejść z tobą pod samochód?

– Nie! – odkrzyknął, tak jak się spodziewałem. – Siedź tam. Zaraz przyjdę.

Wróciłem do zabawy dźwignią biegów i kierownicą, ale w pewnej chwili zobaczyłem klienta, który wyszedł z poczekalni z papierosem w kąciku ust. Miał podniesiony kołnierz, bo było naprawdę zimno. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to benzyna; na oko wyglądała jak woda – woda

o dziwnym zapachu. Nie przeczuwałem, na co się zanosi, kiedy mężczyzna od niechcienia pstryknął niedopałkiem w stronę głównych wrót warsztatu. Wiatr porwał peta i poturlał go po podłodze. Żar na czubku rozjarzył się mocnej od powiewu.

W jednej chwili nic się nie działo, wszystko szło jak zwykle. A w następnej kula pomarańczowoczerwonych płomieni z rykiem pochłonięła samochód, pod którym leżał tata. Widziałem jego sylwetkę w środku tego piekła – jak wyczołguje się spod auta, jak próbuje wstać wśród

plamieni. Zacząłem krzyczeć do niego, ale mój cienki, chłopiący głos był uwięziony we wnętrzu samochodu ledwie parę metrów od niego, zagłuszony przez ryk ognia.

– Tato! Tato!

Wybuch wyrzucił naprawiany samochód w powietrze i przewrócił go na bok, jak w jakimś filmie z efektami specjalnymi. Ford capri zahuśtał się od podmuchu, aż przewróciło mnie na siedzenie. Tata zdołał się podnieść, ale palił się już cały. Biegał po warsztacie, krzycząc z bólu i przerażenia. Nie mógł uciec płomieniom. Oblepiały go, a ruchy

ojca jeszcze bardziej je podsycaly. Pozostali pracownicy, włącznie z Derekiem, wypadli z biura i gapili się na to ze zgrozą. Wyglądali jak na stop-klatce – stali w szoku i patrzyli na tatę. Każda sekunda ciągnęła się jak godzina; płomienie nabierały siły, rozdmuchiwane przez wiatr, który zawrócił po wybuchu i znów dał przez wrota. Ogień coraz szczelniej otulał ofiarę. Szamotałem się z zamkiem w drzwiach forda. Rozpaczliwie chciałem dostać się do ojca, ale widziałem tylko, jak biega w kółko, a jego wrzaski wypełniały mi uszy. Zastanawiałem

się, dlaczego nikt nic nie robi. Dopiero potem dowiedziałem się, że Derek gwałtownie szarpał się z gaśnicą, której nie mógł uruchomić.

Sąsiad z naprzeciwka, który usłyszał wybuch, wpadł przez wrota, chwycił tatę i rzucił go na podłogę, żeby ugasić płomienie. Mnie w końcu udało się wydostać z forda i podbiegłem do leżącego ojca. Zanim do niego dotarłem, ogień już ugaszono, wszystko było czarne i zwęglone. Jego całe ciało trzęsło się konwulsyjnie – wpadł w szok. Derek złapał mnie i zakrył mi oczy dłonią, zanim zdążyłem

zobaczyć z bliska spaloną twarz taty. Ale pamiętam zapach – mdlący smród przypalonego mięsa – i dławiący dym. Słyszałem zbliżające się syreny, biegających ludzi. Szamotałem się, kopałem i gryzłem, żeby dostać się do ojca, ale Derek trzymał mnie mocno, żebym nie włąził w drogę ratownikom i żebym nie oglądał tego wszystkiego.

Sanitariusze przenieśli tatę na nosze i zapakowali na tył karetki.

– Chcę jechać z wami! Tato, powiedz im, żeby mi pozwolili jechać! – krzyczałem z twarzą zalaną łzami, ale sanitariusze nie

zgodzili się wziąć dziecka do karetki.

Derek zadzwonił do ciotki Melissy. Przybiegła w parę minut. Próbowwała mnie pocieszać, najlepiej jak umiała, ale sama za bardzo się bała o brata, żeby myśleć o czymkolwiek innym. A dla mnie w tej przerażającej eksplozji koszmaru skończył się świat. Miałem tylko pięć lat. Chciałem do taty.

Odłączyć go!

Karetka odwiozła ojca na pełnym gazie, wyjąc syreną. Patrzyłem, jak odjeżdża, aż w końcu ciotka Melissa zaprowadziła mnie do siebie – mieszkała przy tej samej ulicy, ledwie kawałek dalej – i zadzwoniła do Marie, żeby jej

powiedzieć, co się stało. Kiedy przyszła Marie, pamiętam szeptane rozmowy i ukradkowe spojrzenia, których miałem nie widzieć. Mąż Melissy, Amani, wielki Nigeryjczyk, ciągle gapił się na mnie. Pamiętam, że czułem się nieswojo i nie chciałem, żeby tam był.

– Kiedy pojedziemy do szpitala, do taty? – pytałem ciągle. Wiedziałem, że jego poparzenia muszą strasznie boleć. Doskonale pamiętałem, jak cierpiałem, kiedy matka przycisnęła mi dłoń do żelazka, więc zdawało mi się, że potrafię sobie wyobrazić, jakie

katusze przeżywa mój tata. Przecież palił się cały. Chciałem być przy nim i go pocieszyć. Nie potrafiłem zapomnieć płonącego ojca, biegającego po warsztacie. I nie podobało mi się, że nie mogę być przy nim, kiedy tak bardzo się martwiłem i nie wiedziałem, co się dzieje. Czułem się bezbronny i słaby. Wszystkie złe rzeczy, które mnie kiedykolwiek spotkały, działy się, kiedy taty nie było, a nie wiedziałem, jak szybko będzie mógł wyjść ze szpitala i znów mnie bronić. Ciągle zadawałem dorosłym pytania, ale nikt nie umiał mi na nie odpowiedzieć. I wszyscy

płakali.

Parę godzin później Marie zabrała mnie do domu – bo to u niej był mój dom, a nie tam, gdzie mieszkała moja matka. Byłem w kompletnym szoku, nie potrafiłem zrozumieć tego, co zobaczyłem, przetworzyć obrazów, które wciąż przewijały się w mojej głowie. I nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy. Dla mnie. Nawet nie przemknęło mi przez myśl, że ojciec może umrzeć; w tym wieku nie wiedziałem jeszcze, co to jest śmierć. Martwiłem się o niego i byłem przerażony jego potwornymi krzykami, ale

wierzyłem, że doktorzy go wyleczą – tak jak wyleczyli Thomasa i mnie, kiedy byliśmy poparzeni. Wierzyłem, że ojciec niedługo znów się mną zaopiekuje i najwyżej parę blizn będzie nam przypominać o tym strasznym dniu.

Marie próbowała rozmawiać ze mną, przygotować mnie na to, co może nastąpić.

– Czasami, kiedy ludzie są bardzo mocno poranieni – powiedziała – umierają i idą do nieba, żeby być z Bogiem. To bardzo piękne miejsce i mogą stamtąd patrzeć na swoich bliskich i strzec ich z góry.

Słuchałem, ale tak, jakby opowiadała mi bajkę. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że to, co mówi, może spotkać mojego tatę. Po prostu czekałem, aż znowu go zobaczę, i wierzyłem, że wszystko będzie dobrze, kiedy już w szpitalu wyleczą mu oparzenia.

Ale na odwiedziny pozwolono mi dopiero trzy dni później. Nie wiem, czy wcześniej szpital w ogóle wpuszczał odwiedzających, ale Marie pewnie się bała, że matka też przyjdzie i że będzie próbowała mnie zabrać. A może sądziła, że oglądanie ojca w takim stanie byłoby dla mnie

koszmarem. Ale męczyłem ją, aż się zgodziła. Wypadek ojca musiał nią wstrząsnąć równie mocno, jak mną, chociaż była dorosła. Na pewno wszystko krzyczało w niej, że powinna biec do ukochanego mężczyzny i siedzieć przy jego boku, ale pewnie bała się, że matka urządzi jej scenę na oddziale. Kiedy w końcu wzięła mnie do taty, było już wiadomo, że ojciec umrze, i widocznie uznała, że powinieniem się pożegnać. Ojciec był już w stanie śmierci mózgowej, ale nie miałem o tym pojęcia, kiedy wchodziłem do szpitala, mocno ściskając Marie za rękę.

Trzymałem się jej kurczowo, kiedy szliśmy niekończącymi się szpitalnymi korytarzami. Cały czas rozglądaliśmy się za matką. Spodziewaliśmy się, że wyskoczy na nas zza jakiegoś rogu. Kiedy wreszcie dotarliśmy na oddział intensywnej terapii, panowała tam cisza, przerywana tylko brzęczeniem i pikaniem urządzeń stojących przy każdym łóżku i podtrzymujących pacjentów przy życiu. Kiedy zatrzymaliśmy się koło jednego z łóżek, próbowałem zrozumieć, na co patrzę. Zabandażowana postać na materacu, w plątaninie jakichś

sterczących z niej rurek, nie wyglądała jak mój tata. W pierwszej chwili nie uwierzyłem, że to on. Pomyślałem, że Marie się pomyliła i przyprowadziła mnie nie do tego łóżka, co trzeba.

– Gdzie jest tatuś? – spytałem.

– Co z nim zrobili?

– To jest twój tatuś, Joe – powiedziała łagodnie Marie. Widziałem łzy błyszczące w jej oczach.

Oglądanie go w takim stanie z pewnością było dla niej równie trudne, jak dla mnie, ale musiała być dzielna. Nie chciała załamać

się przy mnie. Pielęgniarka, która stała przy wezglowiu łóżka i sprawdzała coś na monitorze, spojrzała na mnie ze współczuciem.

Znów odwróciłem się do zabandażowanej postaci. Niektóre części ciała obłożone były przezrzystymi torebkami z jakimś płynem – wtedy zdawało mi się, że to z nich sączy się krew i wyłazi surowe mięso, ale teraz wiem, że po prostu widziałem straszliwe poparzenia pod spodem. Maszyny wzdychały ciężko, pierś taty poruszała się w górę i w dół, ale jego twarz była tak grubo zabandażowana, że nie widziałem

nawet oczu ani ust.

– Tato? – spytałem niepewnie, ale to słowo zabrzmiało jakoś dziwnie, jakby nie chciało mi wyjść z gardła.

– Nie może mówić – wyjaśniła Marie, głaszcząc mnie po włosach.

Zacząłem się cofać od łóżka, bo ten straszny widok przeppełnił mnie strachem. Marie musiała się zorientować, że popełniła błąd, kiedy uległa mojemu marudzeniu i przyprowadziła mnie do szpitala, ale było już za późno. Nagle po drugiej stronie łóżka pojawiła się moja matka. Podskoczyłem

i zacząłem się trząść ze strachu, pewien, że zaraz rzuci się na nas, jak zawsze kiedy przychodziła do warsztatu. Ale tym razem zachowywała się inaczej – w obecności pielęgniarki grała zgnębioną, młodą wdowę. Nie trwało to długo. Kiedy tylko zostaliśmy sami, jej rozpacz zmieniła się w gniew. Po jej wściekłej minie było widać, że nie jest zadowolona z obecności Marie.

– Co ty tu robisz, do kurwy nędzy? – warknęła, kiedy tylko pielęgniarka znalazła się poza zasięgiem słuchu. – To mój pieprzony mąż, nie twój.

Marie nic nie mogła powiedzieć na swoją obronę. Ponieważ William i Lesley wciąż oficjalnie byli małżeństwem, to matka była najbliższą rodziną i to ona miała prawo dowiadywać się o stan ojca i podejmować decyzje w jego sprawie. Lekarzom i pielęgniarkom nie robiło żadnej różnicy, że zamierzał się z nią rozwieść. Marie była kompletnie odcięta od wszelkich informacji i ustaleń, co oczywiście bardzo cieszyło matkę. Dopóki ojciec był nieprzytomny, miała nad nami wszystkimi absolutną władzę.

Wtedy nie zdawałem sobie

z tego sprawy, ale tata żył jeszcze tylko dzięki aparaturze podtrzymującej funkcje życiowe.

– Zresztą lekarze powiedzieli mi, że on nie ma szans z tego wyjść – powiedziała matka. – Ich zdaniem najwyższa pora wyłączyć maszyny, ale ostateczna decyzja należy do mnie.

Marie zachłysnęła się z przerażenia i zakryła usta dłonią.

– Nie, Lesley. Proszę cię, nie rób tego. Nie trać nadziei. Może jeszcze jest szansa.

Stałem uczepiony ręki Marie i próbowałem zrozumieć, o czym mówią, ale po minie matki

poznałem, że o czymś zdecydowała.
O czymś ważnym.

– Zawsze był do niczego jako
mąż, a teraz już na pewno mi się na
nic nie przyda. – Matka
rozkoszowała się możliwością
decydowania o życiu lub śmierci
mężczyzny, który zdradził ją tak
podle. Rozkoszowała się ostateczną
zemstą i nawet nie chciało jej się
już udawać zrozpaczonej wdowy.

– Rozwodził się z tobą –
protestowała Marie. – Mieszkał ze
mną. Ja jestem najbliższą mu osobą,
nie ty. To ja powinnam o tym
decydować.

– Jestem jego żoną w świetle

prawa! – wrzasnęła matka, aż wszyscy się obejrzeli, a pielęgniarki przybiegły, żeby załagodzić sytuację. – Ty jesteś tylko dziwką!

Marie próbowała wyjaśnić wszystko pielęgniarkom i jedna z nich pobiegła szukać lekarza, ale wszystko zdało się na nic. Gdyby tata mógł mówić, powiedziałby, że chce, by to Marie się nim zajmowała, i że nie życzy sobie obecności matki. Ale nie było na to szans – już nigdy nie miał się odezwać. Marie wiedziała, że jest bezsilna, że po stronie matki stoi prawo, ale próbowała jeszcze

ubłagać personel.

– To ja tu decyduję – upierała się matka, kiedy przyszedł lekarz – i chcę, żebyście go odłączyli!

Zrozpaczona Marie nie przestawała walczyć, choć wiedziała, że Lesley nie zmieni zdania. Błagała ją, żeby zastanowiła się jeszcze raz, ale matka była tylko coraz bardziej wściekła, że Marie ośmiela się podważać jej decyzję. Kłótnia robiła się coraz gorsza, aż trzeba było wezwać ochronę, żeby nie doszło do bijatyki, i Marie usłyszała, że ma opuścić szpital.

– Jego też możesz zostawić –

powiedziała matka, wskazując mnie. Skuliłem się za Marie.

– Nie ma mowy, zostaje ze mną – rzuciła stanowczo Marie i ścisnęła mocno moją rękę. – Tego chciałby William.

Wiedziała, że ojciec nigdy nie pozwoliłby mi wrócić do matki. I bała się, co ona mi zrobi, kiedy dopadnie mnie sam na sam. Ale Lesley wiedziała, że prawo jest po jej stronie i poprosiła personel o wezwanie policji. Nie zamierzała pozwolić, żeby Marie zatrzymała coś, co było jej własnością, choć tak naprawdę wcale mnie nie chciała. Marie postawiła się

twardo i wszyscy czekaliśmy na policję, omijani z daleka przez zdenerwowanych pracowników szpitala.

Kiedy zjawili się policjanci, poprosili je obie do oddzielnych pokoi i najpierw przesłuchali Marie. Tuliłem się do niej, kiedy próbowała tłumaczyć, że ojciec dostał wyłączne prawo opieki nade mną przez to, jak matka traktowała mnie w przeszłości. I że jego jedynym życzeniem było, żeby Lesley nie dorwała mnie w swoje ręce. Ale nic, co mówiła Marie, nie mogło zmienić tego, że według prawa moje miejsce było przy

matce i jeśli ona uzna, że mam do niej wrócić, to nie będzie innego wyjścia. Policja prawdopodobnie nie bardzo rozumiała, w czym problem. Wiedzieli, że matka wychowuje pięcioro innych dzieci. Słuchałem tego wszystkiego, nie do końca pojmując, o czym mowa, aż w końcu policjantka uklękła przy mnie i powiedziała:

– Będziesz musiał pójść z mamusią.

– Nie! Nie chcę! – zacząłem wrzeszczeć na całe gardło.

Ale Marie nie mogła już nic zrobić. Wyszliśmy na korytarz, gdzie matka wciąż napawała się

swoim zwycięstwem.

– Już go odłączyli. Nie ma tu już po co sterczeć. Chodź, Joe.

Marie wybuchnęła płaczem, kiedy matka wlokła mnie, też szlochającego, do wyjścia. Jeszcze parę dni temu Marie wyobrażała sobie, że spędzi z moim tatą resztę życia i będzie mnie wychowywać jak własnego syna. Teraz była samotną matką, a mój mały brat przyrodni, urodzony ledwie dwa miesiące przed wypadkiem, był jedyną pamiątką po moim ojcu.

W drodze do domu matka zadbała, żebym dobrze zrozumiał, co się stało.

– Twój tatuś jest martwy. Nie wróci. Bo nie żyje, do cholery! – oznajmiła mi.

– Poszedł do nieba? – zapytałem przez łzy.

– Nie, do piekła, bo tam idą wszyscy źli ludzie! Bóg powiedział, że to nicpoń, i teraz jego ciało spali się na popiół. To Bóg rzucił tego papierosa w benzynę, ale za mało się postarał, co? Więc teraz ciało twojego tatusia wsadzą do pieca i spalą, aż rozpadnie się na popiół.

Kiedy tak mówiła, przypomniałem sobie niedopałek papierosa turlający się do

warsztatu, niesiony złowrogim wiatrem. Czy naprawdę byłem świadkiem działań Boga? Kto inny potrafiłby tak kontrolować wiatr? W jadowitych słowach matki była jakaś straszna logika i zostawiły mi w głowie obraz taty płonącego w piekle przez wieczność, tak jak wtedy, kiedy biegał cały w ogniu po warsztacie.

Płakałem tak mocno, że ledwie mogłem oddychać.

– Nie wyobrażaj sobie, że jesteś jakiś wyjątkowy – dodała i okrutnie ścisnęła moją dłoń – tylko dlatego, że byłeś ulubieńcem tatusia i widziałeś, jak ten drań się

pali. Wcale nie jesteś wyjątkowy.
Jesteś nikim i ja ci to udowodnię.
Tylko poczekaj.

Śmierdzący kundel

Od pierwszej chwili, kiedy wszedłem za próg domu matki – dużego, wiktoriańskiego szeregowca na końcu ulicy – nie miałem wątpliwości co do swojego miejsca w rodzinnej hierarchii. Nie byłem wyjątkowy. Zostałem

zepchnięty na samo dno.

Larry i Barry pojawili się w przedpokoju i pierwsze słowa Larry'ego brzmiały:

– Widzę tyłek tego gnojka. – Po czym kopnął mnie, a Barry na dokładkę przyłożył mi pięścią w ramię.

Matka zawołała na dół również Wally'ego i wyjaśniła całej trójce, że ojciec rozpuścił mnie jak dziadowski bicz i trzeba mnie nauczyć, że moje miejsce w rodzinie jest na poziomie podłogi. Byłem ulubieńcem ojca, więc uważała, że jestem winny tego, że ją zdradził. Dlatego bez

trudu przekonała moje rodzeństwo, że jestem rozpieszczonym bachorem, który uważa się za lepszego od nich.

O ile Wally, mój najstarszy brat – w tamtym momencie siedemnastoletni – był skłonny współczuć małemu dziecku, które przeżyło taki dramat, o tyle piętnastoletni Larry i czternastoletni Barry chętnie dawali upust wrodzonemu okrucieństwu i z radością przyjmowali zachęty matki, by traktować mnie tak źle, jak się da. Byli jak żołnierze, którym dowódca dał pozwolenie na to, by gwałcili i rabowali

w mieście wroga; wroga, którego nie uważali nawet w pełni za człowieka. Matka jasno dała do zrozumienia, że okazywanie mi współczucia jest zakazane i że jeśli Wally nie przyłączy się do prześladowań, sam może się spodziewać bicia. Dla niej wszystko było proste – jeśli nie byłeś w drużynie, to najwyraźniej stałeś po stronie przeciwnika.

Ellie i Thomas – mieli wtedy cztery i trzy lata – byli jeszcze za mali, by upokarzać mnie razem z przyrodnimi braćmi. Podejrzewam, że to, na co patrzyli swoimi wielkimi, niewinnymi

oczami, uważali za zwyczajne życie rodzinne, bo nigdy nie znali innego. Byłem jedynym z rodzeństwa, który mieszkał kiedykolwiek z kimś innym niż matka i zdawał sobie sprawę, że życie nie musi być tak przerażające i bolesne przez cały czas.

– Będzie spał na podłodze w waszym pokoju – zapowiedziała matka Larry’emu i Barry’emu. – Nie zasługuje na własny pokój. Zabierzcie go tam, niech mi zejdzie z oczu.

Chętnie wykonali polecenie. Kopali mnie i tłukli przez całą drogę na górę, aż wepchnęli mnie

do swojej sypialni.

Dom miał trzy piętra i małemu, przerażonemu chłopcu wydawał się wysoki jak wieża. Tuż za domem biegła linia kolejowa i każdy przejeżdżający pociąg wprawiał grube ściany w drzenie. Kucnąłem roztrzęsiony przy oknie i poczułem, że mój strach zmienia się w gniew. Chciałem tylko jeszcze raz zobaczyć tatę i złość, że nie mogę tego zrobić, wzbierała we mnie jak lawa w wulkanie przed erupcją. Kiedy Larry i Barry przyszli po mnie, żebym zszedł na kolację, rzuciłem się na nich, zacząłem gryźć, kopać i boksować, aż

w końcu dostałem w ucho. I oczywiście potwierdziłem swoim wybuchem słowa matki, że jestem rozpieszczonym bachorem.

Stół w rodzinnej jadalni miał szklany blat i stalowe nogi, przytwierdzone od spodu czymś, co wyglądało jak wielkie przyssawki. Tego pierwszego wieczoru usiadłem przy nim, ale matka warknęła:

– O nie, nie zasługujesz, żeby tu z nami siedzieć! Zjeżdżaj na podłogę, pod stół. Będziemy cię karmić resztkami jak psa.

Larry i Barry siłą ściągnęli mnie na podłogę i tak poznałem

nowy sposób jedzenia posiłków. Od tej pory właśnie tak byłem karmiony. Kucałem pod stołem, a oni kopali mnie i rzucali resztki na podłogę, rozgniatali je obcasami na płytkach, a potem kazali zlizywać. Czasem nawet zmuszali mnie, żebym podskakiwał i prosił o jedzenie jak prawdziwy pies.

Może bym walczył, gdyby robili to tylko bracia. Ale wiedziałem, że przy matce muszę bardzo uważać, jak się zachowuję, bo jej gniew był naprawdę przerażający i nie trzeba było wiele, żeby się narazić na bicie. Po kilku laniach za to, że źle na nią

spojrzałem czy za rzekome odpyskiwanie, zrozumiałem raz na zawsze, że nie mogę liczyć na żadne ulgowe traktowanie tylko dlatego, że straciłem ojca. Wręcz przeciwnie. Szybko się nauczyłem nie robić nic, czym mógłbym rozzłościć ją jeszcze bardziej niż samą swoją obecnością. Moje istnienie przypominało jej ojca i jego zdradę, i choćbym nawet nie drgnął, nie mogło mnie to uratować przed biciem. Ludzie widzieli tylko zbolałą wdowę w żałobie, ledwie radzącą sobie z dzieckiem, które przeżyło straszliwą tragedię. My, rodzina żyjąca z nią pod jednym

dachem, widzieliśmy mściwy, okrutny, gwałtowny żywioł.

– Nie jesteś niczym wyjątkowym – przypominała mi na okrągło. – I nie zapominaj o tym, do cholery.

Następnego dnia po tym, jak matka przyprowadziła mnie do domu, podsłuchałem jej telefoniczną rozmowę z Marie. Nadstawiłem uszu, kiedy usłyszałem jej imię; miałem nadzieję, że przyjdzie i zabierze mnie z powrotem do domu, ale nic z tego.

– Wiesz co? – powiedziała w końcu matka; nie mogła sobie odpuścić i musiała skorzystać z okazji, żeby jeszcze raz podkreślić swój triumf. – Możesz go sobie wziąć. Już i tak się nikomu nie przyda. Pozwolę ci urządzić pogrzeb.

Nie rozumiałem, o czym mówią, ale potem dowiedziałem się od Wally’ego, że matka nie chciała zapłacić za pogrzeb i uparła się, żeby to Marie pokryła koszty. Marie miała w tym czasie własne stoisko na targu, handlowała perfumami i kosmetykami; matka wiedziała, że ma trochę pieniędzy

i na pewno będzie chciała zrobić coś dla taty. Ale nawet wtedy nie zamierzała tak łatwo zrezygnować z władzy i przywilejów żony. Choć ojciec zawsze chciał być tradycyjnie pochowany, to Lesley uparła się, żeby jego ciało zostało skremowane.

– Ona może sobie płacić – oznajmiła nieszczęsnym, zażenowanym pracownikom domu pogrzebowego – ale to ja jestem jego żoną i to ja decyduję, co z nim zrobić. I zdecydowałam się na krematorium.

Marie próbowała się kłócić.

– Ale William nie uznawał

kremacji – zaprotestowała. –
Przecież wiesz.

– Jeśli nie zgadzasz się na kremację – odparła matka – to sama zapłacę za ten pieprzony pogrzeb i nie wpuszczę cię za próg.

Choć Marie wiedziała, że matka nie ma pieniędzy, zdawała sobie sprawę, że to nie jest pusta pogrożka. Jeśli chciała się pożegnać z tatą, nie miała wyjścia. Musiała się zgodzić na warunki Lesley.

Kiedy Wally wytłumaczył mi, co to jest pogrzeb, zacząłem błagać matkę, żeby mnie też pozwoliła iść. Ale nie było na to szans. Grała rolę

wdowy w żałobie i pewnie popsułbym jej przedstawienie, gdybym podczas ceremonii popędził prosto do Marie.

– Wszystko dobrze, brachu? – pytał mnie od czasu do czasu Wally. Głaskał mnie albo przytulał na pociechę, kiedy nikt nie patrzył. A ja z wdzięcznością kiwałem głową, chociaż wcale nie było dobrze. Czułem, że on choć trochę rozumie, co przeżywam. I żałowałem, że nie mieszkamy w domu tylko we dwóch; no, może jeszcze z tą najmłodszą dwójką.

Jako pięcioletnie dziecko nie miałem pojęcia, co to śmierć,

dopóki nie powiedziano mi, że ojciec odszedł. Marie mówiła o niebie, ale matka powiedziała, że poszedł do piekła. Wcześniej w ogóle nie musiałem myśleć o takich sprawach, a teraz nagle poznałem śmierć. Dowiedziałem się, że jedyny człowiek, którego kochałem ponad wszystko, odszedł na zawsze, że już go nigdy nie zobaczę, nie porozmawiam z nim, o nic nie zapytam, nie schowam się za jego długimi nogami. To było jak cios obuchem; ciężar rozpacz dosłownie wgniatał mnie w ziemię.

Wally próbował czasem poukładać mi to wszystko

w głowie, kiedy był pewien, że matki nie ma w domu.

– Nie słuchaj mamusi – szeptał. – Ona się myli. Twój tata poszedł do nieba, nie do piekła.

Chciałem mu wierzyć, ale bałem się, że mówi tak tylko dlatego, że próbuje być miły, i że to matka mówi prawdę. Przecież to ona była dorosła, a do tego była moją matką. Dlaczego miałyby mnie okłamywać w tak ważnej kwestii? Nic już nie miało sensu.

Matka utrzymywała dom
w nieskazitelnej czystości,

obsesyjnie sprzątała i porządkowała go przez całe dni. Był to dom na pokaz, choć rzadko kiedy komukolwiek prócz niej i dzieci wolno było przestąpić próg. Żadne z nas nie śmiało nabałaganić, bo mogło się to skończyć wybuchem furii. Oprócz picia i pomiatania dziećmi dbanie o dom było jedynym jej zajęciem przez całe życie. Zupełnie jakby starała się mieć pod kontrolą każdy przedmiot i każdą drobinę kurzu w swoim królestwie. Co rano wstawiała o wpół do szóstej i zaczynała zamiatać korytarze, odkurzać wszystkie sterylne pokoje.

Ręczniki w łazience zawsze wisiały idealnie równo i nawet kostka mydła przy wannie zawsze leżała pod idealnym kątem. Nikomu nie było wolno usiąść na krześle czy kanapie, żeby nie powgniać poduch; wszyscy musieliśmy siedzieć na podłodze. Wieczorem, zanim położyła się spać, wystawiała wszystkie miski potrzebne do śniadania – każde nakrycie stało równiutko, każda porcja płatków była dokładnie odmierzona. Ten nienaganny wygląd domu potwierdzał jej wizerunek wspaniałej matki w oczach pracowników opieki społecznej czy

policjantów. Skoro tak doskonale dbała o dom, to pewnie i dziećmi zajmowała się z równym zaangażowaniem i oddaniem.

Kiedy smutek i gniew, przygniatające mnie, zaczęły się objawiać dziecięcymi atakami złości, podczas których rzucałem kubkami i talerzami, biłem i gryzłem braci, matka szybko wkroczyła do akcji. Nie miała najmniejszego zamiaru tolerować zrozczonego pięciolatka, który w przyływach złości rujnował jej dom. Należało zapanować nade mną natychmiast i całkowicie, nauczyć mnie bezwarunkowego,

ślepego posłuszeństwa jak pozostałe dzieci. Ale nie zamierzała uczyć mnie lepszego zachowania miłością i zachętą, choć większość matek tak właśnie by postąpiła. Zamierzała złamać mnie wszelkimi możliwymi sposobami. Nie chciało jej się dowiadywać, co mnie dręczy, ani nie próbowała pomóc mi dojść do siebie po tragedii, która zdruzgotała mnie do szczytu.

By uzyskać natychmiastowe rezultaty, przede wszystkim musiała mnie odizolować od reszty świata, od każdego, kto mógłby się nie zgodzić z jej metodami i okazać

współczucie mnie, a nie jej. Na początku niektórzy krewni ojca wpadali sprawdzić, jak się miewam, ale matka nie wpuszczała ich za próg ani nie dopuszczała do mnie. Nie życzyła sobie, by jakieś wścibskie oczy widziały, co naprawdę dzieje się w jej domu, w jej królestwie, którym władała żelazną ręką. Każdego, kto się zjawił, przeganiała precz, obrzucając go pogrózkami i obelgami.

– Nie wpieprzaj się w moje sprawy – krzyczała – albo wezwę policję! Niech cię tu więcej nie widzę, kurwa!

Zawsze nienawidziła ich wszystkich, szczególnie ciotki Melissy. I teraz, kiedy ojciec nie żył, nie musiała dłużej ich znosić. Już nikt nie będzie się wtrącał ani mówił jej, jak ma wychowywać własne dzieci. W jej przekonaniu krewnych ojca nie powinno w ogóle obchodzić, jak się miewam. Byłem jej synem. Więcej, byłem jej wyłączną własnością i mogła ze mną robić, co jej się żywnie podobało.

Po kilku dniach od mojego przybycia zapowiedziała, że wolno mi chodzić tylko w majtkach, bo nie zasługuję na ubranie. Jeśli

sprzeciwiałem się wykonaniu jakiegokolwiek polecenia, karała mnie srogo, więc szybko się nauczyłem robić, co kazała.

Z łazienki mogłem korzystać tylko, kiedy mi pozwalała, więc już po paru dniach byłem zaniedbany i brudny, w odróżnieniu od reszty nieskazitelnego domu. A ponieważ chodziłem brudny, nie wolno mi było korzystać z zastawy matki, żeby pozostali domownicy nie złapali ode mnie żadnych zarazków i chorób.

— Odziedziczyłeś brudną chorobę po swoim pieprzonym tatusiu — oznajmiła. — I nie życzę

sobie, żebyś pozarażał nas wszystkich.

Kiedy człowiek jest mały, wierzy we wszystko, co mówi mu matka, więc zacząłem myśleć, że to prawda – widocznie w jakiś sposób jestem gorszy od innych. Udawanie, że jestem psem, zmieniło się w stały rodzinny dowcip i jakiś czas później, na gwiazdkę, dostałem od Larry'ego i Barry'ego psią miskę. Śmiali się do rozpuku, kiedy mi ją wręczali. Istniałem właściwie wyłącznie dla ich rozrywki. Wiecznie wymyślali nowe sposoby, żeby zabawić się moim kosztem. Na przykład dawali

mi posiłek w psiej misce, a potem i tak wywalali go na mnie, albo pluli do niej, po czym zmuszali mnie, żebym zjadł wszystko. Kiedy udawali, że jestem ich psem, nazywali mnie Śmierdzącym Kundlem. I rzeczywiście śmierdziałem, przede wszystkim własnymi siuškami, bo często ze strachu traciłem kontrolę nad pęcherzem. Gdyby od czasu do czasu wolno było mi się wykąpać, może nie zasmradzałbym domu i nie budziłbym w nich takiego obrzydzenia.

Mijały dni. Koktajl szoku, lęku i rozpaczony coraz bardziej zamulał mi głowę i czasami sprawiało, że nie potrafiłem wydobyć z siebie słów. Chciałem powiedzieć tyle rzeczy, ale kiedy próbowałem mówić, mięśnie gardła ścisnęły paraliż, przestawały mnie słuchać, zaczynałem się jąkać i zacinać, próbując wykrztusić cokolwiek. Miałem wrażenie, że ktoś dusi mnie i chce uciszyć na zawsze. Mogłem myśleć tylko o ojcu. Wciąż miałem przed oczami jego obraz, palącego się w warsztacie, a po głowie tłukły mi się słowa matki o piekle. Próbowałem powiedzieć: „Chcę do

taty”, chociaż wiedziałem, że zarobię tymi słowami na kolejne lanie, ale kiedy próbowałem to z siebie wydukać, język stawał mi kołkiem. Wally pierwszy zauważył, że się jąkam.

– Martwię się o Joego – powiedział do matki.

– A temu co znowu jest? – spytała gniewnie.

– Nie mówi.

– To pewnie zapalenie gardła – stwierdziła. – Nic mu nie będzie.

W ciągu tygodnia jąkanie było coraz wyraźniejsze. Po tygodniu mój mózg całkowicie stracił władzę nad głosem i zamilkłem na

dobrze – nie byłem w stanie wypowiedzieć nawet najprostszych słów, takich jak „tak”, „nie” czy „pomocy”. Matka myślała z początku, że tylko się wygłupiam i robię jej na złość, ale w końcu musiała przyznać, że Wally ma rację, i postanowiła pójść ze mną do lekarza. W przychodni opowiedziała doktorowi moją historię, z całym niezbędnym dramatyзмом i patosem, by było jasne, że to ona tu najbardziej cierpi. Przecież straciła męża i została z szóstką dzieci na wychowaniu.

– A ten mały biedak był tego

świadkiem – powiedziała głosem łamiącym się od łez, które tak dzielnie „powstrzymywała”. – Widział, jak jego ukochany ojciec płonie, to się stało na jego oczach, ledwie parę tygodni temu. Byli ze sobą bardzo zżyci, to dla niego ogromny cios.

Lekarz zbadał mnie i wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia, po czym wyjaśnił, co się jego zdaniem stało.

– Sądzę, że Joe oniemiał w wyniku szoku po tym, czego był świadkiem – rzekł łagodnie.

Był równie przejęty jej samopoczuciem, jak moim stanem.

– William był takim dobrym mężem i ojcem – zaczęła znów matka. – To tragedia dla całej rodziny, ale przede wszystkim dla Joego. A teraz jeszcze mój mały synek oniemiał od tego wszystkiego. Kiedy znowu zaczniesz mówić i dojdzie do siebie?

– To może być krótkotrwały stan – odparł z powątpiewaniem lekarz, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, ile to potrwa. – Ale może to też być długotrwały problem. Zobaczymy, jak się sprawa rozwinie.

Zanim wyszliśmy z przychodni, do matki dotarło, że

naprawdę zostałem niemową i że nie udaję. Owszem, była na mnie zła, że znów narobiłem jej kłopotu i że próbuję ściągnąć na siebie uwagę, ale jakaś część jej mózgu zaczynała już dostrzegać nowe możliwości. Skoro nie mogłem mówić, nie mogłem też naskarżyć.

Dopiero cztery i pół roku później nauczyłem się mówić od nowa, ale na razie moja nagła niemota wydała mnie ostatecznie na łaskę matki. Byłem zupełnie bezradny. Teraz, kiedy nie mogłem mówić, frustracja narastała we mnie jeszcze bardziej, wybuchając niekontrolowanymi atakami agresji.

Wściekałem się w milczeniu, tłukłem meble, rzucałem rzeczami, kopałem w drzwi. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale im gorzej się zachowywałem, tym mocniejsze atuty dawałem do ręki matce. Udowadniałem, jakim jestem trudnym dzieckiem i jaką świętą kobietą jest ona, skoro wychowuje mnie bez niczyjej pomocy. Tym bardziej że ma pod opieką tyle dzieci oprócz mnie.

Matka najzwyczajniej w świecie lubiła przemoc. Lubiła patrzeć na ból tak samo, jak lubiła

go zadawać. Czasem urządziła w małym saloniku coś w rodzaju ringu bokserkiego i zmuszała moich trzech starszych braci, żeby walczyli ze sobą, gdy ona sama robiła za trenerkę, cheerleaderkę i publiczność. Ten pokój nie był tak elegancki, jak reszta domu; najlepsze meble matka wystawiła na pokaz w drugim salonie. Salonik mieścił się w tej części mieszkania, do której nigdy nie był zapraszany nikt spoza rodziny. Znajdował się tu tylko stary kominek, tandetna kanapa i fotel. Byłby to wygodny pokój rodzinny, gdybyśmy byli szczęśliwą rodziną, która korzysta

z takiego pomieszczenia. Ale z pewnością był to pokój, gdzie matka mogła się zrelaksować i nie przejmować się, jeśli na dywan przypadkiem chlapnęło trochę krwi. Zawsze były tutaj zaciągnięte zasłony, a nawet firanki, które zapewniały dodatkową ochronę przed wścibskimi spojrzeniami. Matka, nawet kiedy otwierała okna, żeby wpuścić tu trochę powietrza, nie rozsuwała zasłon, żeby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do jej królestwa i zobaczyć, co tu wyprawia. Kiedy miała ochotę się zabawić, zasiadała w tym pokoju z filiżanką herbaty i zmuszała do

walki starszych chłopaków jak gladiatorów w starożytnym Rzymie, ciągle od nowa, aż któryś zaczynał krwawić.

– Jazda – zagrzewała ich. –
Walnij go! Zabij go, kurwa!

Gdyby próbowali odmówić, dostawaliby od niej, a to było o wiele gorsze niż cokolwiek, co mogli zrobić sobie nawzajem. Nie miało znaczenia, czy byli już poważnie poobijani. Kazała im walczyć, dopóki nie połała się krew, i tłukła ich bambusową tyczką, jeśli próbowali przerwać. Nie tolerowała nieposłuszeństwa. Nie okazywała odrobiny słabości

czy dobroci, bo to złagodziłoby terror, który pozwalał jej niepodzielnie nami władać. Kiedy już któryś z chłopaków zaczął krwawić, pozwalała mu zejść z ringu, a trzeciemu kazała bić się ze zwycięzcą. Wmawiała moim przyrodnim braciom, że po prostu stara się ich nauczyć walczyć. Że chce, by stwardnieli i potrafili sami o siebie zadbać, ale wyglądało to raczej na chęć zaspokojenia własnej żądzy krwi. Jedyłą osobą, przed którą chłopcy musieli się bronić, była własna matka.

Bo najbardziej brutalna w domu była ona. Jeśli któryś z nas

ośmielił się jej nie posłuchać albo chociażby spojrzeć na nią w nieodpowiedni sposób, wpadała w ślepią furię i rzucała się na nas. Czasami nawet nie potrzebowała powodu – po prostu ogarniał ją gniew i wyżywała się na tym, kto był najbliżej. Łapała Thomasa i mnie za włosy i dosłownie kręciła nami młynka, aż stopy odrywały się nam od podłogi. A kiedy puszczała, lecieliśmy na ściany. Jej siła czasem wydawała się nadludzka. Jeśli za pierwszym razem nie udało jej się satysfakcjonująco nami cisnąć, powtarzała to, aż było jak trzeba.

Jako ciężko skrzywdzona przez życie wdowa, matka pozwała warsztat samochodowy i wywalczyła kilka tysięcy funtów odszkodowania za śmierć męża. Niedługo potem Graeme zamknął interes. Najlepszy przyjaciel ojca, Derek, miał takie wyrzuty sumienia, że nie zdołał go uratować, że napisał list samobójczy i zabił się, zjeżdżając samochodem z autostrady. Wydawało się, że konsekwencje tego jednego podmuchu wiatru będą się ciągnąć w nieskończoność jak zmarszczki na wodzie stawu, w który wrzucono kamień.

Matka za wszelką cenę próbowała mnie złamać i raz na zawsze położyć kres mojemu destrukcyjnemu zachowaniu. Prała mnie tak strasznie i tak często, że wreszcie zrozumiałem, że nie wolno jej się sprzeciwić ani nawet patrzeć w oczy. Cały czas ostrzegała, że jeśli jeszcze raz ją zdenerwuję, tym razem mnie zabije, i kiedy leżałem na podłodze jak zbita kupa nieszczęścia, nie miałem powodów w to wątpić. Nawet nie próbowała się hamować; gdy biła, wkładała w to wszystkie siły. Nie było w niej cienia samokontroli, cienia obaw, jak duże wyrządzi

szkody, cienia lęku, że naprawdę zabije. Ciosy pięścią w głowę i kopanie bez najmniejszego powodu były normalką. Nawet kiedy zachowywałem się grzecznie, doprowadzałem ją do szału samą swoją obecnością; wiecznie przypominałem jej upokorzenie, na jakie narazili ją ojciec i Marie.

To, że stałem się niemową i zamiast mówić, wydawałem z siebie tylko ciche, skrzeczące dźwięki, złościło ją jeszcze bardziej. Zupełnie jakby sądziła, że drwię z niej tym swoim skomleniem, tym błagalnym spojrzeniem i gorączkowym

kręceniem głową, kiedy próbowałem ją uprosić, żeby już mnie nie biła. Dla niej nie byłem istotą ludzką; sprowadziła mnie do roli znieawidzonego zwierzaka, którego kopie się, bije i maltretuje przy każdej okazji. Byłem jak katowany pies. Widząc ją, przemykałem w cieniu ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w podłogę.

Kiedy straciłem głos, znalazłem inne sposoby komunikacji. Jeśli czegoś chciałem, wskazywałem to palcem i stękałem, ale nawet to doprowadzało ją do szału, więc szybko w ogóle

przestałem się porozumiewać z kimkolwiek. Jasno dawała mi odczuć, że nie cierpi mnie coraz bardziej z każdym dniem. Na tym etapie nic w moim zachowaniu nie robiło żadnej różnicy.

– Nie pokazuj palcem, do cholery – warczała na mnie i wymierzała taki policzek, że leciałem na podłogę.

– Nie patrz na mnie, do cholery!

Albo:

– Cuchniesz jak jasna cholera!

Wszystko dawało pretekst, żeby mnie uderzyć. I nie było temu końca. Każdą porcję gniewu

i rozczarowania światem, a w szczególności moim ojcem, odbijała sobie na mnie. I zachęcała do tego resztę. A Larry i Barry chętnie ją naśladowali, zachwyceni, że mają kogoś stojącego o tyle niżej w rodzinnej hierarchii. Zawsze starali się robić wszystko, żeby zadowolić matkę, i szybko się nauczyli, że upokarzając mnie na wszelkie sposoby, zyskują jej aprobatę, a przy okazji zaspokajają własne sadystyczne instynkty.

Wciąż sypiałem na podłodze w ich pokoju. Wally miał własny pokój na najwyższym piętrze; Thomas i Ellie zajmowali razem

kolejny. Wolałbym sypiać u nich, ale wiedziałem, że nie można kwestionować żadnej decyzji matki. Musiałem siedzieć w sypialni przez całe dni, z wyjątkiem pór posiłków, ale nie wolno mi było bawić się niczym, co należało do moich braci. Gdybym choćby dotknął ich rzeczy, dostałbym lanie, a żadnych własnych zabawek nie miałem. Nudziłem się przez cały dzień i to nasilało jeszcze bardziej poczucie izolacji i frustrację. To wszystko narastało we mnie i aż ręce mnie świerzbiły, żeby coś zbroić albo zepsuć, ale nigdy nie ośmieliłem się tego zrobić.

Do spania miałem tylko pojedynczy koc – żadnego materaca czy poduszki. Larry i Barry zajmowali podwójne łóżko i nienawidzili mojej obecności równie mocno, jak matka. Tłamsili mnie przy każdej okazji, a ilekroć narobili hałasu, który przeszkadzał matce, zwałali winę na mnie. Matka kładła nas wszystkich spać o szóstej czy siódmej wieczorem, żeby móc się spokojnie napić w samotności. Więc zwykle budziłyśmy się koło czwartej czy wpół do piątej i ledwie mogliśmy usiedzieć w łózkach. Larry i Barry zaczynali rozrabiać – bili się

w łóżku, puszczała na siebie bąki. I jeśli przy tym obudzili matkę, wrzeszczała przez ścianę:

– Zamknąć się tam, do cholery!

– To Joe! – odkrzykiwali.

Otwierałem usta, żeby protestować, przerażony nieuchronną karą, ale z mojego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk, a Larry i Barry chichotali triumfalnie, czekając na przedstawienie.

Matka, rozjuszona wczesną pobudką i faktem, że ośmieliłem się rozrabiać mimo to, jak mnie tresowała, wpadała do pokoju

i spuszczała mi kolejne manto. Fakt, że nie miałem jak wytłumaczyć, że jestem niewinny, był raczej bez znaczenia, bo pewnie i tak by mi nie uwierzyła.

Larry i Barry byli zgranym zespołem i często kazali mi robić różne rzeczy, wiedząc, że napytam sobie przez to biedy. Chciałem zadowolić braci, żeby mnie nie bili, a poza tym jako pięciolatek, śmiertelnie znudzony i buchający niewyżytą energią, łatwo dawałem się podpuszczać. I zawsze to mnie matka przyłapywała. Zresztą i tak o wszystko obwiniała mnie, nawet jeśli było oczywiste, że nie mogłem

mieć z daną sprawą nic wspólnego.

– Takie rzeczy się tu nie działy, dopóki ty się nie zjawiłeś – komentowała jakieś drobne przewinienie i znów mnie tłuła i ciągnęła za włosy. A ja szeroko otwierałem usta, ale nie mogłem krzyczeć.

Pewnego ciemnego poranka, kilka miesięcy po śmierci ojca, matka wreszcie miała dość tego, że zakłócam jej sen. Ściągnęła mnie po schodach za włosy na sam dół, wrzeszcząc na całe gardło.

– Tym razem posunąłeś się za daleko, ty pieprzony gnojku! Przeciągnąłeś strunę! Moja

cierpliwość się skończyła. Mam, kurwa, dość!

Naprawdę wierzyłem, że mnie wreszcie zabije. Wystarczająco wiele razy powtarzała mi, że któregoś dnia to zrobi.

Pod schodami były drzwi, za którymi, jak sądziłem, znajdował się schowek na szczotki. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go otwierał, i nikt nigdy nie mówił, co tam jest, ale właśnie miałem się tego dowiedzieć. Matka zaciągnęła mnie tam po podłodze korytarza i otworzyła drzwi. Zobaczyłem kolejne schody, ciągnące się w dół, w ciemność, i ogarnęło mnie

straszne przeczucie. Czyżby tam zabierała ludzi, których chciała zabić?

Zapaliła światło i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem coś, co – jak dowiedziałem się później – nazywało się piwnicą. Piwnica zupełnie nie przypominała czystego, uporządkowanego świata pokoi. Powietrze przesycił zapach pleśni i wilgoci, unoszący się z cieni, których nie rozświetlała pojedyncza żarówka. Grube pajęczyny oblepiały prymitywne ściany z nagich cegieł i drewna. Matka cisnęła mnie w dół schodów i ruszyła za mną, bijąc i kopiąc. Na

dole były kolejne drzwi – grube, wiktoriańskie, z solidnego drewna. Otworzyła je i pchnęła mnie do środka, jakbym był snopkiem słomy. Zapaliła jeszcze jedną lampę i teraz mogłem zobaczyć, do jak straszego miejsca mnie wtrąciła.

W piwnicy nie było niczego oprócz brudnego, starego materaca opartego o ścianę. Matka nie mogła ani sekundy dłużej znieść mojego widoku. Zatrzasnęła za mną drzwi i zgasiła światło od zewnątrz. Słyszałem, jak upycha coś pod klamkę, żebym nie mógł się wydostać. W końcu wściekłym krokiem wróciła na górę i wraz

z ciemnością ogarnęła mnie cisza.

Przez chwilę miałem wrażenie, że siedzę w kompletnej czerni, ale oczy przywykły mi do paru mizernych promieni światła, które wpadały przez wywietrznik wysoko na ścianie. Kiedy przyszedł świt, zapanował półmrok, w którym po omacku mogłem zbadać pomieszczenie. Nawet gdyby matka nie podparła drzwi, nie byłem tak głupi, żeby próbować je otworzyć bez pozwolenia i dosięgnąć włącznika. Byłem w samych majtkach i natychmiast zacząłem marznąć. Trząsałem się z zimna. Usiadłem i czekałem, co będzie

dalej. Słuchałem pociągów przejeżdżających z hurgotem za wywietrznikiem i marzyłem, że wsiadam do jednego z ciepłych, jasnych wagonów, które tyle razy widziałem pod oknem. Marzyłem, żeby odjechać jak najdalej od tej piwnicy.

Znalazłem się w świecie, o którego istnieniu jeszcze parę minut temu nie wiedziałem i który miał się stać moim więzieniem na trzy następne lata.

Więzienie

Nie wydaje mi się, żeby matka już wcześniej zamierzała przekształcić to ciemne, małe pomieszczenie pod ziemią w więzienną celę. Po prostu wepchnęła mnie tam i podparła drzwi od zewnątrz. Wtedy jeszcze drzwi nie miały zamka – pojawił

się później, więc raczej nie zaplanowała tego z góry. Myślę, że po prostu miała mnie dość tego ranka. Dość tego rozpieszczonego, niegrzecznego bachora, jakim byłem w jej przekonaniu. Chciała usunąć mnie sprzed oczu i dać mi nauczkę raz na zawsze. Dopiero kiedy znalazłem się już w zamknięciu, zdała sobie sprawę, że to dla mnie najlepsze miejsce. Przypadkiem odkryła sposób, by nie musieć mnie oglądać, a jednocześnie mieć pod ręką, i móc wyżyć się na mnie, kiedy nie była już w stanie znieść goryczy i gniewu. Mogła mnie tam trzymać

tak długo, jak chciała, bo nie musiała się przed nikim tłumaczyć.

Kiedy znika dziecko, zwykle to jego spanikowani, zrozpaczeni najbliżsi podnoszą alarm, ale w moim przypadku to najbliżsi spowodowali, że zniknąłem, więc dlaczego ktokolwiek miałby to zauważyć? Innych ludzi, których mogło obchodzić, co się ze mną dzieje, takich jak Marie i ciotka Melissa, matka przepędziła już na samym początku. Nikt nie spodziewał się żadnego kontaktu ze mną.

Kiedy inne dzieci bawiły się na słońcu, chodziły do szkoły,

zawierały przyjaźnie i uczyły się nowych rzeczy, ja siedziałem po ciemku, całkiem sam. O ile wiem, w trakcie tych trzech lat nikt z opieki społecznej nawet nie zapytał, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Zresztą, może i przychodzili, a matka wciskała im taką czy inną bajeczkę. Może powiedziała, że wyprowadziłem się z tej okolicy, ale w takim wypadku pewnie zażądałiby jakichś dowodów na poparcie jej słów. Moje nazwisko na pewno było w systemie, bo kiedy przestałem mówić, byłem u miejscowego lekarza, więc musiałem mieć

przynajmniej numer ubezpieczenia. Jestem też prawie pewien, że matka brała na mnie zasiłki z opieki społecznej, bo potrzebowała każdego pensa, jakiego dało się wskrobać. Więc jak mogłem tak po prostu zniknąć wszystkim z widoku? Dlaczego nikt nawet nie zapytał, gdzie się podziałem? Może mieli bałagan w papierach, bo mieszkałem pod dwoma adresami – u matki i u Marie. A może po prostu mieli za dużo roboty. Nie wiem tego i pewnie już nigdy się nie dowiem.

Tego pierwszego dnia długo siedziałem na gołej podłodze

i wyteęzałem słuę, czy ktoś nie schodzi na dół, żeby znowu mnie zlać. W końcu jednak zebrałem się na odwagę i przewróciłem materac, żeby urządzić sobie trochę wygodniejsze legowisko. Kiedy klapnął na podłogę, o mało nie udławiłem się od zateęhłego, wilgotnego smrodu, który wzbił się w powietrze razem z chmurą kurzu. To wszystko wypełniło mi płuca, aż zacząłem rzezić. Było o wiele lepiej, kiedy odizolowałem ciało od zimnego, twardego cementu, chociaż materac okazał się pełen gruzłów i ostrych sprężyń.

Leżałem tak, wpatrując się

w ciemność, ale nie minęło wiele czasu, kiedy zachciało mi się siku. Ostatni raz opróżniałem pęcherz poprzedniego wieczoru i teraz poczułem, że jest boleśnie pełny. Nie miałem pojęcia, jak długo tu będę, a z pewnością nie miałem odwagi walić w drzwi, wołać o pomoc czy nawet spróbować je otworzyć i po ciemku poszukać drogi na górę. Wiedząc, jak wściekała się matka, ilekroć posikałem się niechcący, próbowałem wytrzymać, ale ból w końcu stał się tak ostry, że musiałem się poddać i załatwiłem się na podłogę. Mimo ogromnej

ulgi wiedziałem, że będę miał kłopoty, jeśli matka to zauważy. Miałem nadzieję, że kałuża zdąży wyparować, zanim ona wróci, ale wiedziałem, że to mało prawdopodobne. Uryna przesycała powietrze nowym zapachem i chociaż pozbyłem się jej z taką ulgą, czułem się jeszcze bardziej brudny, kiedy znów położyłem się na materacu, by czekać na to, co się stanie. Zastanawiałem się, czy to już koniec? Czy po prostu zostawią mnie tutaj, żebym umarł z głodu i pragnienia?

Wiele godzin później usłyszałem kroki na schodach i w

piwnicy zapaliło się światło, niemal oślepiając mnie jaskrawym blaskiem. Kiedy matka otworzyła drzwi i weszła, natychmiast poznałem po jej minie, że poczuła, co zrobiłem. Skuliłem się, przygotowany na ciosy.

– Ty brudny gówniarzu – warknęła, wykrzywiając z obrzydzeniem wargi. – Kurwa, nie jesteś nawet przyuczony, żeby nie lać po kątach.

Tak jak się spodziewałem, wpadła w dziką furję, że ośmieliłem się zanieczyścić jej dom – nawet tak odległy, brudny i zapomniany jego zakątek.

Uzbrojona w jeszcze jeden powód do gniewu ściągnęła mnie za włosy z materaca i sprąła, ile wlezie. Wciąż trzymając mnie mocno za włosy, pchnęła mnie na kolana i wytarzała mi twarz w kałuży sików, z całej siły, jakby próbowała nauczyć porządku wyjątkowo opornego szczeniaka. Przyciskała mnie do podłogi tak mocno, że bałem się, że złamie mi nos.

– Ty brudny, mały gnoju! – wrzeszczała, trąc bez miłosierdzia. W końcu krzyknęła do Wally’ego: – Przynieś mopa i wiadro!

Kiedy Wally zbiegł na dół,

z całej siły cisnęła we mnie mopem.

– A teraz sprzątaj – zarządziła.

Patrzyła, jak pracuję, przez cały czas wykrzykując rozkazy:

– Trzyj mocniej! Więcej wody! – Potem znów zwróciła się do Wally’ego: – Przynieś jeszcze dwa wiadra zimnej wody – poleciła mu, a on posłusznie wrócił na górę, żeby wylać pomyje. Zakładałem, że matka użyje czystej wody do spłukania podłogi, ale kiedy Wally zniósł wiadra na dół, odesłała go, po czym wylała zawartość obu wiader na mnie. Szok z powodu lodowatego

prysznicą pozbawił mnie tchu.

– Cuchniesz – warknęła. – Ty mała świnió!

Zostawiła jedno z wiader na dole, żeby od tej pory służyło mi za toaletę, po czym podparła klamkę z drugiej strony i znów zostałem w ciemności, drżący z zimna na przemoczonym materacu, całkiem sam. Co ze mną będzie? Czy prędzej umrę z pragnienia, czy z głodu?

Z początku któreś z nich przynosiło mi jedzenie raz dziennie, ale im dłużej siedziałem na dole, tym mniej matka była skłonna wyrzucać pieniądze na moje

wyżywienie. Byłem dla niej tylko kłopotem, utrapieniem, i wołała o mnie nie pamiętać. Czasami to ona przynosiła mi ochłapy, a czasem przysyłała Larry'ego i Barry'ego, którzy z radością korzystali z nowej okazji, żeby mnie upokarzać. W ich pojęciu znienawidzony pies został zamknięty w klatce, dzięki czemu nie zasmradzał im już sypialni. Kiedy zdali sobie sprawę, że im gorzej mnie traktują, tym bardziej zadowolona jest z nich matka, wykorzystywali każdą sposobność, żeby okazać, jak bardzo mnie nienawidzą, i pofolgować swoim

sadystycznym skłonnościom. Tak jak przedtem pluli mi do jedzenia i wywalali je na podłogę, po czym zmuszali mnie, bym je zlizywał jak pies, choć oczywiście lizanie brudnych cegieł było sto razy gorsze niż lizanie nieskazitelnie czystej podłogi matczynej kuchni. Jeśli opierałem się przed tym, wołali matkę.

– Mamo, Joe znowu ma napad złości – mówili. – Porozwalał jedzenie po podłodze. Co mamy zrobić?

Wtedy schodziła do piwnicy, klekocząc kłapkami, biła mnie i wycierała twarz o podłogę, by

mnie ukarać za brak szacunku i niewdzięczność. Kiedy bracia przynosili mi wodę w butelkach, często smakowała dziwnie – nie miałem pojęcia, co do niej dolewali – a czasem zaklejali na sztywno zakrętki tak, że musiałem przegryzać plastik, by dostać się do zawartości. Moje mleczone zęby szybko stały się tak słabe z niedożywienia i braku higieny, że kruszyły się i łamały nawet od słabego nacisku. Tak więc do najróżniejszych rodzajów bólu, z którymi się zmagalem, dołączył również ból zębów. Ale tak naprawdę nie było ważne, jak

bardzo boli i jak smakuje woda, bo bywałem tak spragniony, że wypiłbym wszystko.

Zdarzało się, że matka zabierała mi nawet majtki, twierdząc, że je brudzę.

– Ty brudna, mała świnió – mówiła. – Trzeba cię nauczyć porządku! – I zostawiała mnie nagiego na wiele dni. Kazała założyć zamek w drzwiach, żeby nie musieć ich podpierać za każdym razem, a to oznaczało, że nie miałem najmniejszych szans wydostać się stąd sam. Czasami, kiedy nikt nie schodził do mnie przez dzień czy dwa, zastanawiałem

się, co będzie, jeśli całkiem o mnie zapomną. Czy będę już tylko szkieletem na materacu, kiedy wreszcie przyjdą do mnie zajrzeć? Ale i tak wolałem siedzieć cicho i umrzeć w spokoju, niż łomotać w drzwi i przypominać im o swoim istnieniu – wszystko, byle tylko nie sprowadzać na siebie gniewu i bólu.

Często, kiedy matka karała mnie za coś, mówiła o tacie. Przy każdym ciosie i kopniaku opowiadała:

– Był gównianym facetem i gównianym mężem. A ty jesteś takim samym gównem jak on.

Ból, którego przysporzył jej ojciec, nie słabł z czasem; wręcz przeciwnie, zdawał się wywoływać w niej coraz większy gniew. Jakby teraz, kiedy nie żył, jej żal stał się jeszcze większą obsesją niż za jego życia. Może złościła ją myśl, że umierając, tata uciekł przed jej zemstą? Że nie mogła mu już zatruwać życia, więc teraz zamiast na nim odgrywała się na mnie?

– Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, przypomina mi się ten pieprzony drań! – krzyczała, wymierzając mi kolejną serię ciosów.

Ja też myślałem o nim bez

przerwy. Wspominałem czasy, kiedy byliśmy razem, i wyłem z rozpacz, że już go nie ma. Nieskończone godziny, które spędzałem sam w zamknięciu, wypełniałem wyimaginowanymi rozmowami – takimi, jakie prowadziliśmy, siedząc razem w samochodzie czy w warsztacie. Wyobrażałem sobie, że siedzi na materacu obok mnie, że coś mi odpowiada. Kiedy nogi i ręce sztywniały mi albo marzły za bardzo, wstawałem i chodziłem w kółko, by je rozruszać, i udawałem, że idę na spacer z tatą. Przeżywałem chyba wszystkie

możliwe emocje. Czasami byłem zły na niego, że tak na siebie nie uważał i zostawił mnie z matką i resztą tej bandy, chociaż wiedział, że potrzebuję jego ochrony. Czasami zapadałem się w czarną, wszechogarniającą rozpacz. A najbardziej chciałem umrzeć, żeby na zawsze być z nim.

– Panie Boże, jestem dobrym chłopcem – modliłem się. – Proszę, zabierz mnie. Proszę Cię, pozwól mi być z tatą.

Czasami fantazjowałem. Wyobrażałem sobie z całych sił, że mam dobrą mamusię i tatusia, że oboje żyją, oboje mnie kochają

i jesteśmy razem jak szczęśliwa rodzina. I te obrazy w mojej głowie były niemal realne. Fantazje pozwalały trochę znośniej spędzić czas, ale potem wracałem do rzeczywistości i aż mnie mdliło, kiedy docierało do mnie, że to wszystko działo się tylko w mojej głowie, a ja ciągle leżę sam w ciemnościach, sztywny z zimna i głodny.

Bywało, że matka i reszta zostawiali mnie samego na tak długo, że wiadro, które służyło mi za toaletę, napełniało się po brzegi. Kiedy zawartość podchodziła do krawędzi, powstrzymywałem się od

sikania tak długo, jak mogłem, bo bałem się, że się przeleje na podłogę i znowu wyląduję twarzą w moczu. Ale w końcu nie dało się dłużej i musiałem się wysikać. Smród z wiadra stawał się tak nieznośny, że ktokolwiek wchodził do celi, dławił się, zatykał usta i nos, i naprawdę wierzył, że jestem tylko brudną, cuchnącą kreaturą w klatce, zwierzęciem, spod którego trzeba regularnie wyrzucać gnój i spłukiwać je wodą. Kiedy wiadro było już całkowicie pełne i stało w kałuży, próbowałem szukać nowych miejsc, w których można by ukryć mokrą plamę, ale

nigdy nie zdołałem przechytrzyć matki i zawsze kończyło się wycieraniem podłogi moją twarzą.

Któregoś dnia, kiedy siedziałem już w piwnicy od paru miesięcy, matka wygłosiła zdumiewające oświadczenie:

– Śmierdzisz tak strasznie – powiedziała – że czuć cię już przez podłogę. Więc idziesz się kąpać. No już, ruszaj się, cholera!

Popychała mnie szorstko, niecierpliwie, i tłuła po drodze w głowę. Zaprowadziła mnie na górę, do łazienki, i osobiście wyszorowała z całą typową dla siebie brutalnością. Kiedy byłem na

górze, zdawało mi się, że słyszę na parterze męski głos. Gdy matka z powrotem zaprowadziła mnie do piwnicy, okazało się, że ktoś założył na drzwiach porządny zamek z kluczem, który przekręcało się dwa razy, jakby dla podkreślenia, że jestem tu zamknięty raz na zawsze. Widocznie matka ściągnęła ślusarza. Moje uwięzienie stało się oficjalne i załamało mnie to do reszty. Będę tu siedział już zawsze, aż do śmierci? Na to wyglądało.

Miesiące wlekły się w nieskończoność. Przywykłem do nasłuchiwania odgłosów

dobiegających z za wywietrznika i z domu nade mną. Siedząc w ciemności, musiałem polegać na uszach, bo to dzięki nim zdobywałem informacje, a kiedy nie rozpraszało mnie to, co można zobaczyć, słuch bardzo mi się wyostrzył. Już po sposobie otwierania drzwi na górze, po szybkości i ciężarze kroków na schodach potrafiłem poznać, kto do mnie idzie. Najbardziej bałem się zawsze, kiedy szła matka, bo to nieodmiennie oznaczało bicie. A najlepiej było wtedy, kiedy Wally przynosił jedzenie albo sam przychodził, żeby trochę ze mną

pobyć i mnie pocieszyć. Nie był taki jak reszta i choć matka wyraźnie zabraniała mnie odwiedzać, kiedy wychodziła z domu, łamał ten zakaz, jeśli tylko wiedział, że ujdzie mu to na sucho.

Dorosłym ludziom zdarzało się tracić zmysły, jeśli byli trzymani w samotności i zamknięciu tak długo jak ja, a co dopiero w tak strasznych warunkach. Sądzę, że uchroniły mnie przed tym tylko wizyty mojego najstarszego brata, Wally'ego. Choć Wally miał już wtedy osiemnaście lat, bał się matki tak samo jak wszyscy i zawsze robił, co mu kazała. Nie

był jednak sadystą. Gnębienie mnie nie sprawiało mu takiej przyjemności jak tamtym dwóm braciom i kiedy miał pewność, że matka się nie dowie, był dla mnie dobry. Pewnie uchodził za gamonia z tymi swoimi grubymi okularami à la Buddy Holly, krótkimi włosami i piegami. Ale ja go kochałem za te drobne przejawy serca. Przez długie lata był jedynym promieniem światła w moim życiu.

Kiedy matka siedziała w pubie, a reszta dzieciaków leżała już w łóżkach, czasami wymykał się na dół z porcją wykradzonego jedzenia. Siadał obok mnie na

śmierdzącym materacu i czytał mi opowiadania o żołnierzach, bohaterach i złoczyńcach. Teraz, kiedy to wspominam, sędzę, że wymyślał część tych historyjek, bo często wydawały się dziwnie podobne do mojej sytuacji – były to bajki o złych matkach i małych chłopcach, którzy w końcu uciekali z niewoli i żyli długo i szczęśliwie. To był jego sposób na to, żeby obudzić we mnie nadzieję, że kiedyś będzie lepiej, że ten koszmar nie będzie trwał wiecznie. W odróżnieniu od reszty traktował mnie niemal jak dorosłego.

– Masz już prawie siedem lat,

Joe – mawiał. – Pora, żebyś był dzielny i silny.

Wiedziałem, że ma rację, bo o tym opowiadały wszystkie historie, które mi czytał – o młodych chłopcach, którzy stawali się bohaterami, potrafili pokonać podły los i zło. Ale czasem myślałem, że łatwo mu to mówić, bo jest wolny i ma miłą, ciepłą sypialnię, do której może uciec przed krzykami i biciem.

Kiedy byliśmy tylko we dwóch, śmiał się z mamy i nazywał ją moczymordą. Nie wiedziałem, co to moczymorda, a że nie mówiłem, nie mogłem go o to zapytać, ale

wyobrażałem sobie, że to pewnie jest jej zawód. Zakładałem, że jest w tym dobra i zarabia mnóstwo pieniędzy, skoro może utrzymać tyle dzieci.

Spędziłem tyle czasu w ciemności i samotności, że byłem coraz bardziej opóźniony, jeśli chodzi o rozumienie języka i funkcjonowanie zewnętrznego świata. Wally był jedynym człowiekiem, który prowadził ze mną prawdziwe rozmowy – reszta tylko klęła i drwiła – więc tylko on uczył mnie czegokolwiek wartościowego. Ale nie mogłem zadawać mu pytań, więc i ta nauka

była bardzo ograniczona. Czasami sprawiało, że śmiałem się w głowie. I chociaż nie wydawałem żadnego dźwięku, Wally zawsze potrafił poznać, że się śmieję, bo za każdym razem robiłem tę samą minę z lekko zmarszczonym czołem. Kiedy ją widział, on też się śmiał, a ja przez parę minut byłem szczęśliwy, bo choć na chwilę mogłem zapomnieć o bólu i swojej niedoli.

– Mama ma trochę nierówno pod sufitem – mówił Wally, ale nie wiedziałem, co to znaczy. Patrzyłem na niego zdezorientowany. – No wiesz, kuku na muniu – próbował wyjaśnić mi to inaczej, pukając się

w głowę. – Odbija jej szajba!

Domyślałem się, że chodzi o coś, co mama ma w głowie, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, co może w niej kukać ani co to jest ta szajba. Wally mówił mi często, że matka jest chora na głowę, więc może ta kukułka i ta szajba wywoływały chorobę. Małe dzieci niemal wszystkiego uczą się przez zadawanie pytań. Kiedy nie możesz tego robić, kiedy jesteś sam, czasem przez całe dni, nie masz żadnych rzeczy, które mogą cię zainteresować, młody, rozwijający się mózg musi na tym ucierpieć. Wiem tyle, że te lata opóźniły mój

rozwój i zahamowały zdolność rozumienia świata i zjawisk, które dla dzieci w moim wieku były już czymś zwyczajnym. Żyłem w próżni, odcięty od wszelkich przejawów normalnego życia, bez żadnej odmiany poza krótkimi wizytami Wally'ego.

Brat starał się zachęcać mnie do mówienia, cierpliwie próbował wydobyć z mojego sparaliżowanego gardła choćby najprostsze dźwięki i nieustannie pracował nad przywróceniem pewności siebie, którą matka zniszczyła we mnie biciem.

– Kiedy dorośniesz, będziesz

bardzo inteligentny – powtarzał. –
To znaczy mądry.

Prawdę mówiąc, wątpiłem, czy w ogóle dorosnę, bo matka powtarzała mi w kółko, że nie dożyję następnych urodzin, ale mimo to lubiłem słuchać pochlebstw i wiedzieć, że ktoś wierzy we mnie. Wierzy, że kiedyś nadejdzie koniec mojej niedoli, że wyrwę się z celi.

Ale czasami Wally robił mi dowcipy. Któregoś roku pierwszego kwietnia zszedł na dół i powiedział mi, że matka spadła ze schodów i umarła. Gigantyczny ciężar spadł mi z serca. Byłem

wolny, Bóg odpowiedział na moje modlitwy. Kiedy Wally wyjaśnił mi, że to prima aprilis i że tylko żartowałem, znów poczułem się, jakby cały świat wylądował mi na barkach.

– Nie masz takiego farta, braciszku – powiedział, zanim wyszedł z celi. – Ale może kiedyś i tobie się poszczęści.

Któregoś wieczoru, kiedy przyszedł mnie odwiedzić, nie mogłem przestać się trząść. Wally wyjaśnił mi, że moje ciało dopiero wychodzi z szoku po tym, jak matka sprząła mnie godzinę czy dwie wcześniej. Po takim laniu bolało

mnie dosłownie wszystko. Pewnego razu serce biło mi tak szybko, że Wally się zaniepokoił. Powiedział, że chyba zaraz eksploduję. Musiałem widocznie zrobić spanikowaną minę, bo roześmiał się i dodał:

– Nie martw się. Nie pozwolę na to.

Zawsze potwornie się bał, że matka albo bracia przyłapią go na dole, i wymykał się z powrotem o wiele za szybko, jak dla mnie. Miałem wrażenie, że był ze mną ledwie parę minut. Kiedy słyszał, jak matka mija na zewnątrz wywietrznik w ścianie, wiedział, że

ma akurat tyle czasu, by wrócić na górę, zanim Lesley zdąży obejść dom i otworzyć sobie drzwi kluczem. Jeśli wracała z pubu, niemal zawsze zataczała się, urżnięta, i na całe gardło wykrzykiwała obelgi pod adresem każdego, kto napatoczył jej się w domu. To ją trochę spowalniało, a dzięki wrzaskom Wally wiedział dokładnie, gdzie jest. Ja oczywiście nie chciałem znów zostawać sam w ciemnościach. Rozpaczliwie czepiałem się nóg Wally'ego jak przestraszony berbec i patrzyłem na niego błagalnym wzrokiem, skomlać jak szczenię.

– Chyba nie chcesz, żeby twój brat miał kłopoty, co? – mówił, szamocząc się ze mną. – Musisz mnie puścić, Joe.

W końcu musiał mnie od siebie odrywać siłą, żeby wyjść, i w pośpiechu wpychał mnie do środka, by zamknąć za sobą drzwi, zgasić światło i pognać na górę.

Zwykle to on opróżniał moje wiadro, ale wolno mu było to robić, tylko kiedy matka mu kazała. Gdyby przyłapała go na robieniu czegokolwiek dla mnie z dobrego serca, sam miałby przechłapanie. Wy tłumaczył mi, że czasami będzie musiał udawać, że jest dla mnie

wredny przy matce, Larrym i Barrym. I że to nie tylko dla jego dobra, ale i mojego.

– Jeśli ona pomyśli, że cię lubię – wyjaśnił – zabroni mi do ciebie przychodzić i już w ogóle nie będę mógł ci pomagać.

Którejś nocy było mu mnie tak żal, że próbował przekraść się do mnie z porcją ciastek o drugiej nad ranem, kiedy myślał, że matka już śpi. Przyłapała go, kiedy otwierał drzwi pod schodami. Leżąc na materacu, słyszałem, jak na niego wrzeszczy.

– Co ty tu robisz o tej godzinie, do cholery? Dokąd z tym

leziesz?

– To nic takiego. Chciałem się z nim tylko trochę podrażnić – skłamał – i zjeść te ciastka przy nim.

Najwidoczniej mu nie uwierzyła, bo słyszałem, jak go leje, i wmówiłem sobie, że to moja wina, bo niepotrzebnie wzbudzałem w nim współczucie.

Gdyby nie potajemne odwiedziny Wally’ego, pewnie umarłbym z głodu albo kompletnie stracił rozum przez te miesiące i lata. To była jedyna radość, na jaką mogłem czekać, jedyna ulga od samotności i cierpienia. Jestem

przekonany, że bez jego dobroci po prostu bym nie przetrwał.

Nigdy nie wiedziałem, kiedy spodziewać się kolejnego lania od matki. Czasami zapominała o mnie na całe dni, a czasami karała mnie regularnie. Bywały wieczory, kiedy po powrocie z pubu próbowała dostać się do mnie, bo miała ochotę się wyżyć, ale była zbyt pijana, żeby trafić kluczem w zamek. A ja siedziałem skulony na materacu, trzęsąc się ze strachu. Słyszałem, jak tłucze się po drugiej stronie, przeklina i wykrzykuje, że mnie

zabije, że jestem małym gnojem i pożałuję, że żyję, kiedy tylko mnie dorwie. Nie sposób opisać mojej ulgi, kiedy wreszcie rezygnowała i, potykając się, wracała na górę. Wiedziałem, że jestem przed nią bezpieczny przynajmniej przez parę godzin, dopóki nie odeśpi pijaństwa.

Kiedy już przesiedziałem w piwnicy kilka miesięcy, matka, której widocznie nie zadowalało spuszczenie mi manta w przypadkowy sposób, postanowiła bardziej sformalizować moje kary. Teraz były niemal jak rytuał. Kazała

Barry'emu i Larry'emu znieść do piwnicy trzy solidne, drewniane krzesła. We trójkę rozbierali mnie do naga i rozciągali na siedziskach. Bracia trzymali mnie za nadgarstki i kostki, a matka tłukła mnie okrutnie bambusowymi tyczkami, które jej synowie kradli z sąsiednich działek, albo kijem od miotły.

– Ty zasrany gnojku! – krzyczała, bijąc raz po raz. – Nienawidzę cię, kurwa! Zastrzełiłabym cię, gdybym miała z czego!

Larry i Barry śmiali się przez cały czas i zagrzewali ją, żeby biła

mocniej.

– Pokaż mu, pokaż temu
małemu ciulowi!

Chciałem krzyczeć, ale nie
mogłem wydobyć głosu z gardła.
Cały ten ból pozostawał zamknięty
w mojej głowie. Zwykle biła mnie,
póki nie straciłem przytomności.
Budziłem się jakiś czas później,
rzucony na materac. Bolało
wszystko; ledwie chwytałem
oddech i ledwie mogłem się ruszać.

Któregoś razu, kiedy się
ocknąłem, nie leżałem na materacu,
jak zwykle. Kiedy byłem
nieprzytomny, skrupowali mi ręce
nad głową i przywiązali do żelaznej

rury, biegnącej od podłogi do sufitu. Wciąż byłem goły, a całe plecy potwornie mnie bolały po laniu, które dostałem przed chwilą. Nagle chlusnęło na mnie wiadro lodowatej wody, trzeźwiąc do reszty. Zachłysnąłem się, rozpaczliwie usiłując chwycić powietrze w płuca, rżąc i charcząc. Matka śmiała się ze mnie, trzymając puste wiadro.

– Nie masz nic do powiedzenia, gnojku? – spytała. – Gdzie jest ten twój cholerny, zasrany tatuś, kiedy go potrzebujesz?

Udało mi się podnieść głowę

i spojrzeć jej w oczy. Natychmiast zrozumiałem, że to błąd, i znów odwróciłem spojrzenie, ale było już za późno. Skoczyła do mnie, chwyciła za włosy i trzasnęła moją głową o rurę z tyłu.

– Nie patrz tak na mnie, ty małe gównio!

Ugryzłem się w język i poczułem krew w ustach. Pomyślałem – pamiętam to – że gdybym miał pistolet, wolałbym sobie strzelić między oczy, niż znosić to jeszcze choćby przez chwilę. Matka wypadła z piwnicy. Słyszałem, jak idzie na górę wściekłym krokiem, jak wali

drzwiami. Moje całe ciało trzęsło się, nie mogłem powstrzymać drgawek. I chyba znów zemdlałem z bólu.

Ocknąłem się, kiedy ktoś schodził na dół. O nie! – pomyślałem. Tylko nie to. Za bardzo huczało mi w głowie, dzwoniło w uszach, żebym mógł się zorientować, kto to idzie. Byłem pewien, że tym razem matka mnie zabije, tak jak mi to wiecznie obiecywała, i skróci moje cierpienia. Widocznie za bardzo ją rozzłościłem, kiedy ośmieliłem się na nią spojrzeć. Pewnie uznała, że to za duża bezczelność. Walczyłem

o każdy oddech i łzy ciekły mi po twarzy, kiedy słyszałem, jak klucz dwukrotnie przekręca się w zamku.

– Spokojnie, Joe – powiedział Wally. – To tylko ja. – Spojrzał na mnie ze smutkiem. – Dlaczego ją prowokujesz? – spytał łagodnie. – Co ci mówiłem? Nie wolno na nią patrzeć, głuptasie. Kiedy do ciebie mówi, zawsze patrz w podłogę.

Widocznie pozwoliła mu zejść i mnie uwolnić, bo odwiązał mi nadgarstki od rury – wiedziałem, że nie ośmieliłby się tego zrobić sam. Ręce opadły mi bezwładnie i zwałem się na twardą, zimną podłogę jak trup. Wally delikatnie

rozmasował mi nadgarstki, by przywrócić krążenie, a potem podniósł mnie pod pachy i przeciągnął na materac. Położył mnie na brzuchu tak delikatnie, jak umiał.

– To wszystko wina twojego taty – tłumaczył, ostrożnie przemywając mi rany wodą z solą, ale ja nie byłem już w stanie słuchać. Za bardzo mnie bolało, a poza tym miałem dość słuchania w kółko tego samego, nawet od Wally’ego. – To trochę zaboli – ostrzegł. Zmarszczyłem twarz, kiedy sól dostała się w rany. Było nawet przyjemnie, kiedy zajmował

się mną tak delikatnie, nawet jeśli sól rzeczywiście szczypała. Po chwili podniósł się i zapowiedział, że mam leżeć spokojnie i czekać, aż będzie mógł wrócić. Znowu usłyszałem odgłos zamykanych drzwi, znowu zgasło światło. Kroki Wally'ego ucichły na schodach. Musiałem poczołgać się do wiadra, żeby zwymiotować i w słabym świetle wpadającym przez wywietrznik dostrzegłem w wymiocinach pasemka krwi. Nie miałem siły doczołgać się z powrotem do materaca, więc położyłem głowę na betonie i znowu ogarnęła mnie litościwa

nieświadomość.

Obudził mnie Larry, który wpadł z hukiem do celi.

– Cześć, gnojarku – powiedział i klepnął mnie boleśnie w plecy. – Och, przepraszam. – Roześmiał się. – Zapomniałem, że tu cię boli. Masz tu lemoniadę, fiucie!

Rzucił dużą, plastikową butelkę na podłogę obok mnie. Dopiero kiedy sobie poszedł i spróbowałem ją odkręcić, przekonałem się, że znowu zakleili kapsel. Nie miałem siły przegryźć go od razu. Znow straciłem przytomność.

Matka zostawiła te trzy twarde krzesła w celi, by mi przypominały, co mnie niedługo czeka. Jakbym mógł zapomnieć. Modliłem się, by wydobyć z siebie głos – powiedziałbym jej wtedy, jak bardzo żałuję, że tata tak bardzo ją zawiódł. Powiedziałbym cokolwiek, zrobił cokolwiek, byle tylko przestała mnie tak nienawidzić, ale jej gniew zdawał się rozpalać coraz mocniej z upływem czasu. Przez to, że byłem w tak kiepskim stanie i bez przerwy oddychałem wilgotnym, zatęchłym powietrzem piwnicy, dostałem astmy. Właściwe

walczyłem o każdy oddech, a szczególnie kiedy się bałem – czyli przez większość czasu. Rzęzenie, które wydawałem z siebie, usiłując wciągnąć powietrze w płuca, było kolejnym źródłem irytacji matki. Kolejnym powodem, żeby mnie tłuc, co z kolei sprawiało, że oddychałem z jeszcze większym trudem. I nic nie mogłem zrobić. Byłem kompletnie, absolutnie bezsilny.

Przez większość tego okresu nie miałem poczucia czasu i nie wiedziałem, jak długo siedzę w piwnicy. Z ciągu identycznych dni wyróżnił się dzień moich

siódmym urodzin, bo Larry i Barry zbiegli z tupotem po schodach, zaczęli pstrykać światłem w mojej piwnicy i wrzeszczeć z zewnątrz:

– Wszystkiego najlepszego, gnojku! Jesteś gotów na urodzinową niespodziankę, onanisto? – Wpadli przez drzwi z obłąkańczym śmiechem i już wiedziałem, co będzie, bo robili mi to wcześniej. Nie cieszyłem się. Był tylko strach.

– Nie zasługujesz na prezenty – oświadczyła matka, która zeszła za nimi. – Bo jesteś dzieckiem zdradliwego, kłamliwego i martwego sukinsyna.

W każde urodziny bracia

podrzucali mnie na wiwat i te urodziny nie były wyjątkiem. Ciskali mną tak wysoko, jak się dało. I pozwalali spaść na beton. Matka patrzyła na to wszystko z aprobatą. Znow chwyтали mnie za ręce i nogi. Kręciłem gorączkowo głową, by im dać znać, że wcale mi się to nie podoba, ale udawali, że nie rozumieją.

– Powiedz, jeśli chcesz, żeby przestali – mówiła matka, wiedząc oczywiście, że nie mogę tego zrobić.

Po każdym upadku na podłogę kompletnie traciłem oddech.

Kiedy skończyli, zobaczyłem,

że Wally idzie do mnie z prezentem.

– Wszystkiego najlepszego, bracie – powiedział, delikatnie wkładając prezent w moje drżące dłonie.

Patrzyłem na pakunek z przerażeniem. Co ten Wally wyprawiał? Czy to miał być jakiś dowcip? Dlaczego dał mi prezent przy matce? Przecież musiał wiedzieć, jaka będzie jej reakcja.

Matka wyrwała mi paczkę i z całej siły cisnęła nią o ścianę, rozbijając to, co było w środku. Usłyszałem odgłos pękającego przedmiotu. Natychmiast obróciła się na pięcie i z rozmachem

strzeliła Wally'ego w twarz, przeklinając go wrzaskliwie, że ośmielił się być dla mnie miły, chociaż wiedział, że nie wolno. Że na to nie zasługuję, że trzeba mnie ukarać i dać mi nauczkę.

– Uspokój się, mamó – rzucił szybko, kombinując, jak się wyłgać. – To był tylko żart. Chciałem się z nim podroczyć, wkurzyć go. Miałem nadzieję, że rozwalisz prezent o ścianę na oczach tego gnojka.

Było to najbardziej nieprzekonujące kłamstwo, jakie słyszałem z ust Wally'ego. Nie mogłem uwierzyć, że mu się

upiecze, ale matka natychmiast przestała na niego krzyczeć i zaczęła przeproszać, że go uderzyła.

– Wybacz, synu – powiedziała, uśmiechając się do niego słodko. – Wiesz, jak mnie czasami ponosi. Ten gówniarz nie zasługuje na nic! Niech tu zgnije. – Rzuciła się do mnie i wrzasnęła mi do ucha: – I zobacz, co przez ciebie zrobiłam mojemu Wally’emu, ty mały gnoju!

Nie odrywałem wzroku od podłogi. Bałem się na nią spojrzeć, więc nie spodziewałem się kopniaka, który trafił mnie w głowę. Matka podniosła rozbity

prezent, odwróciła się i wypadła z celi. Kazała Larry'emu i Barry'emu iść za sobą, a Wally'emu zamknąć drzwi na klucz.

Kiedy już usłyszałem, że tamci sobie poszli, spojrzałem na Wally'ego, a on puścił do mnie oko, ale widziałem, że ma łzy w oczach, bo powiększały je grube okulary.

– Przepraszam – powiedział bezgłośnie, po czym wycofał się z celi i zamknął drzwi, jak mu kazano.

Nie miałem mu za złe, że skłamał. Wiedziałem, że boi się jej tak samo jak ja. Byłem zaskoczony,

że w ogóle zaryzykował i przyniósł mi prezent. Wątpiłem, by jeszcze kiedyś powtórzył ten błąd. Poczułem, że matka wybiła mi tym kopniakiem kolejnych kilka zębów. Pamiętałem, że dziadek trzymał zęby w szklance przy łóżku i zakładał je, kiedy wstawał rano. Byłem ciekawy, czy będę mógł sobie sprawić takie sztuczne zęby, kiedy moje wszystkie już wypadną. Aż się otrząsałem na myśl, że miałbym wkładać do ust tę okropną plastikową rzecz.

Przez parę godzin siedziałem skulony na materacu, starając się zachować ciepło, aż znów

usłyszałem kroki na schodach i serce zaczęło mi łomotać, utrudniając oddychanie. Kolejne bicie? Klucz przekręcił się w zamku. Larry.

– Masz, fiutku. Przyniosłem ci trochę pysznych resztek. – Wyszczerył zęby, podsuwając mi psią miskę. – Przepraszam, że zjedliśmy twój tort urodzinowy. Dla ciebie nie zostało. Jak mnie ładnie poprosisz, to ci do tego nie charknę.

Umierałem z głodu, więc spojrzałem na niego błagalnie jak pies. Wybuchnął śmiechem, mimo wszystko napluł do miski, a potem wywalił zawartość na mnie.

– Trochę ci to przyprawiłem!

– krzyknął jeszcze i wyszedł z celi.

Resztki były grubo pokryte solą i pieprzem, niemal niejadalne. Dławiłem się każdym kęsem, ale byłem tak głodny, że zmuszałem się do jedzenia. Wiedziałem, że jeśli nie zjem, skurcze żołądka zrobią się jeszcze bardziej bolesne. Nie miałem wyboru.

Mijały miesiące, a ja jakimś cudem trwałem. Chodziłem po celi, kiedy sztywniały mi mięśnie, marzyłem o tacie albo o idealnej rodzinie, a przede wszystkim

nasłuchiwałem kroków Wally'ego na schodach, z nadzieją że przyniesie mi trochę jedzenia i odrobinę zwykłej, ludzkiej dobroci.

Któregoś dnia okazało się, że znalazłem sobie dziewczynę. W pierwszej chwili pomyślałem: Dziewczyna! Faj! Wcale mi się to nie podobało. Wiedziałem, że jej nigdy nie poznam, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie przyprowadziłby dziewczyny w tak straszne miejsce, jakim była moja piwnica. Zresztą matka by na to nie pozwoliła. Wątpiłem, żeby w ogóle wpuściła tę dziewczynę do domu,

bo mogłaby zobaczyć, co tu się dzieje i komuś donieść. A Wally'emu na pewno nie spieszyło się, by ją tu przyprowadzać. Jak mógłby pokazać dziewczynie, co jego rodzina robiła z jego młodszym bratem? Jak mógłby oczekiwać, że ona nic nie powie? Zresztą pewnie się bał, że ją straci, gdyby dowiedziała się za dużo. Nie mógł być dumny z tego, że jego rodzina trzymała dziecko w piwnicy. Rozumiałem to wszystko, ale i tak żał mi było, że jej nie poznam.

Nie od razu zdałem sobie sprawę, co to oznacza, ale w ciągu

kilku następnym miesiącu wizyty Wally'ego w piwnicy stawały się coraz rzadsze. Pewnie częściej był poza domem, najprawdopodobniej siedział u niej. Każde miejsce było lepsze niż ten dom, jeśli już miało się wybór. Ale bez pociechy, jaką mi przynosił, moje życie stało się jeszcze bardziej nieznośne.

Czasami po prostu leżałem na materacu i płakałem całymi godzinami. Z moich ust nie wychodził żaden dźwięk prócz słabego skomlenia, ale całe moje ciało trzęsło się z rozpacz, bolało mnie w piersi, gardło się zaciskało. Czułem się, jakby miażdżył mnie

gigantyczny ciężar. W takich chwilach traciłem nadzieję. Naprawdę wierzyłem, że tak już będzie wyglądać moje żalosne życie, dzień po dniu, aż matka wreszcie spełni swoją obietnicę i mnie zabije.

Nowy chłopak mamy

Zdaje się, że to było jakieś osiemnaście miesięcy po tym, jak zesłano mnie do piwnicy, niedługo po moich siódmych urodzinach. Otóż na górze zaszły spore zmiany. Matka wciąż w pojedynkę prowadziła wojnę z ojcem i jego

rodziną i starała się mścić na wszystkie sposoby, choć ojciec dawno nie żył. Widocznie spotkała męża ciotki Melissy, Amaniego, w pubie, i dostrzegła okazję, by wymierzyć ostatni kopniak pamięci ojca. Postanowiła uwieść Amaniego i rozbić małżeństwo Melissy.

Dowiedziałem się o tej rewolucji w rodzinie, kiedy któregoś wieczoru siedziałem z uchem przyciśniętym do drzwi piwnicy i próbowałem podsłuchać, co się dzieje w domu. Robiłem tak czasami, by jakoś zabić czas. Usłyszałem, jak matka mówi komuś,

żeby przyprowadził mnie na górę, więc czmychnąłem z powrotem na materac, by nie rozgniewali się na mnie za to, że jestem wścibski. Klucz obrócił się w zamku i Wally kiwnął na mnie, żebym szedł za nim. Coś takiego zdarzało się tak rzadko, że byłem podekscytowany, choć jednocześnie serce waliło mi ze strachu, co się ze mną stanie. Spotkania z matką rzadko kiedy kończyły się bez choćby jednego ciosu czy kopniaka, a przeważnie nie potrafiła oprzeć się pokusie, by nie spuścić mi porządnego manta, bo na mój widok zawsze ogarniała ją irytacja.

Wally przewrócił oczami i mruknął:

– Moczymorda cię woła.

Kiedy wszedłem z nim na górę, postawił mnie obok Thomasa, który stał już w szeregu z całą resztą, ustawioną w korytarzu jak na paradzie. Potem Wally wyszedł z domu – pewnie nie chciał patrzeć, jak matka się na nas wyżywa. Stałem tak sztywno, jak mogłem, z oczami wbitymi w podłogę. Wiedziałem, że każdy najmniejszy ruch czy jakikolwiek grymas mogą wywołać wybuch gniewu. Słyszałem, że matka mówi do nas, ale nie bardzo mogłem się skupić

na jej słowach. Widziałem, że jej usta się poruszają, i w następnej sekundzie wrzeszczała mi tuż przy uchu, aż dzwoniło mi w głowie.

Kątem oka dostrzegłem postać, którą rozpoznałem. Był to Amani, mój wujek, mąż siostry taty.

Matka właśnie tłumaczyła nam, że nie powinniśmy go już nazywać „wujkiem Amanim”. Mieliśmy do niego mówić „tatusiu”.

– Dlaczego? – spytał niewinnie Thomas i natychmiast dostał w twarz za to, że ośmielił się odezwać.

Jego pytanie wydało mi się

zabawne i nie zdołałem powstrzymać uśmiechu, więc też zarobiłem w twarz.

– Nasz tatuś umarł – ciągnął buntowniczo Thomas. – Nie chcę innego taty.

Spojrzałem na niego. Podziwiałem jego odwagę, ale wolałbym, żeby się nie odzywał. Miał dopiero cztery lata i najwyraźniej nie nauczył się jeszcze, jak dbać o własną skórę w tym domu. Matka gniewnie walnęła pięścią w drzwi, a potem w twarz Thomasa, i kazała mu iść do pokoju. Kiedy uciekał, trzymając się za policzek, chwyciła mnie za

gardło.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytała. Czułem na twarzy kropelki jej śliny.

Pokręciłem głową, na ile się dało, i zamknąłem oczy. Uderzyła mnie pięścią w ucho. Otworzyła drzwi prowadzące na schody do piwnicy i zrzuciła mnie na sam dół. Wciąż jeszcze dzwoniło mi w głowie od jej ciosu, kiedy turlałem się na dół, obijając o ściany, ścigany jej krzykami.

– Wracaj do swojej nory!

Dowlokłem się do piwnicy, zamknąłem za sobą drzwi i osunąłem się na materac. Cała

prawa strona ciała, na której zjechałem po schodach, była poobijana i połamana. Było mi żal Thomasa, który został z nią na górze. W takich chwilach niemal się cieszyłem z mojej podziemnej dziury, która zapewniała mi schronienie.

Nagle poczułem iskierkę nadziei. Może Amani mnie uratuje? Chociaż nawet tata, który dogadywał się dosłownie z każdym oprócz matki, nie przepadał za Amanim, to wujek zawsze był dla mnie miły, kiedy chodziliśmy do ciotki Melissy. Pomyślałem, że kiedy się dowie, co mama mi robi,

powie o tym cioci i razem pomogą mi uciec. Pamiętałem, jak zaciekle ciotka Melissa walczyła z matką w warsztacie i że matka się jej bała. Gdyby ciocia postanowiła mi pomóc, może miałbym jakąś szansę.

Ale kiedy później Amani wszedł do mojej piwnicy, nie wyglądał na zszokowanego moim stanem i nie okazywał żadnych przyjaznych uczuć. Był wysoki, brzydki i przerażający, a tuż koło grubego, długiego nosa miał wielki pieprzyk. Skórę miał prawie czarną, włosy gęste i kręcone. Kiedy wszedł do celi, zakrył nos gigantyczną łapą, chroniąc się przed

smrodem buchającym ode mnie, z materaca i z wiadra. Byłem do tego przyzwyczajony, bo wszyscy reagowali tak samo; nawet Wally dławił się czasem i nie potrafił tego ukryć. Miałem wrażenie, że matka, Larry i Barry nienawidzą mnie przez to jeszcze bardziej. Że przez to utwierdzają się w przekonaniu, że jestem tylko jakimś brudnym zwierzęciem. Że jakimś cudem specjalnie produkuję ten smród, by zrobić im na złość.

Amani pykał wielkie cygaro, dzięki któremu pewnie lepiej radził sobie z odorem, i patrzył na mnie jak na coś ohydneho, co znalazł na

podeszwie buta. Uśmiechnąłem się ostrożnie, w nadziei że tylko dla zmyłki udaje, że mnie nienawidzi, tak jak to robił Wally, ale nie dostrzegłem żadnej reakcji w jego oczach. Po prostu patrzył na mnie z obrzydzeniem.

Ośłupiałem, kiedy wyszedł bez słowa, zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz. Ciągle jeszcze próbowałem sobie wmawiać, że kiedy wyjdzie z domu i matka nie będzie mu zagrażała, powie ciotce Melissie, co się dzieje. A ciotka zorganizuje jakąś pomoc. Ale szybko przekonałem się, że ratowanie mnie zupełnie nie leżało

w jego planach. Przez tych kilka chwil, kiedy stał i gapił się na mnie, Amani dostrzegł okazję i zamierzał maksymalnie ją wykorzystać.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że to facet, który uprawiałby seks z kimkolwiek i czymkolwiek, co się napatoczy. Zjawił się w naszym domu, by uprawiać seks z matką i wszystkimi innymi, którzy byli pod ręką. I nie zamierzał wtajemniczać Melissy w swoje nowe hobby, dopóki nie musiał. Zupełnie nie obchodziło go moje nieszczęście. Wręcz przeciwnie, widząc mnie w celi,

wpadł na parę pomysłów.

Kiedy Wally następnym razem zdołał się do mnie zakraść, powiedział mi to i owo o naszym nowym ojczymie. Pewnie się domyślał, że jestem ciekawy. Nie co dzień człowiek słyszy, że ma nowego tatę.

– Amani pochodzi z Nigerii – oznajmił. Ale nie miałem bladego pojęcia, gdzie leży Nigeria. Wydawało mi się, że może gdzieś w Szkocji, bo to był jedyny obcy kraj, o jakim słyszałem. Uniosłem brwi, by mu pokazać, że nie rozumiem.

– To bardzo gorące miejsce –

wyjaśnił Wally – daleko, daleko stąd, w Afryce.

Byłem ciekaw, czy to słońce w tym gorącym kraju przypaliło Amaniego na taki kolor; jego skóra bardzo różniła się od mojej, która nigdy nie oglądała światła dziennego.

– Mają tam słonie, żyrafy i lwy – ciągnął Wally. Powiedział mi też, że Amani lubi przez cały dzień palić jakieś ziele i że pewnie czasami poczuję dziwny zapach.

Amani szybko zrozumiał, że siedzę zamknięty w piwnicy i nie mam się jak bronić. Kiedy przekonał się, że matka z radością

pozwała mu na wszystko, co chciał mi robić, i że czasami sama ma frajdę z patrzenia, zaczął przychodzić na dół dość regularnie. Szybko nauczyłem się bać jego kroków na schodach tak samo jak kroków Larry'ego i Barry'ego.

Czasami schodził na dół sam, kiedy w domu było cicho. Domyślałem się, że reszta spała, kiedy on szukał ofiary, ale całkiem możliwe, że doskonale wiedzieli, co się dzieje, tylko po prostu mieli to gdzieś. Drzwi u góry schodów otwierały się ze skrzypnięciem i poznawałem Amaniego po krokach, tak jak poznawałem

wszystkich innych. Kiedy tylko go słyszałem, wiedziałem, czego się spodziewać. Zaciskałem powieki i udawałem, że śpię, ale on nawet nie zapalał światła w celi, więc równie dobrze mogłem sobie darować to udawanie. Zresztą jego nie obchodziło, czy śpię, czy nie. Kładł się obok mnie na tym ohydny materacu, szeptał mi do ucha, że jestem grzecznym chłopcem, wkładał mi rękę do majtek, jeśli akurat jakieś miałem, i ocierał się o mnie. Kiedy zrobił to pierwszy raz, odepchnąłem go i pokręciłem głową, żeby pokazać, że mi się to nie podoba. Że ma

przestać. Wally powiedział mi kiedyś, że nikt nie ma prawa mnie dotykać w takich miejscach. Wierzyłem mu, więc zacząłem się szamotać i próbowałem uciec. Mimo ciemności Amani wyczuł, że mu się opieram.

– Nie odmawiaj mi, chłopcze – warknął, chwytając mnie za genitalia i wykręcając je boleśnie. Więcej nie ośmieliłem się protestować, bo zrozumiałem, że jest taki sam jak matka. Nie znosi sprzeciwu i nie obchodzi go, ile bólu będzie musiał zadać, by wymóc posłuszeństwo. Chciałem krzyczeć, ale nie mogłem wydać

z siebie dźwięku, więc tylko leżałem nieruchomo i modliłem się, żeby nie zrobił mi większej krzywdy.

– Jeśli komuś o tym powiesz, wykluję ci oczy i odrąbię wacka – ostrzegł mnie, kiedy już skończył. Ale tracił tylko czas; przecież nie mogłem mówić, więc jak miałem komukolwiek się poskarżyć?

Od kiedy zamieszkał w domu, dali mi brudne prześcieradło na gumce do przykrycia materaca i Amani wycierał się o nie, zostawiając po sobie mokrą plamę. A potem wychodził, jak gdyby nigdy nic, i zamykał za sobą drzwi

na klucz.

Szybko zorientowałem się, że jego zdaniem jestem tu tylko dla jego przyjemności, a matka z radością utwierdzała go w tym przekonaniu. Lubili przychodzić do piwnicy we dwójkę, żeby ponabijać się ze mnie, powiedzieć mi, że tylko marnuję miejsce na świecie i powietrze. Amani nie tylko ocierał się o mnie. Już wkrótce zaczął mnie zmuszać, żebym robił mu różne rzeczy. Nie zawsze rozumiałem, czego ode mnie chce, a jeśli nie wykonałem wszystkiego, tak jak trzeba, bili mnie oboje z matką. Amani czerpał

chyba taką samą frajdę z okrucieństwa jak z seksu. Po biciu musiałem spełniać jego zachcianki jeszcze raz, jak należy, a matka zostawała, żeby popatrzeć. Kiedy Amani kończył ze mną, rzucał mnie na materac, nazywał zboczonym gnojkiem i oboje wracali na górę, śmiejąc się radośnie.

Często zgadywałem z wyprzedzeniem, że Amani przyjdzie z wizytą, bo Wally przychodził na dół po wiadro z nieczystościami, a po nim wpadała matka z odświeżaczem powietrza i spryskiwała całe pomieszczenie, by było mniej

obrzydliwe. Oczywiście żaden odświeżacz nie mógł wiele pomóc – smród był wżarty we wszystko. Szybko się nauczyłem, że wszelkie próby powstrzymania Amaniego nie mają sensu, bo był tysiąc razy silniejszy ode mnie. Miał ogromne dłonie. Chwytał mnie nimi za gardło, kiedy mówił mi, co mam robić, i ścisnął na tyle mocno, bym miał pewność, że może ze mnie wydusić życie z taką łatwością, jakby łamał zapałkę.

– Jeśli nie zrobisz tego dobrze – powtarzał za każdym razem – zabiję cię.

Na pewno był do tego zdolny.

Wiedziałem już, że mogą ze mną robić, co im się podoba, i nikt nie przyjdzie mnie ratować, więc dlaczego nie mieliby mnie zabić? Nikt z rodziny na nich nie doniesie. Wszyscy się bali, nawet Wally. Gdybym naprawdę zginął, zapomnieliby o mnie w kilka dni, ale przynajmniej byłbym z tatą i nie czułbym bólu.

– Mama i Amani to mistrzowie gry – powiedział mi któregoś dnia Wally. – Walczą z twoim umysłem i musisz być bardzo silny, żeby z nimi wygrać. – Podobał mi się pomysł, że jestem jakimś wojownikiem, ale nie zawsze

potrafiłem być silny i zwykle po konfrontacjach z nimi czułem się kompletnie rozdeptany.

Czasami Amani brał mnie na górę, do łazienki, i kazał mi się kąpać przy nim. Zamykał drzwi na klucz i ściągał spodnie. Pamiętam, że przy którejś z takich okazji zobaczyłam się w lustrze i przeraził mnie widok własnych kości sterczących pod skórą i zapadniętych oczu.

– Patrz na mnie – rozkazał Amani i zaczął bawić się ze sobą. Z początku próbowałem odwracać oczy, ale dał mi w twarz. – Powiedziałem, patrz na mnie! Rób,

co każe, bo jak się rozzłoszczę, to ci, kurwa, zrobię krzywdę.

Potem kazał mi wstać i umyć się przy nim. Wstydziłem się, czułem się brudny. Nikt mi nigdy nie powiedział, że te rzeczy są złe, ale czułem to instynktownie. Tata nigdy by nie zrobił czegoś takiego, nie wspominając już o innych ohydnych rzeczach, do których zmuszał mnie Amani. Miałem wrażenie, że za każdym razem, kiedy do mnie przychodził, miał w zanadrzu jakiś inny koszmarny pomysł na seks. Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczął mnie gwałcić. Z początku bolało tak bardzo, że

mdlałem, a potem długo krwawiłem i drżałem z bólu. Często wymiotowałem po jego wizytach i nigdy nie miałem czasu wyzdrowieć między jednym gwałtem a drugim. Była to nowa, koszmarna tortura, która otworzyła przede mną kolejną otchłań rozpacz.

Kiedy sądziłem już, że nie mogę zapaść się głębiej, odebrano mi ostatni promyk nadziei. Któregoś dnia Wally przyszedł mnie odwiedzić i po jego minie poznałem, że ma mi do powiedzenia coś ważnego.

– Wyprowadzam się –

oznajmił.

Musiał dostrzec przerażenie w moich oczach, bo odwrócił wzrok, jakby czuł się winny, że mi to robi.

– Będę mieszkał z moją dziewczyną i wreszcie uwolnię się od moczymordy.

Udało mu się znaleźć drogę ucieczki z naszego rodzinnego piekła. Zazdrościłem mu. Nie mogłem się już doczekać, kiedy będę mógł pójść w jego ślady, jeśli uda mi się pożyć tak długo.

– Wrócę po ciebie, jak tylko będę mógł – rzekł. – Obiecuję, że cię tu nie zostawię.

Poczułem przypływ nadziei. Jeśli zdołam utrzymać się przy życiu jeszcze parę tygodni, mówiłem sobie, Wally wróci, uratuje mnie i będę mógł mieszkać z nim i jego miłą dziewczyną. I będziemy żyć jak szczęśliwa rodzina.

Ale mijały dni i nic się nie działo. Czekałem i czekałem. Nic się nie zmieniało, ale wyobrażałem sobie, że może właśnie teraz Wally mówi o mnie komuś z zewnątrz. Na pewno zaraz przyjdą mnie szukać i mnie uratują – wybiją drzwi i pokonają matkę i moich braci, jak kawaleria przybywająca

z odsieczą. Wyobrażałem sobie, jacy będą zdumieni, kiedy mnie znajdą, jak będą mnie żałować i pomagać, karmić dobrym jedzeniem i układać w czystym, ciepłym łóżku. Ale minął tydzień, potem drugi, i w końcu, po długim, długim czasie nadzieja zaczęła we mnie gasnąć.

Podaję, że Wally nigdy nikomu o mnie nie powiedział, a nawet jeśli tak, to nikt mu nie uwierzył. Taka opowieść każdemu musiałaby się wydać nieprawdopodobna. Wyobraźcie sobie, jak ktoś mówi wam, że matka więzi jego niemego, małego

braciszka w piwnicy, głodzi go i torturuje dla zabawy. Poza tym sędzę, że nawet kiedy wyrwał się z domu, wciąż za bardzo bał się matki, żeby zrobić cokolwiek. Przecież mogła go pobić albo skrzywdzić jego dziewczynę.

Tak więc Wally po prostu zniknął z mojego życia i nigdy więcej go nie widziałem. Wyobrażam sobie, jaką poczuł ulgę, kiedy uciekł od matki, ale jak mógł mnie zostawić na ich łasce, wiedząc, jak mnie traktują? Jak mógł spać po nocach, wiedząc, że ja wciąż siedzę pod ziemią i nie mam już żadnego przyjaciela

w domu?

– Teraz ja się tobą zaopiekuję – obiecał mi Amani i mimo wszystkich potwornych rzeczy, które mi zrobił, rozпалиło to w moim sercu maleńką iskrę nadziei. – Zaopiekuję się tobą lepiej niż Wally. Jeśli będziesz grzecznym chłopcem, dostaniesz jego pokój.

Przez kolejne tygodnie obiecywał mi pokój tak często, że zacząłem naprawdę w to wierzyć i chodziłem cały podekscytowany. Nie mogłem przestać się uśmiechać na myśl, że będę spał w wygodnym łóżku i może nawet dostanę jakieś

stare zabawki Wally'ego.

– Jak będziesz robił, co ci każę, to będziemy żyć w zgodzie – zapewniał mnie Amani. Miałem nadzieję, że to prawda, bo teraz to on był moją jedyną szansą.

Ale mama szybko zdecydowała, kto dostanie czyj pokój, i położyła kres moim marzeniom o opuszczeniu piwnicy. Do pokoju Wally'ego przeprowadzili się Ellie i Thomas, a ja zostałem tam, gdzie byłem. Amani mógł sobie być wielki i silny, ale to matka rządziła w domu. Zresztą jemu to w niczym nie przeszkadzało, bo dostawał od

swojej nowej rodziny dokładnie to, czego chciał. Nie mógłby być szczęśliwszy.

Uwolniony z piwnicy

Trzymano mnie w piwnicy przez prawie trzy lata, od piątego do ósmego roku życia, i nikt z zewnątrz nie zauważył, że zniknąłem z powierzchni ziemi. Dzień za dniem siedziałem w ciemnościach i czekałem na kolejne bicie, kolejny

gwałt, z kiszkami wiecznie skręcającymi się z głodu i pragnienia, z kośćmi obolałymi z zimna, z płucami zduszonymi astmą. Kiedy opuścił mnie Wally, już nikt nawet przez moment nie okazał mi serca. A najłatwiej mi było, kiedy zostawałem sam i rozmawiałem w głowie z ojcem – za drzwiami zamkniętymi na dwa spusty, przez chwilę bezpieczny przed moimi dręczycielami.

O ile wiem, nikt z opieki społecznej nigdy mnie nie szukał. Być może prześliznąłem się przez oczka systemu z powodu jakiejś biurokratycznej pomyłki, a może

matka wcisnęła im jakieś kłamstwo? Nie mam pojęcia. Nikt nie zauważył, że nie zostałem zapisany do żadnej z okolicznych szkół, dopóki któregoś dnia Thomas nie wypaplał nauczycielce, że on i Ellie mają jeszcze jednego starszego brata oprócz Wally'ego, Larry'ego i Barry'ego. Matka widocznie zapomniała mu powiedzieć, że ma nie wspominać o mnie nikomu spoza rodziny. A może mu powiedziała, ale Thomas był na tyle pewny siebie, że od czasu do czasu się buntował.

– Naprawdę? – Nauczycielka była zaskoczona tą informacją. –

Jak mu na imię?

– Joe – odparł niewinnie Thomas.

– A do której szkoły chodzi?

– On nie chodzi do szkoły.

Zdziwiona nauczycielka powiedziała o tej rozmowie dyrektorowi szkoły, który zaprosił matkę na rozmowę.

– Thomas twierdzi, że ma pani jeszcze jednego syna, Joe – powiedział.

– Tak, to prawda – odrzekła, dość sprytna, by wiedzieć, że zaprzeczanie nie miałoby sensu.

– A dlaczego Joe nie chodzi do szkoły? – spytał dyrektor.

– Ma problemy –
odpowiedziała matka, bez
wątpienia z przekonującą miną
zbołałej męczennicy. – Jest niemy
i bardzo niegrzeczny. Ma
wypaczony mózg.

– Ale dlaczego nie zapisała go
pani do szkoły? – Dyrektor nie
dawał za wygraną.

– Jest bardzo agresywny –
stwierdziła, jakby to wszystko
tłumaczyło. – Nie mogłam narazić
innych dzieci na kontakt z nim. Nikt
nie potrafi go kontrolować.

Wyobrażam sobie, że matka
musiała w tym momencie nieźle
główkować. Wiedziała, że może

mieć problemy przez to, że od trzech lat nie posłała mnie do szkoły. Ale wykombinowała, że jeśli odpowiednio przedstawi mój trudny charakter, uznają ją za osobę samotnie dźwigającą ciężar opieki nade mną. Kogoś, kto, nawet jeśli formalnie rzecz biorąc, złamał prawo, zrobił to ze szlachetnych pobudek. A ponieważ nie wiedziałem nic o świecie prócz tego, co działo się w mojej celi, moje zachowanie z pewnością potwierdzi wszystko, co o mnie mówiła. Od tak dawna traktowali mnie jak zwierzę w klatce, że się nim stałem. Matka doskonale

wiedziała, że każda szkoła, która mnie przyjmie, będzie miała ze mną niezłą przepawę, kiedy spróbuje mnie wprowadzić do klasy pełnej dzieci. Ale kiedy odpowiednie instytucje przypomniały już sobie o moim istnieniu, nie mogły zapomnieć na nowo.

– Będziemy musieli przyjść i poznać Joego – powiedział matce ktoś z opieki społecznej, kiedy przekazano im zaskakującą wiadomość o moim istnieniu. – Musimy ocenić jego potrzeby, by wiedzieć, jak najlepiej pomóc i jemu, i pani.

Umówiono spotkanie i w dniu,

kiedy pracownica opieki miała przyjść do domu i mnie poznać, zostałem wyciągnięty z piwnicy i wyszorowany.

– Dobrze się zachowuj – ostrzegła mnie matka, szczotkując mi włosy po raz pierwszy od trzech lat i szorstko ubierając mnie w jakieś nowe ubranie, którego nigdy przedtem nie widziałem. – Bo dostaniesz, co ci się należy, kiedy tylko ona sobie pójdzie.

To było dziwne uczucie, czuć na skórze miękki materiał po tylu latach dygotania z zimna całkiem nago albo w brudnych majtkach. Wszystko pachniało tak świeżo

i egzotycznie.

Matka zabrała mnie do salonu dla gości, żebym tam zaczekał. Był to pokój, którego nigdy przedtem nie widziałem i ogarnął mnie nabożny zachwyty na widok nieskazitelnych materiałów, ozdób i mebli – przecież tak długo oglądałem tylko gołe ściany, podłogę i stary materac. Matka wisiała nade mną niczym bomba z opóźnionym zapłonem, więc czułem się jak na terytorium wroga i, szczerze mówiąc, chętnie zwałbym z powrotem pod podłogę, za bezpieczne, zamknięte na klucz drzwi.

Dała mi szklanę z czymś do picia, ale ręka trzęsła mi się tak bardzo, że bałem się, że rozleję płyn na dywan w zielone zawijasy. Matka tak często mi powtarzała, że zginę, że zacząłem się nawet zastanawiać, czy to przypadkiem nie dzień mojej śmierci. Czy ten ktoś, kto przyjdzie, zabierze mnie i zabije, bo sprawiałem tyle kłopotu mojej mamie, a mój tata był dla niej taki niedobry? Za każdym razem, kiedy matka schodziła do piwnicy, żeby mnie zbić czy zmusić do czegoś, myślałem, że to właśnie ostatni raz i teraz nadejdzie mój koniec. Po każdej porcji katuszy

dziwiłem się, że jeszcze żyję.

– Przestań się trząść! –
rozkazała mi, więc zrobiłem, co
w mojej mocy, przytrzymując
nadgarstek drugą ręką.

Nie wiedziałem, co jest grane.
Nie potrafiłem odgadnąć, co
zaplanowała i czy znowu dostanę
lanie. Coraz bardziej bałem się
tego, co mnie czeka, serce biło mi
jak szalone. Jak mnie zabiją?
Będzie strasznie bolało? Czy po
śmierci pójdę do piekła?

Kiedy rozległ się dzwonek,
matka odebrała mi szklankę
i ostrożnie postawiła ją na stoliku,
po czym poszła wpuścić

pracownicę opieki społecznej. Przywitała ją jak najmilszego gościa.

Stałem w salonie, roztrzęsiony, i słuchałem, jak rozmawia z nią w korytarzu słodkim, rozsądnym głosem, jakiego nigdy nie używała w domu, kiedy była tylko z rodziną.

– Witam, proszę wejść... Miło mi panią poznać... Wspaniale, że nas pani odwiedziła... Proszę wejść i poznać Joego.

Kiedy matka wróciła do salonu, uśmiechała się promiennie i traktowała mnie, jakbym był jej najukochańszym dzieckiem.

– Usiądź, kochanie –
zagruchała do mnie, wskazując róg
kanapy. Nigdy wcześniej nie wolno
mi było siadać na kanapie.
Zastanawiałem się z przerażeniem,
co będzie dalej, kiedy kobieta –
która, jak sądziłem, zamierzała
mnie zabić – weszła do pokoju za
matką. Wyglądała zwodniczo
przyjaźnie. Podeszła do mnie
i wyciągnęła rękę, żeby się ze mną
przywitać.

– Witaj, młody człowieku –
rzekła ciepłym, miłym głosem.

Byłem pewny, że zaraz mnie
uderzy, bo przez ostatnie trzy lata
albo i dłużej nie znałem niczego

innego. Broniłem się instynktownie i ugryzłem ją w rękę, od razu potwierdzając wszystko, co matka mówiła o mojej gwałtowności i agresji. Kobieta krzyknęła, ale tylko mocniej zacisnąłem zęby. Nie chciałem puścić, bo dopóki trzymałem jej dłoń w zębach, nie mogła mnie nią uderzyć.

– Strasznie mi przykro – powiedziała matka, chwytając mnie za twarz. – No już, Joe, puść!

Spodziewałem się, że da mi pięścią w ucho, jak zwykle w podobnych sytuacjach, i przygotowałem się na cios, ale jej dotyk był delikatny i troskliwy.

– No, kochanie – mówiła słodko. – Puść tę miłą panią.

Kiedy wreszcie rozwarła mi zęby, zacząłem krzyczeć i wierzgać. Nie chciałem dać się zabić bez walki. Wyobrażałem sobie, że nie mam nic do stracenia, skoro i tak zamierzają się mnie pozbyć. Matka unieruchomiła mnie łagodnie, ale stanowczo. Podejrzewam, że pracownica opieki społecznej była pod wrażeniem jej świętej matczynej cierpliwości w obliczu takiej prowokacji.

– Już rozumiem, dlaczego pani go nie zapisała do szkoły – stwierdziła kobieta. Usiadła na

fotelu, tuląc do piersi zranioną dłoń i zerkając na mnie nerwowo, jakby się bała, że znów na nią skoczę.

– Nie mogę pozwolić, żeby przebywał z innymi dziećmi – przytaknęła matka. – Takie zachowanie to u niego norma.

– Rozumiem, co pani ma na myśli – zapewniła ze współczuciem urzędniczka – ale obawiam się, że musi pójść do szkoły. Takie jest prawo. Możemy mu pomóc. Jemu i pani.

Nie mogłem powiedzieć niczego na swoją obronę, musiałem siedzieć i słuchać, jak matka mówi za mnie. Wally, zanim odszedł,

próbował mi pomóc odzyskać głos, ale na tym etapie potrafiłem formułować tylko pojedyncze dźwięki, jak „aaa...” czy „ooo...” Z tak ograniczonym słownictwem nie umiałem niczego przekazać. Pracownicy opieki społecznej naprawdę musiałem się wydać głęboko znerwicowanym, dzikim stworzeniem. I choć zapowiedziano matce, że muszę pójść do szkoły, bo tak nakazuje prawo, nikt nie mógł mieć jej za złe, że próbowała chronić przede mną resztę świata i wzięła brzemię opieki nade mną na własne barki. Kiedy zajrzeli w moje akta, przekonali się, że

naprawdę byłem świadkiem śmierci ojca i w wyniku szoku straciłem mowę. Wszystkie elementy układanki idealnie wskakiwały na miejsce. Lekarz rodzinny potwierdził wszystko, mówiąc, że matka przyprowadziła mnie na wizytę wkrótce po śmierci ojca i wtedy już nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

– To bardzo agresywne i zaburzone dziecko – przypominał sobie, co powiedziała mu wtedy matka. Pewnie pamiętał tę wizytę aż za dobrze.

A ona miała wytłumaczenie na wszystko.

– Widok ojca ginącego w płomieniach wypaczył mu mózg – wyjaśniała, posługując się zdaniem, które sama wymyśliła i powtarzała każdemu, kto chciał słuchać. – Dlatego jest taki zaburzony. A do tego straszny z niego niejadek. Dlatego jest chudy jak patyk i tak mizernie wygląda. Mamy z nim wielki kłopot. Przez to, że nie je jak trzeba, jest niedożywiony i ma tak bardzo popsute zęby – paplała i paplała, jakby ledwie znosiła to wszystko psychicznie i teraz, kiedy znalazł się chętny słuchacz, musiała zrzucić z siebie wszystkie zmartwienia.

– Wiemy, że jest pani dobrą matką – zapewniła ją łagodnie kobieta z opieki społecznej, nabierając się na tę szopkę od początku do końca. – Ale to źle, że zatrzymała pani Joego w domu i próbowała radzić sobie z nim sama. Możemy pani pomóc. Od tego tu jesteśmy. Musi nam pani zaufać, że zrobimy to, co najlepsze dla niego, dla pani i dla reszty rodziny.

Matka była chyba zachwycona, że poświęca jej się tyle uwagi. Jej początkowy niepokój, co będzie, kiedy się o mnie dowiedzą, zniknął. Odkryła sposób na wyłganie się ze

wszystkiego, co ona i pozostali robili ze mną przez ostatnie trzy lata. I jeszcze wychodziła z tego w glorii chwały.

Kiedy urzędniczka poszła, zapewniwszy przedtem, że wszystko będzie dobrze, matka rozebrała mnie z nowych ubrań i pogoniła z powrotem do piwnicy. A ja poszedłem bardzo chętnie, bo bałem się, że zaraz popełnię jakiś błąd i znów ją rozzłoszczę. Kiedy już zamknęła mnie i zgasiła światło, usiadłem na materacu i zacząłem się zastanawiać nad tym wszystkim, co zaszło. Próbowałem zrozumieć, co to dla mnie oznacza.

Kiedy już pojąłem, że ta kobieta naprawdę przyszła, żeby mi pomóc, a nie mnie zabić, dotarło do mnie, że moja sytuacja może się bardzo poprawić. Teraz, kiedy świat dowiedział się o moim istnieniu, matka nie będzie mogła trzymać mnie dłużej w piwnicy. A jeśli pójdę do szkoły, znajdę sobie przyjaciół i nie będę już taki samotny.

I rzeczywiście, parę dni później znów zostałem zabrany na górę i matka oznajmiła, że od tej pory wszystko się zmieni.

— Jeśli mi obiecasz, że będziesz się dobrze zachowywał —

powiedziała – to pozwolę ci wrócić do pokoju Larry’ego i Barry’ego.

Pamiętałem, jak starsi bracia traktowali mnie w przeszłości i naprawdę wolałbym zamieszkać z Thomasem i Ellie, ale wiedziałem, że to nie wchodzi w grę, więc nie zaprotestowałem gestem ani jękiem. Nie chciałem ryzykować, że matka znów wścieknie się na mnie i uzna, że jestem niewdzięczny, skoro sprawy nareszcie zaczęły przybierać lepszy obrót.

– Nie będziesz dłużej mieszkał w piwnicy – wyjaśniła matka – bo

to pomieszczenie jest potrzebne Amaniemu do innych rzeczy.

Cóż, pewnie nie chciała, żebym pomyślał, że wizyta opiekunki społecznej zmusiła ją do zrobienia czegokolwiek, czego nie chciała zrobić. To miało wyglądać na jej decyzję. Jakby uznała, że poniosłem już wystarczającą karę za swoje dawne zbrodnie i że rodzina chce mi dać drugą szansę. Sprawdzić, czy dostałem odpowiednią nauzkę i się poprawiłem.

Ale pomyliłem się gorzko, sądząc, że będę teraz traktowany jak reszta rodziny. Chociaż

pozwolono mi sypiać w pokoju braci, wciąż nie wolno mi było bawić się ich rzeczami i wciąż nie miałem własnych. Pierwszego wieczoru po wypuszczeniu mnie z piwnicy matka krzyknęła, żebym przyszedł z sypialni, do której zostałem wygnany, na podwieczorek do kuchni. Serce mi łomotało, kiedy schodziłem po schodach. Czułem zapach gorącego jedzenia, ale nie wiedziałem, jakiego przyjęcia spodziewać się po reszcie. Wszyscy siedzieli już przy stole, kiedy niepewnie wszedłem przez drzwi. Zobaczyłem jedno wolne krzesło. Od śmierci

ojca nigdy nie siedziałem z nimi, więc nieśmiało zająłem miejsce, trochę skrępowany i podekscytowany. Byłem strasznie głodny i ledwie mogłem uwierzyć, że dostanę prawdziwy, gorący posiłek na talerzu. Amani patrzył na mnie dziwnie, więc unikałem jego spojrzenia; twardo wbiłem wzrok w stół przede mną, obiecując sobie, że będę grzeczny i nikogo nie zdenerwuję, żeby nie stracić szansy na jedzenie. Zdawałem sobie sprawę, że wszyscy zamilkli, jakby na coś czekali.

– Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? – spytała gniewnie matka.

Nie rozumiałem, co zrobiłem nie tak, ale Amani strzelił mnie grzbietem dłoni tak mocno, że polecałem na twarde płytki podłogi, czyli tam, gdzie jego i matki zdaniem było moje miejsce.

– Jak śmiesz z nami siadać? – warknął na mnie. – Co ci mówiłem o zachowaniu, gnojku jeden?

– Obrzydzasz mi jedzenie – poskarżyła się matka i kopnęła mnie.

– Właż pod stół – zarządził Amani. Larry i Barry chichotali zadowoleni. Kiedy zaczęli rzucać mi resztki, rozgniatać je obcasami na podłodze i kazali zlizywać do

ostatniego okruszka, zrozumiałem, że tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Zapowiedzieli mi, że w domu panują nowe zasady i jeśli je złamię, wrócę prosto do piwnicy. Ubranie miałem cały czas trzymać na górze, w szafie. Wolno mi było je wkładać, tylko kiedy szedłem do szkoły albo kiedy w domu był ktoś obcy. Amani zarządził, że przy ludziach zawsze muszę być ubrany przez moje siniaki i blizny.

– Wyglądasz obrzydliwie – powiedział mi. – Jesteś w strasznym stanie.

Kiedy nikt mnie akurat do

niczego nie potrzebował, musiałem siedzieć w kącie sypialni, z daleka od okna, i czekać, dopóki nie mieli dla mnie jakiegoś zadania. Usłyszałem, że jeśli zostanę przyłapany na zabawie czymkolwiek albo na jakimkolwiek nieposłuszeństwie, posmakuję skórzanego pasa Amaniego. A już za żadne skarby nie było mi wolno bawić się przed domem. Czułem się tak, jakby po prostu przeniesiono mnie do innego więzienia, ale tu przynajmniej było ciepło, jasno i nie śmierdziało. Chociaż zdarzało się, że tęskniłem za swoją piwnicą. Tam nie miałem pojęcia, jak wolno

płynie czas. W sypialni widziałem zegar i jego wskazówki prawie się nie poruszały, kiedy siedziałem i gapiłem się na nie całymi godzinami. Próbowałem przyspieszać ich bieg siłą woli, żeby kolejny dzień wreszcie się skończył i żebym był bliżej chwili, kiedy ucieknę stąd jak Wally. Tykanie zegara brzmiało mi w głowie coraz głośniejsze i głośniejsze – tik-tak, tik-tak – każdy dzień włókł się koszmarnie. Próbowałem wkładać palce do uszu, żeby zagłuszyć to tykanie, ale się nie dało.

– Nie możesz dłużej sypiać na

podłódze – oznajmiła matka któregoś dnia. – Robisz tylko bałagan i wykładzina przez ciebie śmierdzi. Będziesz musiał spać z braćmi w łóżku.

Larry i Barry wcale nie byli zachwyceni, że muszą dzielić ze mną łóżko. Bez przerwy kopali mnie i tłukli pięściami, żebym nie zapomniał, jak bardzo mnie nie cierpią.

– Cuchniesz – mówili mi. – Jesteś ohydny gnojkiem.

Amani ostrzegł ich, by nie bili mnie po twarzy, bo ktoś z opieki społecznej mógłby zobaczyć siniaki, ale poza tym mogli robić

wszystko, co chcieli. Szybko się zorientowali, że mając mnie w łóżku, mogą rozładowywać seksualne frustracje tyle razy, ile mieli ochotę. Gwałcili mnie na zmianę, czasami zresztą używali też siebie nawzajem, by sobie ulżyć. Chyba lubili to robić ze sobą, ale mnie zawsze zmuszali, bo to bolało i nie podobało mi się. Gdybym się nie zgodził, powiedzieliby matce, że robię coś złego, i znów dostałbym manto, więc robiłem prawie wszystko, czego ode mnie chcieli, bo każda rzecz była lepsza niż bicie przez matkę – nawet to. Wiedziałem, że nigdy nie stanęłaby

po mojej stronie przeciwko nim, a poza tym cały czas wisiała nade mną groźba powrotu do piwnicy. Bywały noce, kiedy bałem się zasnąć, nie wiedząc, jaka ohydna zachcianka moich braci obudzi mnie na nowo. A kiedy wreszcie padałem z wyczerpania, w kółko śniły mi się te same koszmary.

We śnie skradałem się na dół po schodach i próbowałem dostać się do frontowych drzwi. Pod drzwiami widziałem białe światło, wąski skrawek wolności majaczący na horyzoncie, ale im usilniej starałem się do nich dotrzeć, tym mocniej coś, jakby ogromny ciężar,

ciągnęło mnie do tyłu. Jeśli kiedykolwiek udawało mi się dotrzeć aż do drzwi i otworzyć je, natychmiast budziłem się, przerażony. Nawet dziś miewam czasami ten koszmar.

Rano niemal zawsze miałem obolały tyłek po tym, co robili mi bracia. Często krwawiłem i strasznie się bałem, że zostawię plamę na pościeli czy wykładzinie, co oczywiście było przestępstwem, za które należało karać.

Amani wciąż zabierał mnie do łóżka, kiedy tylko miał ochotę zaspokoić swoje zachcianki, chociaż przez większość czasu nie

siedziałem już w piwnicy, i robił to wszystko na widoku, na oczach wszystkich innych w domu. Nawet nie próbował się z tym kryć, bo nie obchodziło go, co ktokolwiek sobie pomyśli. Cała rodzina wiedziała, co się dzieje. Może robił to też z innymi – nie mam pojęcia, bo nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach. Wyglądało to tak, jakby fakt, że dorosły mężczyzna uprawia seks z ośmioletnim chłopcem w domu jego matki, kiedy tylko mu się chce, był najzwyczajszą rzeczą na świecie. Wciąż istniałem tylko dla wygody i przyjemności innych. I chyba nawet zakładałem, że takie

właśnie musi być życie, bo nigdy nie było inne, od kiedy matka zabrała mnie po śmierci taty.

Odkryłem, że Amani nie spędza w domu każdej nocy. Okazało się, że nocuje również u ciotki Melissy. Że krąży między nimi dwiema, biorąc to, co najlepsze, z obu światów. Zdaje się, że wmawiał Melissie, że pracuje poza domem, i minął jakiś czas, zanim ciotka dowiedziała się, jak kompletna była zemsta Lesley. Nie mam pojęcia, co czuła matka, która znów musiała dzielić się mężczyzną z inną kobietą. Ale że tym razem to ona ukradła faceta tej

drugiej, może nie przeszkadzało jej tak jak wtedy, kiedy to ją zdradzał mąż.

Gdy się dowiedziałem, że Amani nocuje u ciotki, przez chwilę miałem nadzieję, że wspomni Melissie, jak traktują mnie w domu. Przecież na pewno pytała go, co się u nas dzieje? Na pewno była ciekawa, jak się miewam? Ale widocznie mówił jej, że wszystko u mnie dobrze, bo nigdy jej nie widywałem ani nie miałem od niej żadnych wieści.

Każdego wieczoru przed pójściem spać matka odprawiała swego rodzaju rytuał. Zabierała

Ellie i Thomasa do łazienki na górę, na siku, bo inaczej zmoczyliby materac, i zaczęła mnie również włączać w ten zwyczaj. Budziła nas krzykiem i wyciągała z łóżka za włosy około północy. O tej porze zawsze była już pijana i alkohol podsycił jej gniew i niechęć do nas. Wtedy trudno było jej się powstrzymać, by nie bić Thomasa i mnie.

– Wstawać! – krzyczała.

I musieliśmy pędzić do łazienki, by uniknąć klapsów i kopniaków, którymi raczyła nas po drodze.

Wyglądało to tak, jakby ten wysiłek i kłopot potwornie ją

irytowały. Żyły wychodziły jej na czole, oczy robiły się przekrwione. Zupełnie jakby Hulk we własnej osobie sterczał nad nami, kiedy próbowaliśmy się załatwić. Jeśli Amani akurat był w domu i czekał na nią w łóżku – co już samo w sobie było dla mnie ohydne – nie miała dla nas cierpliwości. Chciała jak najszybciej iść do niego. Jej oddech śmierdział alkoholem, kiedy przysuwała twarz do naszych twarzy i wyrzaskiwała obelgi. Załatwiałem się pierwszy i nigdy nie zapomniała trzepnąć mnie po głowie, kiedy skończyłem i mijałem ją, wracając do łóżka. Thomas miał

kłopot z wysikaniem się, gdy tak nad nim stała i wrzeszczała, żeby się pospieszył.

– Myślisz, kurwa, że ja tu stoję dla zdrowia? – krzyczała. – Co jest z tobą nie tak, do cholery?

Naciągałem kołdrę na głowę, by odciąć się od wrzasków młodszego brata, kiedy chwyciła go za włosy i kręciła nim młynki w łazience i na podeście piętra, rzucając nim po ścianach. Wic polegał na tym, by jak najszybciej polecieć na ścianę, bo wtedy była zadowolona. Ja nauczyłem się już tej sztuczki, ale Thomas nie był w tym tak dobry i czasami po prostu

padał na podłogę, więc podnosiła go i kręciła nim od nowa, i od nowa. Aż jej się udało.

Którejś nocy, kiedy po nas przyszła, była tak pijana, że ganiając za Thomasem, straciła równowagę i sama walnęła głową o ścianę. Ucieszyło mnie to. Słyszałem nawet, jak Larry śmieje się cicho po drugiej stronie łóżka. Thomas dostrzegł szansę i ruszył biegiem do swojego pokoju. Wszyscy zamarliśmy. Wiedzieliśmy, że teraz matka naprawdę będzie wściekła. Niepewnie pozbierała się na nogi, klęła i zapowiadała, że tym razem go zabije. Bałem się, że

naprawdę to robi, więc wstałem z łóżka i próbowałem go przed nią zasłonić. Kręciłem głową jak szalony, jakby to mogło poskutkować. Rzuciła się na nas obu.

– Kurwa, dlaczego nie jesteś w łóżku, gnojku jeden?

Uderzyła mnie w głowę, chwyciła za policzki i cisnęła mną przez pokój, jakbym nic nie ważył. Potem podniosła Thomasa za gardło, wywlokła go na podest i zrzuciła ze schodów. Słyszałam, jak jego drobne ciało uderza o każdy stopień w drodze na dół. Doskonale wiedziałem, jak to boli,

bo nieraz rzucała mnie w ten sposób do piwnicy. Potem, na kilka chwil, zrobiło się dziwnie cicho. I nagle usłyszałem, jak Amani krzyczy na nią.

– Coś ty zrobiła, do kurwy nędzy?! To jest wszędzie!

– Och, to tylko krew, na litość boską! – odwrzasnęła mu matka. Przeszli do innego pokoju i nie słyszałem już, co mówią.

Dziesięć minut później usłyszałem syrenę karetki, która z piskiem hamulców zatrzymała się przed domem. Frontowe drzwi się otworzyły i zacząłem nasłuchiwać, o czym jest mowa na dole.

– Stracił równowagę na podeście – mówiła matka sanitariuszom tym swoim rozsądnym głosem, a oni najwyraźniej akceptowali jej wersję bez sprzeciwów.

Siostra matki, Pat, nocowała u nas tego dnia i zgodziła się pojechać karetką z Thomasem. Pat odwiedzała nas od czasu do czasu, ale jakoś nie widziała nic złego w tym, jak matka nas traktowała. Pewnie dlatego, że i ona była wychowywana w taki sam sposób przez dziadków. Jakąś godzinę po odjeździe karetki zadzwonił telefon i usłyszałem, że matka odbiera.

Poznałem po jej tonie, że rozmawia z Pat.

Wyglądało na to, że policja nie przełknęła jej historyjki z taką łatwością jak załoga karetki.

– Policja tu jedzie? Teraz? – przestraszyła się. A potem zaczęła pouczać ciotkę, co ma mówić Thomas, kiedy będą go przesłuchiwać. Nie słyszałem wszystkiego dokładnie, bo Barry chrapał.

Amani, kiedy usłyszał, że jedzie policja, natychmiast uciekł z domu, ubierając się w biegu. Kiedy już go nie było, usłyszałem kroki matki zbliżające się do naszej

sypialni. Zamknąłem oczy i udawałem, że śpię, ale i tak złapała mnie za włosy i wyciągnęła z łóżka.

– Marsz do kuchni – rozkazała.

Wypełniłem polecenie tak szybko, jak mogłem, bo nie chciałem zlecieć ze schodów jak Thomas. Na stopniach, na podłodze i ścianach korytarza dostrzegłem plamy krwi. Matka weszła za mną do kuchni, podeszła do szuflady i wyjęła największy, najostrzejszy nóż, jaki znalazła. Widziałem jej minę i nabrałem pewności, że tym razem mnie zabije, jak mi to wiecznie obiecywała. Twarz miała

wykrzywioną gniewem, kiedy się do mnie zbliżała. Chwyciła mnie i przycisnęła mi ostrze do gardła. Trząsałem się jak osika. Nie mogłem się powstrzymać, chociaż byłem przerażony, że przetnę sobie szyję o ostrą krawędź, jeśli drgnę choćby o milimetr.

– Powiem to tylko raz – wysyczała. – Rozumiesz?

Ledwo ledwo kiwnąłem głową.

– Do domu jedzie policja i będzie pytać o upadek Thomasa. Powiem im, że ty i on biliście się na podeście i że go zepchnąłeś ze schodów. Rozumiesz?

Znów skinąłem głową.

– Grzeczny chłopiec.

Odsunęła nóż od mojego gardła i schowała z powrotem do szuflady. Po czym zrobiła sobie i mnie po kubku kakao, jakby nie stało się nic złego. Jakbyśmy robili coś takiego każdego wieczoru. Posłała mi szeroki, fałszywy uśmiech i podała parujący kubek. Próbowwała mnie trochę uspokoić przed przyjazdem policjantów, żebym przestał się trząść.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, poszła otworzyć, rzucając jeszcze jedno ostrzeżenie:

– Pamiętaj, co powiedziałam.

Skinałem głową i ostrożnie łyknąłem gorącego napoju. Słyszałem policyjne radio gadające w korytarzu, kiedy matka prowadziła funkcjonariuszy do kuchni. Słuchałem, jak opowiada swoją historyjkę. Była tak przekonująca, że musieli jej uwierzyć. Zawsze wierzyli.

– Proszę panów do kuchni, poznajcie go.

– Witaj, chłopcze – rzucił jeden z policjantów. Był wysoki, miał donośny, niski głos. Spojrzałem na niego, ale natychmiast spuściłem głowę. Wstydzilem się kłamstw, które

miałem potwierdzić. Powtórzył wszystko, co przed chwilą usłyszał od matki.

– Opowiedz, jak to się stało – poprosił.

– On jest niemową – wyjaśniła matka. – Musi pan mu zadawać pytania, na które będzie mógł odpowiedzieć, kiwając albo kręcąc głową.

– Biłeś się ze swoim młodszym bratem, Thomasem? – spytał policjant po chwili zastanowienia.

Przytaknąłem.

– Zepchnąłeś go ze schodów?

Znów przytaknąłem.

– Cóż, to nie było zbyt mądre, prawda?

Zaprzeczyłem.

– Żal mi twojej mamy i biednego Thomasa. Zdajesz sobie sprawę, że to, co zrobiłeś, to bardzo poważna sprawa?

Skinienie.

– Będziesz od tej pory grzeczny, żeby mama nie miała z tobą kłopotu? – Spojrzał na mnie surowo.

Znów przytaknąłem. Policjant uścisnął mi rękę, pożegnał się, a mnie rozsadzała taka wściekłość, że o mało nie wybuchłem. Gdybym tylko mógł mówić! Gdybym tylko

miął możliwość i odwagę powiedzieć mu, że matka kłamała. Odprowadziła go do drzwi, gawędząc po drodze, jakby nigdy w życiu nie zrobiła niczego złego. A ja szybko łykałem kakao, korzystając z faktu, że nie ma jej w kuchni. Chciałem wypić jak najwięcej, zanim mi je zabierze albo wyleje na mnie.

– A teraz wracaj do łóżka, gówniarzu! – krzyknęła, kiedy tylko wróciła do kuchni. Czmychnąłem obok niej i popędziłem na górę, omijając plamy krwi.

Thomasowi założyli tej nocy ze dwadzieścia szwów na głowie,

ja znów wyszedłem przed
wszystkimi na agresywne,
niegrzeczne dziecko, a matka na
jakąś świętą cierpiętnicę.

Prawie nikt spoza rodziny nie
widywał gwałtownej strony
osobowości matki. Była jak Jekyll
i Hyde – sama słodycz i pogoda
przy policjantach i urzędnikach
i dziki ogr za zamkniętymi
drzwiami własnego domu.

Nikt, z jednym wyjątkiem –
naszego sąsiada, Paddy'ego. Paddy
był Irlandczykiem i pił równie dużo
jak matka. Nie rozumiałem ani
słowa z tego, co mówił, ale
wiedziałem, że jej nienawidzi, bo

wykrzykiwał różne rzeczy pod oknem, kiedy alkohol dodał mu odwagi. Nazywał Lesley grubą wiedźmą. Matka pobiła go parę razy, ale on nigdy nie uczył się na błędach, a odwagę podsycił guinnessem i whisky. Pewnej nocy, niedługo po moim uwolnieniu z piwnicy, obudziły nas wszystkich krzyki na ulicy, pod oknami sypialni. Rozróżniałem imię matki wśród tego pijackiego bełkotu. Usłyszałem, że wstała z łóżka, zeszła na dół i otworzyła drzwi. Larry skoczył do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Brawo, mama! – rzucił

radośnie. – Jasna cholera, ona go znowu leje.

Teraz słyszałem też głos matki, zagłuszający wrzaski Paddy'ego.

– Ty irlandzka świnió, już ja ci dam! Po co walisz do moich drzwi w środku nocy, cholera!

– Chodź popatrzeć – powiedział Larry do Barry'ego. – Szybko.

Barry wyskoczył z łóżka i zajął miejsce na widowni. Ja się nie ruszyłem. Nie chciałem patrzeć, bo i tak wiedziałem, co tam się dzieje. I wolałem nie myśleć, co się stanie z biednym, starym Paddym. A zresztą Larry i Barry spuściliby

mi manto, gdybym próbował się przyłączyć. I tak byłem na bieżąco dzięki ich komentarzom i hałasom dobiegającym z ulicy. Matka chwyciła Paddy'ego za gardło i rozbiła jego głową okno w jego domu, po czym zostawiła go, zakrwawionego, wśród tłuczonego szkła.

– Zamknąć okno, do cholery, i wracać mi do łóżka! – krzyknęła do chłopaków, po czym wpadła do domu, zatrzasnęła drzwi i sama poszła spać, jakby nigdy nic. Po tej nocy nie słyszeliśmy już o Paddym. Nie był raczej człowiekiem, który mógłby pójść na policję, składnie

opowiedzieć, co się stało, i wnieść przeciwko niej zarzuty. Gdyby potrafił to zrobić, nie pobiłaby go. Matka była zbyt sprytna, by dać się na czymkolwiek przyłapać. Nieważne, ile wypiała – zawsze kierował nią instynkt samozachowawczy, dzięki któremu sama nigdy nie wpakowała się w kłopoty.

Szkoła

Nadszedł wrzesień i początek nowego roku szkolnego. Władze szkolne uznały, że mam trafić do normalnej klasy z dziećmi w moim wieku, tyle że przydzielono mi asystenta do pomocy. Wciąż nie potrafiłem mówić, nie licząc kilku

prymitywnych, nieartykułowanych dźwięków. Oczywiście nie umiałem też pisać ani czytać. Miałem osiem lat. Wszystkie pozostałe dzieci z klasy chodziły do szkoły już od trzech, czterech lat i znacznie przewyższały mnie poziomem rozwoju umysłowego. Po trzech latach w samotności, w ciemnej celi, nie mogłem nawet marzyć, że im dorównam.

Dzięki opowieściom Wally'ego wiedziałem mniej więcej, czego się spodziewać w szkole. Ale nic nie mogło mnie przygotować na ten zalew wrażeń, które zaatakowały moje zmysły ze

wszystkich stron, kiedy po raz pierwszy wyszedłem na hałaśliwy, ruchliwy świat. Trzy lata spędziłem praktycznie sam, w ciemnej, cichej piwnicy, a teraz nagle znalazłem się w oślepiającym świetle dnia, otoczony tłumami dzieciaków tłoczących się dookoła, popychających się, roześmianych. Dzwoniły dzwonki, nauczyciele wykrzykiwali polecenia. Musiałem poznać tyle obcych twarzy, tyle nowych zasad, by się dopasować, by stać się częścią tego wszystkiego. Na pewno wyglądałam jak dziwne, nerwowe stworzenie, kiedy po raz pierwszy

przekroczyłem bramę szkoły, nie wiedząc, co mnie czeka. Dzieci szybko stłoczyły się wokół mnie, ciekawe dziwnego, nowego ucznia.

– Cześć! – witały się. Ich twarze były wszędzie dookoła. Gapiły się, oceniały mnie, próbowały wyczuć i wybadać, czy moja obecność będzie miała jakiś wpływ na ich życie. – Jak ci na imię?

– On nie mówi – odpowiedzieli za mnie bracia.

– Jak to, nie mówi? – Wszyscy się cofnęli, przyglądając mi się z ciekawością i podejrzliwością. Dzieci nie lubią nikogo, kto się od

nich różni czy wydaje im się dziwny. Szybko zorientowałem się, że nie będzie mi łatwo znaleźć przyjaciół.

Każdego roboczego dnia w tygodniu mój poranek wyglądał tak samo. Ubranie czekało schludnie ułożone w nogach łóżka, więc starałem się ubrać jak najszybciej, by nie poplamić niczego krwią po nocnych zabawach Larry'ego i Barry'ego. Kiedy już byłem ubrany, musiałem usiąść w rogu pokoju – w brudnym kącie, jak go nazywali – i czekać, aż ktoś mi powie, co mam robić dalej.

Matka wołała mnie na dół, kiedy byłem gotowy. Wolno mi było zjeść dwie kromki chleba z masłem i napić się wody. Chleb podawano mi w psiej misce, a wodę w plastikowym kubku z dziobkiem, podpisanym moim imieniem, bo wciąż nie wolno mi było zanieczyszczać żadnych innych naczyń, których używała reszta rodziny. Nie przeszkadzało mi to zbytnio, bo przynajmniej były to regularne posiłki i nie byłem bez przerwy tak wygłodniały jak w czasach, kiedy siedziałem w piwnicy. Larry i Barry odprowadzali mnie do szkoły.

Szczerze nie cierpieli tego obowiązku. Szedłem pięć, sześć kroków za nimi, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w chodnik, rozmyślając o tacie. Nie mogłem o nim zapomnieć. Liczyłem płyty chodnikowe, żeby oderwać myśli od jego głosu, wypełniającego mi głowę.

– Ruszaj się, Joe – zrzędzili bracia. – Przestań się ociągać. Powiemy mamie, jak nie zaczniesz ruszać nogami.

Thomas i ja mieliśmy zakaz chodzenia na wuef w szkole, bo musielibyśmy się rozbierać przy ludziach. Matka wypisywała

usprawiedliwienia, żeby zwolnić nas z ćwiczeń z powodu choroby. W moim przypadku była to astma, w przypadku Thomasa dziura w sercu. Podobno miał jakąś dziurkę w przegrodzie, kiedy się urodził, ale szybko zarosła i nigdy nie sprawiała mu żadnych problemów. Tak czy inaczej, matka wmówiła nauczycielom, że ćwiczenia fizyczne są dla niego niebezpieczne, a nauczyciele woleli jej wierzyć. Szczerze mówiąc, przyjąłem te zwolnienia z ulgą, bo nie chciałem, żeby inni chłopcy wypytywali nas o blizny i siniaki. Nie przyszło mi do głowy, że gdyby

zauważyli je nauczyciele, mogliby zawiadomić o naszej gehennie kogoś, kto by nas uratował. Ale nigdy wcześniej nikt nie próbował nas ratować, a matka i tak zmyśliłaby jakąś bajeczkę, która wyjaśniłaby wszelkie podejrzane ślady na naszych ciałach. „Och, chłopcy wiecznie się biją” – powiedziałyby, albo: „Spadł ze schodów, bo rozrabiał, jak zwykle”.

Poza tym bałem się, że gdyby koledzy zaczęli nas wypytywać, Thomas, o wiele bardziej pewny siebie, zaraz by wypaplał, skąd się wzięły blizny i sińce.

A wiedziałem, że jeśli wszyscy się dowiedzą, że rodzina używa mnie jako worka bokserkiego, będą mieli jeszcze jeden powód do drwin.

To, że codziennie chodziłem do szkoły, nie oznaczało, że z matką żyło mi się łatwiej. Kiedy tylko byliśmy w domu, za zamkniętymi drzwiami i zasłoniętymi oknami, wciąż rządziła rodziną tak samo brutalnie, jak zawsze. Nie miało znaczenia, czy chodzę do szkoły, czy nie, bo nie umiałem mówić i nie mogłem się nikomu poskarżyć. A nawet gdybym mógł, i tak by się pewnie nie przejmowała. Była

pewna, że podporządkowała mnie sobie równie skutecznie, jak całą resztę. Nikt z nas nie odważyłby się na nią donieść, za bardzo baliśmy się lania i tego, że uznają nas za kłamców. Naprawdę wierzyliśmy, że jest zdolna nas zabić, jeśli przeciągniemy strunę. Wiedziałem, że jeśli za bardzo ją rozzłoszczę, po prostu wymyśli jakąś wymówkę na użytek szkoły, wmówi im, że jestem chory, i znów zamknie mnie w piwnicy, dopóki humor jej się nie poprawi.

Niedługo po rozpoczęciu semestru zostawiła mnie tam zresztą na całe trzy dni za jakieś

wykroczenie i nie pozwoliła nikomu schodzić do mnie ani przynosić mi resztek. Wiedziałem, ile czasu minęło, bo w dziurkach wywietrznika trzy razy pojawiało się i gasło dzienne światło. Drugiego dnia kurcze głodowe były już nieznośne. Zwijałem się w kłębek, próbując je zdusić, kiwałem się z bólu i usiłowałem sobie wmawiać, że właśnie zjadłem jabłko – chciałem oszukać żołądek, by uwierzył, że jest pełny. Drugiej nocy nie miałem już ani kropli wody w butelce, którą mi zostawiła, i zdaje się, że co chwilę traciłem przytomność. Próbowałem

zjadać kawałeczki plastiku odrywane z butelki, żeby żołądek nie bolał tak strasznie, ale tylko pogorszyły sprawę.

Trzeciego dnia matka poszła odwiedzić swoją matkę. Słyszałem kroki mijające wywietrznik, ale nie miałem siły podnieść głowy, by popatrzeć, jak jej cień mija otwór. Po chwili usłyszałem, że ktoś schodzi na dół i otwiera drzwi.

– Masz, chłopcze – powiedział Amani. Zawsze nazywał mnie chłopcem, nigdy nie użył mojego imienia. – Zrobiłem ci herbatę i tosty.

Ani przez sekundę nie

wierzyłem, że naprawdę jest dla mnie miły. Wiedziałem, że to jakaś nowa gra. Pewnie dodał do tostów czegoś, od czego się pochoruję, napluł do herbaty albo jeszcze gorzej. Ale byłem tak głodny, że nie chciałem przepuścić okazji, nawet gdybym miał zapłacić za to jedzenie jakąś straszną cenę. Leżałem nieruchomo – nie miałem siły się podnieść. Czułem zapach ciepłych tostów, dostałem od tego ślinotoku i bolesnego szczękościsku. Amani kucnął przy mnie, oderwał kawałek skórki od tosta i przytknął mi do ust. Bałem się, że chleb może być zatruty, ale nie mogłem się oprzeć –

rozchyliłem wargi i pozwoliłem wsunąć sobie tosta do ust. Amani zachowywał się tak dziwnie, że nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać.

– Naprawdę, chłopcze – powiedział łagodnie. – Wszystko w porządku, możesz to zjeść. Poczujesz się lepiej.

Zamknąłem oczy i otworzyłem usta, czekając na więcej. Kiedy żułem, w każdej chwili spodziewałem się ciosu pięścią czy blachy w czoło, ale nic się nie stało, a tost smakował w porządku. Po chwili otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Amani po prostu

siedzi i patrzy na mnie. Czekał, aż się podniosę i napiję herbaty, którą mi przyniósł.

— Świetnie wyglądasz, chłopcze — stwierdził. — Przepraszam, że tak fatalnie cię traktowałem. To wszystko przez twoją mamę, wiesz. Ona mi każe robić te rzeczy. Wydobywa ze mnie wszystko, co najgorsze.

Drgnąłem, kiedy pogłaskał mnie po głowie gigantyczną łapą i posłał mi wymuszony uśmiech. Na pewno wierzył w to, co mówił, ale matka chyba nie musiała się zbytnio napracować, żeby zmusić go do tego wszystkiego, co mi robił.

Chciałem go sobie zjednać, okazać pokorę, jakby był jakimś bogiem czy inną potężną istotą, ale oczy na pewno zdradzały, jak bardzo się bałem. A Amani wciąż próbował mnie uspokoić, zachowywać się przyjaźnie. Powiedział mi, żebym poszedł z nim na górę i nawet pomógł mi wejść po schodach. Zabrał mnie do salonu dla gości i posadził na kanapie, chociaż byłem brudny od tarzania się po podłodze piwnicy. Przysiadłem na samym kraju poduchy, przerażony, że zostawię jakiś ślad, że matka to zobaczy i ukarze mnie za to po powrocie.

– Później ugotuję ci coś smacznego – obiecał Amani. – Tylko uważaj, żeby nie oblać herbatą mebli mamy.

Zadzwonił telefon i po tonie Amaniego poznałem, że rozmawia z matką.

– Nie, kochanie – zapewnił ją. – Żyje i ma się dobrze. Dałem mu tosty i herbatę i jest jak nowy.

Czyżby jej się wydawało, że wreszcie mnie wykończyła? To dlatego posłała Amaniego na dół, żeby sprawdził co u mnie?

– Kiedy przyjdzie? – spytał Amani. – Za piętnaście minut? Okej... Nie, na pewno będzie teraz

grzecznym chłopcem.

Mówiąc to, patrzył na mnie, jakby mnie ostrzegał. Wtedy nabrałem pewności, że nie bez powodu jest dla mnie taki miły. Że ma wobec mnie jakieś plany.

– Chodź ze mną – powiedział, kiedy już odwiesił słuchawkę. Ruszyliśmy na górę, do sypialni. Strach ścisnął mi serce, bo nie wiedziałem, co chce mi zrobić. Trzymałem się kilka kroków z tyłu, na wypadek gdyby się odwrócił i próbował skopać ze schodów, ale on wciąż udawał, że jest dla mnie miły, jakbyśmy byli kumplami. W sypialni wyjął z szafy mój

szkolny mundurek i kazał mi się ubrać. Nie rozumiałem dlaczego, bo nie szedłem tego dnia do szkoły, ale oczywiście usłuchałem. Kiedy już byłem ubrany, zabrał mnie do pokoju matki.

– Usiądź na łóżku – rzekł, a ja zrobiłem, co kazał. Przeraziła mnie myśl, że matka wróci niespodziewanie i przyłapie mnie tutaj, ale za bardzo bałem się Amaniego, by mu się sprzeciwić.

Wtedy usłyszałem, że ktoś puka do frontowych drzwi.

– Siedź tutaj – polecił Amani.
– Tylko cichutko.

Amani wpuścił gościa

i usłyszałem na dole męski głos. Brzmiało to dość przerażająco, kiedy tak mamrotali do siebie i się śmiali. Było jasne, że nie chcieli, żebym usłyszał, co mówią, jakby ubijali jakiś ciemny interes. Czekałem. W końcu usłyszałem kroki na schodach i drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł przysadzisty facet z dużym brzuchem i rzadkimi włosami. Miał za krótką koszulkę i brzuch wylewał mu się znad paska spodni. W ręce trzymał dużą, czarną torbę.

– Cześć, kolego – rzucił. –

Mam na imię Douglas. I jestem twoim przyjacielem. Możesz mnie

nazywać wujkiem Douglasem.

Próbowałem wypatrzeć Amaniego za jego plecami, ale zniknął bez śladu.

– Chcesz cukierka? – spytał Douglas i zamknął za sobą drzwi. Ostrożnie kiwnąłem głową, a on położył mi na dłoni jakiegoś żelka. Pogryzłem go i przełknąłem błyskawicznie, żeby mi go nie zabrał. Żelek był niezły, aż dostałem ślinotoku.

– Rany! – Douglas się roześmiał, widząc ten pośpiech. – Smakowało ci, co?

Dał mi jeszcze jednego. Nie rozumiałem, dlaczego jest dla mnie

taki miły, ale dawał mi słodycze i nie zamierzałem przepuścić takiej okazji. Nie wyglądał na agresywnego i zacząłem się trochę rozluźniać.

– O nic się nie martw – powiedział. – Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

W tej chwili do pokoju zajrzał Amani. Zastanawiałem się, czy słyszał to, co mówi ten człowiek i teraz go pobije.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, oczywiście – odparł Douglas. – To miły chłopak.

– No dobrze. – Amani

wyszczерzył się w uśmiechu, pokazując te swoje wielkie zęby. – W takim razie zostawiam was samych, żebyście się lepiej poznali.

Przez głowę przelatywało mi tyle myśli, że nie umiałem ich uporządkować. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wyczuwałem niebezpieczeństwo, ale nie wiedziałem, z której strony nadejdzie. Matka też potrafiła być czasami taka miła, a potem robiła się straszna w ułamku sekundy. Czy wujek Douglas też się taki robi, jeśli powiem coś nie tak albo spojrzę na niego w nieodpowiedni sposób?

– Świetny z ciebie chłopak – stwierdził Douglas i jego słowa sprawiły, że poczułem się dumny. Nie byłem przyzwyczajony do komplementów. – Zabawimy się w jedną grę?

Minęło naprawdę wiele czasu, od kiedy ktoś okazywał mi takie zainteresowanie i był dla mnie miły. Od śmierci taty nikt nie proponował, że się ze mną pobawi. Wręcz przeciwnie, zabraniano mi nawet myśleć o zabawach. Douglas usiadł na łóżku obok mnie i zaczął mnie łaskotać. Dał mi jeszcze jednego żelka. Z bliska załatywał niefajnie – mieszaniną starego potu,

zepsutych zębów i niepranych ubrań – ale przecież przyzwyczailem się do nieprzyjemnych zapachów. Sam na pewno nie pachniałem zbyt świeżo po trzech dniach w piwnicy. Douglas sięgnął do torby i wyjął aparat.

– Mogę ci zrobić parę zdjęć, żeby pokazać żonie? – spytał. – Zgodzisz się?

Kiwnąłem głową, a on znów dał mi żelka. Podobało mi się, że ktoś chce mi zrobić zdjęcie. Tata pstrykał mi fotki, bo był ze mnie dumny i chciał się mną chwalić przed ludźmi.

– No to połóż się na łóżku –

poprosił Douglas.

Zrobiłem to. Zastanawiałem się, czy nie chce mnie przypadkiem adoptować. Może właśnie dlatego robi mi zdjęcia, żeby je pokazać żonie. Podobał mi się ten pomysł. Wszystko, byle tylko uciec od matki.

– Gorąco tu, może zdejmiesz sweter? – Pomógł mi przeciągnąć go przez głowę i rozpiął mi kilka guzików koszuli. – No, o wiele lepiej – stwierdził i dał mi kolejnego żelka. – Zobaczymy, czy potrafisz zdjąć koszulę i spodnie, zanim doliczę do dziesięciu – powiedział. – Jak ci się uda,

dostaniesz więcej cukierków.

Tyle lat spędziłem w samych majtkach, że zupełnie mnie to nie zdziwiło. Po słodyczach, tostach i herbacie zaczynałem się czuć całkiem dobrze. Douglas kazał mi poskakać po łóżku, żeby pstryknąć jeszcze kilka zdjęć. Zrobiłem to z radością. Od lat się tak dobrze nie bawiłem.

– A teraz zdejmij majtki – polecił Douglas od niechcienia – i połóż się.

Nagle jakby ktoś jednym guzikiem wyłączył całą radość i włączył dzwon alarmowy w moim mózgu. Usiadłem sztywno

i pokręciłem głową. Do takich rzeczy zmuszali mnie matka, Amani, Larry i Barry. A ja chciałem się bawić dalej. Nie chciałem bólu.

– Nie wstydz się. – Douglas roześmiał się, jakby moje wahanie to były tylko dziecięce fochy. – To taka zabawa.

Znów pokręciłem głową.

– Nie bądź niegrzeczny – rzucił i w jego tonie usłyszałem nutę pogroźki. Zacząłem się trząść, zachciało mi się płakać. – Bądź dobrym chłopcem, bo będę musiał zawołać tatusia.

Jeszcze raz pokręciłem głową i nagle dostałem w twarz tak

mocno, że padłem na bok. Douglas podniósł rękę, żeby uderzyć jeszcze raz, ale zerwałam się i zatopiłem zęby w boku jego dłoni. Wbijałem je coraz głębiej i głębiej, tak jak tamtego dnia z opiekunką społeczną. Poczulem smak krwi, ale nie rozluźniałem szczęk, przerażony tym, co będzie, jeśli puszczę. Douglas wrzasnął z bólu. Do pokoju wpadł biegiem Amani i zdzielił mnie pięścią w skroń tak mocno, że szczęki puściły i Douglas odskoczył, potrząsając dłonią w powietrzu. Amani wpadł w taki szal, w jakim go jeszcze nie widziałem. Wyszarpnął pas ze

szlufek i zaczął mnie tłuc na oślep. Douglas przytrzymał mnie na łóżku, żebym nie mógł uciec. Potem usiadł mi na głowie, wciskając twarz w materac. Nie mogłem się bronić, nie mogłem się nawet ruszyć, kiedy obaj gwałcili mnie na zmianę. To był pierwszy raz, kiedy molestował mnie ktoś spoza rodziny. Robili mi obrzydliwe rzeczy, jakich wcześniej nie znałem. Rzeczy, które potwornie bolały. I pstrykali sobie nawzajem zdjęcia aparatem Douglasa.

Kiedy wreszcie ze mną skończyli, Amani zawlókł mnie za włosy na dół, do piwnicy, tak jak

robiła to matka. Parę razy traciłem oparcie pod stopami, ale on nie puszczał.

– Kurwa, nie potrafisz robić, co ci się każe! Co, chłopcze? – wrzeszczał. – W końcu się nauczysz.

Kopniakiem wtrącił mnie do piwnicy i zostawił nagiego i krwawiącego na betonowej podłodze. Kiedy po paru godzinach zacząłem odzyskiwać siły, udało mi się doczołgać do materaca. Narastał we mnie potworny gniew, podsycany głodem, który tosty i słodczyce przytłumiły tylko na chwilę. Próbowiałem krzyczeć, żeby

wyrzucić z siebie tę furję, ale gardło wciąż mi na to nie pozwalało. Wszystko siedziało zamknięte w mojej głowie i bałem się, że mnie rozsadzi. W końcu pozbierałem się i zacząłem kopać piętami w drzwi, coraz głośniej i głośniej, jak oszalone zwierzę zamknięte w klatce. Nagle do piwnicy wpadł jak burza Amani. W zębach ścisnął cygaro.

– Ty mały gnoju! Zdaje ci się, że jesteś taki sprytny? Tak?

Rzuciłem się na niego z pięściami i zacząłem z całej siły tłuc go po brzuchu, ale on tylko stał i śmiał się z moich żalosnych

wysiłeków. W końcu, znudzony tym sportem, chwycił mnie za gardło i podniósł na wysokość oczu. Czułem na twarzy żar jego cygara i pomyślałem, że zaraz wypali mi oczy. Wypuścił na mnie chmurę dymu i cygaro spadło na podłogę.

– I zobacz, do czego mnie zmusiłeś!

Ledwie mogłem oddychać i byłem pewien, że zginę, kiedy rzucił mną przez pomieszczenie, jakbym nic nie ważył. Uderzyłem plecami o ścianę i straciłem oddech. Padłem na materac, z trudem chwytając powietrze, i patrzyłem, jak Amani idzie

w moją stronę i rozpina spodnie. Wyciągnął wacka i, zanim zdążyłem się uchylić, nasikał mi na twarz.

– Chce ci się pić? – Śmiał się, patrząc, jak usiłuję oddychać i nie wpuścić szczyń do ust. – To dlaczego nie poprosiłeś?

Kiedy skończył, odcharknął i splunął mi w twarz. Wreszcie ruszył do drzwi.

– Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował – powiedział – zadzwoń na służbę. – Roześmiał się, bardzo zadowolony z żartu.

Podniósł cygaro z podłogi, chwycił w zęby i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz

i gasząc światło. Długo leżałem w ciemności, próbując ogarnąć to wszystko, co mnie spotkało. I zrozumieć, jaki to będzie miało wpływ na moją przyszłość.

Tresura

Po moim pierwszym spotkaniu z wujkiem Douglasem Amani zaczął regularnie sprowadzać mężczyzn do mojej piwnicy, żeby uprawiali ze mną seks. Zwykle przychodzili w weekendy albo w wakacje czy ferie, ale czasem zatrzymywano

mnie w domu w zwykły szkolny dzień. A kiedy prowadzono mnie do piwnicy, doskonale wiedziałem, co mnie czeka.

To wyglądało tak, jakby doświadczenie z wujkiem Douglasem było jakimś egzaminem. Chyba go zdałem i można mnie było wprowadzić na rynek. Wszyscy przyjaciele Amaniego byli silni i szybko się nauczyłem, że nie wolno im się opierać. Co mogłem zrobić? Byłem niedożywionym dziewięciolatkiem, a oni dorosłymi mężczyznami. Każdy protest z mojej strony oznaczał bicie – które tylko odsuwało w czasie to co

nieuniknione – i większe rany niż gdybym po prostu się poddał. Lepiej było pozwolić im na to, co chcieli mi robić, żeby jak najszybciej było po wszystkim. Żeby prędzej sobie poszli. Amani ciągle mi powtarzał, że to, co dzieje się w mojej piwnicy i całym domu, musi pozostać w tajemnicy. Wmawiał mi, że to dla mojego dobra.

– Jeśli ktokolwiek się o tym dowie – mówił – pójdzie z tym na policję i wsadzą cię do więzienia.

Wierzyłem mu, bo jeden z mężczyzn, którzy przychodzili do piwnicy, powiedział mi, że jest

policjantem. Nie miałem żadnego powodu w to wątpić. Twierdził, że zamknął w przeszłości wielu takich chłopców jak ja, i zawsze skuwał mnie kajdankami. Były dla niego częścią zabawy.

– Jeśli kiedykolwiek pójdziesz do moich kolegów na posterunku i powiesz im, co się tu dzieje – ostrzegam mnie – dowiem się o tym, wrócę tutaj i cię zabiję. Rozumiesz?

Zawsze kiwałem głową i odwracałem oczy, żeby nikt nie pomyślał, że go wyzywam czy jestem bezczelny. Wierzyłem, że wszyscy ci ludzie byli zdolni mnie

zabić, gdyby musieli się chronić. Ale i tak nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby komukolwiek powiedzieć. Ich tajemnica była bezpieczna. Po tym wszystkim, co mnie spotkało przez ostatnie lata, jak mogłem sądzić, że ktokolwiek by mi uwierzył, zechciał pomóc, postarał się, by moje życie było choć trochę znośniejsze? Skoro nawet policjanci robili takie rzeczy dzieciom, to do kogo miałem iść? Poza tym wciąż nie umiałem mówić ani pisać, więc nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak ich zdaniem, miałbym się przed kimkolwiek wygadać. Moja sytuacja wydawała

się beznadziejna. Przez swoje milczenie byłem kompletnie odcięty od reszty świata.

Mniej więcej w tamtym czasie matka zorientowała się, że może zarobić na tym, do czego zmuszali mnie znajomi Amaniego. Zaczęła się chwalić, kiedy mnie tłukła, że zarobi na mnie kupę szmalu, ale ja nie rozumiałem jeszcze wtedy, co miała na myśli. Myślałem, że to może mieć coś wspólnego z kukułką i szajbą, które – jak twierdził Wally – miała w głowie. Że przez to wyobrażała sobie różne dziwne rzeczy. Jak taki mały chłopiec jak ja mógł zarobić dla niej dużo

pieniędzy? Tym bardziej jeśli nawet nie wychodził z domu, nie licząc szkoły? Powoli docierało do mnie, że mężczyźni tacy jak wujek Douglas płacą jej za to, że mogą robić ze mną różne rzeczy. Przyszło mi do głowy, że może to dobrze, chociaż bolało i nienawidziłem tego robić. Przecież i tak byłem do tego zmuszany za darmo przez członków rodziny. Może mama będzie mnie bardziej kochać, jeśli zarobię dla niej trochę pieniędzy? Gdybym zarabiał dużo, rozmyślałem, może nawet dawałaby mi jeść i pozwoliła spać w ciepłym pokoju, żebym był silny i zdrowy

i pracował dla niej dłużej.

– Wujek Douglas zabierze cię na wycieczkę – oznajmiła kilka tygodni po moim pierwszym spotkaniu z nim. Długo na mnie krzyczała, żebym na pewno zrozumiał, jak strasznie mnie spierze, jeśli nie będę robił wszystkiego, co każe wujek.

– Jeśli zrobisz to, o co prosi mama, nic ci się nie stanie – oznajmił Amani, kiedy przyszedł po mnie do piwnicy w dniu planowanej wycieczki. Kiwnąłem głową, że rozumiem, starannie unikając jego wzroku. – Ale jeśli to się wyda – ciągnął – wydłubię ci,

kurwa, oczy. Chodź!

Posłusznie ruszyłem za nim na górę do łazienki, nie mając pojęcia, co mnie czeka. Kazał mi wejść pod prysznic i wyszorował mnie brutalnie. Pewnie chciał zmyć z mojego ciała wszystkie nieprzyjemne zapachy, w tym smród własnej uryny.

– Jesteś na to gotów, chłopcze? – Roześmiał się. – Idziesz na sprzedaż.

Przypomniałem sobie, jak Wally mówił mi, że nikomu nie wolno dotykać moich genitaliów. Pewnie się mylił, bo był jedynym znanym mi człowiekiem, który tak

twierdził. W niczym nie przypominał reszty rodziny, więc może to on był dziwny, a nie oni. A poza tym i tak go nie było, odszedł, więc może Amani, matka, Larry, Barry i wujek Douglas byli w porządku, a ja po prostu musiałem znosić to, co ze mną robili. Wszystko w moim życiu bolało, i fizycznie, i psychicznie. Po latach znoszenia tego bólu byłem już odrętwiały i zaszczuty. Przepęłniał mnie utajony gniew, ale nie chciało mi się już nawet o tym myśleć, bo z wybuchów gniewu nigdy nie wynikło dla mnie nic dobrego.

Kiedy wujek Douglas przyjechał po mnie tamtego dnia, pieniądze otwarcie przeszły z ręki do ręki w korytarzu. Nie wiem ile, bo nie odważyłem się oderwać oczu od podłogi. Gdyby matka przyłapała mnie, że patrzę na to, jak za mnie płacą, popamiętałbym to na długo. Wujek Douglas był uroczy dla matki, a ona dla niego. Kiedy tak flirtowali ze sobą, można by pomyśleć, że to na niej mu zależy. Potem zaczekał w korytarzu, a matka zawlokła mnie do kuchni na, jak to nazywała, pogadankę.

– No dobra, gówniarzu – wysyczała. – Rób wszystko, co ci

każe wujek Douglas. To mój najlepszy klient i jeśli się dowiem, że byłeś nieposłuszny, normalnie cię zatłukę, jak wrócisz.

Chwyciła mnie za gardło i spojrzała mi w oczy.

– Rozumiemy się?

Kiwnąłem głową, a ona przeniosła swoją żelazną łapę z gardła na mój nadgarstek i poprowadziła mnie z powrotem do czekającego Douglasa. Ten chwycił mnie za nadgarstek jeszcze mocniej – pewnie się bał, że zwieję, jak tylko znajdę się za drzwiami.

– O której mam go odwiedzić? –

spytał matkę.

— Koło ósmej? —
zapropnowała. — Bawcie się
dobrze. Bądź grzeczny, Joe.

Każdy, kto by ich słyszał,
pomyślałby, że mama wyprawia
mnie na wycieczkę do zoo
z ulubionym wujkiem. Douglas
uśmiechnął się do mnie z góry,
prowadząc do granatowego forda,
i otworzył tylne drzwiczki, żebym
mógł wsiąść, jakby naprawdę był
moim wujkiem i zabierał mnie na
miły wspólny wypad.

— Grzeczny chłopiec —
powiedział wesoło. — Wskakuj.
I zapnij pas.

Kiedy tylko zatrzasnął drzwiczki i ruszył, żeby zająć miejsce dla kierowcy, spanikowałem i próbowałem uciec. Szarpnąłem za klamkę, chcąc wiać, ile sił w nogach. Nie wiedziałem, dokąd pobiegnę, wiedziałem tylko, że nie chcę z nim jechać. Żołądek ścisnęło mi potworne przerażenie, kiedy klamka się poruszyła, ale drzwi pozostały zamknięte. Czułem się jak w koszmarnym śnie, w którym nie miałem kontroli nad otoczeniem i niczym, co się ze mną działo. Douglas na pewno widział, co próbowałem zrobić, ale spokojnie wszedł do auta, obejrzał

się przez ramię i znów się uśmiechnął. Doskonale wiedział, że nie mogę się wydostać z samochodu. Kiedy ruszyliśmy, zauważyłem, że korbki do spuszczenia szyb w tylnych oknach zostały usunięte. Zupełnie jakbym był więźniem w policyjnej furgonetce, transportowanym z jednego więzienia do drugiego.

Kiedy zrozumiałem, że nie da się uciec, wolałem nie robić zamieszania, żeby nie narazić się na lanie, niezależnie od tego, czy miał mi je spuścić wujek Douglas, czy matka, gdy wrócę już do domu. Siedziałem więc nieruchomo

i czekałem, co się stanie. Wiedziałem z doświadczenia, że jeśli będę spoglądał na niego wyzywająco czy walczył w jakikolwiek sposób, dostanę w skórę.

Zauważyłem, że z przodu na półce miał Biblię. Podczas kolejnych miesięcy przekonałem się, że zawsze miał gdzieś pod ręką Pismo Święte. Trudno mi zrozumieć, jak mógł godzić słowa, czytane na tych stronicach, z rzeczami, które robił w życiu, ale jakoś nigdy nie wyglądał na człowieka, którego gryzie sumienie. Może zdołał sobie wmówić, że

w jakiś sposób wypełnia wolę bożą. Ilekroć na kogoś czekał i miał kilka minut, otwierał Biblię i czytał parę stronic. Często mamrotał do siebie w tych spokojnych chwilach jak jakiś wariat z parku. Może miał nadzieję, że zapewnia sobie miejsce w niebie. Mógł sobie pomarzyć.

Jazda trwała jakąś godzinę i Douglas gadał przez większość czasu, to miłym, to agresywnym tonem. Opowiadał, co lubi robić z takimi chłopcami jak ja. Z dziewczynkami zresztą też. Nie chciałem go słuchać, ale nie byłem szczególnie zszokowany tym, co

mówił, bo Amani, Larry i Barry często też tak gadali, podobnie jak niektórzy goście, których Amani sprowadzał do mojej piwnicy. Sądziłem, że dość dobrze się orientuję we wszystkim, co tacy ludzie jak wujek Douglas lubili robić dzieciom.

Kiedy byliśmy już blisko celu, wujek Douglas zaparkował samochód w osłoniętej zatoczce i zaczął wrzeszczeć na mnie, tak samo jak matka. Powtarzał mi w kółko, że jeśli narobię hałasu albo będę się stawiał, to mnie zabije. Wyciągnął nóż ze schowka i zaczął nim wymachiwać.

Widziałem, jak brutalny był u nas w domu, i nie wątpiłem, że byłby w stanie użyć tego noża. Przerazał mnie tak samo jak matka i Amani. Kiedy już uznał, że zastraszył mnie wystarczająco, pojechał dalej i po kilku minutach skręcił na parking jakiegoś wiejskiego hoteliku. Zaparkował za rogiem tak, żeby nie było go widać z budynku. Wyłączył silnik, odwrócił się i jeszcze raz ostrzegł mnie, że mam się nie sprzeciwiać. Pokazał mi pistolet, który trzymał w kieszeni. Nie wiem, czy to była prawdziwa broń, czy tylko zabawka, ale wystarczyła, żeby mnie przerazić. Bałem się tego

pistoletu jeszcze bardziej niż noża w schowku.

– Jeśli spróbujesz uciec – powiedział – zastrzelę cię i potnę twoje ciało na kawałeczki.

Tak się bałem, że o mało nie zmoczyłem spodni.

Douglas wysiadł z samochodu i zatrzaskał za sobą drzwiczki. Przeszedł na tył, otworzył bagażnik, a potem tylne drzwi auta. Wyciągnął mnie z siedzenia i wrzucił do bagażnika, jakbym był starą walizką.

– Nie bój się i siedź cicho – rozkazał. – Jeśli choćby piśniesz, zabiję cię.

Zatrzasnął klapę, a ja zostałem roztrzęsiony w ciemności, nasłuchując jego oddalających się kroków. Zastanawiałem się, czy mam dość powietrza, czy się uduszę, zanim Douglas wróci? A jeśli mu się coś stanie i nikt nie będzie wiedział, że tu jestem? Ile czasu minie, zanim ktoś znajdzie moje ciało? Czułem się, jakbym leżał w trumnie.

Wujek Douglas widocznie poszedł do hotelu, żeby się zameldować i wziąć klucz. Kilka minut później usłyszałem kobiecy głos przy samochodzie. Przemknęło mi przez głowę, żeby zacząć

krzyczeć o pomoc i łomotać w klapę, ale się rozmyśliłem, kiedy sobie przypomniałem, jak przekonująco wujek groził mi śmiercią. A poza tym ta kobieta mogła być jego przyjaciółką, tak jak moja matka. Głosy znów ucichły w oddali. Parę minut później usłyszałem kroki.

– To tylko ja – szepnął Douglas. – Wszystko będzie dobrze.

Otworzył bagażnik i pomógł mi wysiąść. Trząsałem się, ale on też był zdenerwowany i cały czas rozglądał się ukradkiem dookoła.

– Bądź grzeczny, to nic ci się

nie stanie – przykazał. – Znasz zasady.

W dłoni trzymał złoty kluczyk przypięty do dużego numerka na plastikowym kółku. Przeciągnął mnie szybko przez jakieś krzaki do jednego z domków, trochę odsuniętego od reszty. Przytrzymał mnie jedną ręką i otworzył drzwi kluczem. W środku była duża, dwuosobowa sypialnia. Przekręcił za nami zamek w drzwiach. Zaciągnął zasłony i natychmiast poprowadził mnie do łazienki, gdzie kazał mi się rozebrać i wejść ze sobą pod prysznic.

Kiedy już obaj staliśmy pod

strumieniem wody, zaczął mnie dotykać. Opowiadał, jakie to miłe, po czym uniósł mnie pod pachy, aż moja twarz znalazła się na wysokości jego twarzy. Nagle jakby wpadł w jakiś szal. Zaczął mnie całować, lizać i gryźć, zatapiał swoje stare, żółte zęby w mojej szyi i piersi. Jego oddech śmierdział tak ohydnie, że chciało mi się wymiotować. Trwało to bez końca. Kiedy wreszcie mnie puścił i osunąłem się jak kupka nieszczęścia u jego stóp, myślałem, że skończył, ale nic z tego. Chwycił mnie za włosy i pociągnął, aż zaskomlałem. Siłą wcisnął moją

twarz w swoje genitalia i dalej przeżywał swoją fantazję. Nazywał mnie brudną świnką i wymyślał przeróżne inne przezwiska. Kazał mi łykać swoje nasienie, grożąc, że mnie zleje. Wiedziałem, że nie mam wyjścia, choć dławilem się, usiłując je przełknąć.

Kiedy wreszcie skończył, strzelił mnie mocno ręką przez głowę.

– Dobry z ciebie chłopak – powiedział. – Pokaż mi, jak dobrze się bawiłeś. No już, uśmiechnij się. Obliz usta.

Zrobiłem, co mi kazał. Starąłem się wyglądać na

szczęśliwego i wstrzymać łzy, a on znów zaczął mnie wyzywać i wmawiać mi, że uwielbiam jego kutasa. Zachowywał się, jakby był zły na mnie za to, co się stało. Jakbym to ja był ohydny zbrodźcą, bo chcę robić takie rzeczy. Potem uznał wreszcie, że potrzebuje przerwy.

– Siedź tutaj, aż znowu będę na ciebie gotowy – rozkazał i poszedł do sypialni, zostawiając mnie leżącego w kącie kabiny prysznicowej, pod wciąż lejącą się wodą. Piersią szarpał mi szloch, kiedy zwinąłem się w kłębek i objąłem kolana rękami. Minęło

może z piętnaście minut, zanim wrócił, wciąż nagi, popijając herbatę, którą sobie zaparzył. Ku mojemu przerażeniu znów zeszywniał, tłumacząc mi, w co chce się ze mną teraz bawić.

– Musisz się tego nauczyć – rzekł i ostrożnie odstawił kubek z herbatą na półkę. – Jeśli następnym razem popełnisz jakiś błąd, będzie bardzo bolało.

Znów bawił się sam ze sobą. Najwyraźniej sprawiało mu przyjemność oglądanie łez i przerażenia w moich oczach. Kiedy zaczął ciągnąć mnie za włosy do sypialni, chwyciłem go za

nadgarstki, żeby złagodzić ból. Rzucił mnie na pościel, kazał położyć się na brzuchu, po czym przywiązał mi ręce i nogi do ramy łóżka. Dawał mi bardzo bolesne klapsy. Im bardziej się szamotałem, tym bardziej mu się to podobało. Robił sobie dobrze raz po raz, aż w końcu położył się na mnie. Omal się nie udusiłem pod zwałami śmierdzącego, spoconego, sflaczałego ciała, kiedy ścisnął mnie za szyję i zmusił, bym pozwolił się spenetrować.

– Jesteś bardzo grzecznym chłopcem – mówił mi za każdym razem, kiedy skończył. Po czym

wymyślał jakiś nowy, brutalny i upokarzający akt.

Kiedy wreszcie musiał odpocząć, przywiązał mnie do kaloryfera w łazience i wyszedł. Zapowiedział, że mam nawet nie pisnąć, dopóki nie wróci. Zostałem w kucki na zimnych kafelkach, chory z obrzydzenia po tym wszystkim, co mi zrobił, i przerażony na myśl, co mnie jeszcze czeka. Kręciło mi się w głowie, każda część ciała skręcała się z bólu. Nie sądziłem, bym zdołał przeżyć tego więcej.

Kiedy wujek Douglas wrócił po jakiejś godzinie, jego oddech

śmierdział alkoholem – pewnie siedział w hotelowym barze, chwając się tym, co mi robił. Miał ze sobą szklankę wody i uniósł moją bezwładną głowę, żebym mógł wypić parę łyków. Rozwiązał mnie i kazał wziąć jeszcze jeden prysznic, ale kiedy wstałem, zemdlałem. Byłem nieprzytomny ledwie parę minut, jak sądzę. Ocknąłem się pod prysznicem, czując, że on znów mnie myje. Potem wytarł mnie, zaniósł do sypialni i ubrał, jakby nic się nie stało. Zaniósł mnie do samochodu i rzucił moje bezwładne ciało na tylne siedzenie. Hotelowy klucz

zostawił w domku.

Kiedy zajechaliśmy do domu, znieśli mnie do piwnicy i położyli na materacu, żebym doszedł do siebie. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale moja tresura zaczęła się na całego.

Przemysł filmowy

Z początku byłem wielką ciekawostką dla dzieciaków w szkole – pierwszym niemym chłopcem, jakiego widzieli na oczy. Ale urok nowości szybko minął i stałem się już tylko kolejnym łatwym celem żartów i przemocy.

Przywykłem do bycia ofiarą. Grałem tę rolę od lat i nic, co mogły mi powiedzieć czy zrobić inne dzieci, nie dorównywało horrorom, które przeżywałem w domu czy na wycieczkach z wujkiem Douglasem. Mimo to nie było przyjemnie znów czuć się wykluczonym i odrzuconym przez wszystkich. Tak bardzo pragnałem mieć jakichś przyjaciół, ale nikt nie chciał się ze mną zadawać, bo byłem inny i dziwny. Wiele dzieci nie mogło się oprzeć i dokuczało mi, wiedząc, że nie mogę się odgryźć. Co jest ze mną nie tak, zastanawiałem się, że wszyscy

wiecznie chcieli się na mnie wyżywać? Może odziedziczyłem geny po ojcu i byłem po prostu straszny i podły, jak to powtarzała matka. Może to była wina taty, że moje życie wyglądało w ten sposób, tak jak mówił mi Wally? Ale w głębi duszy wiedziałem, że tata był jedynym człowiekiem, który mnie naprawdę kochał.

Dziewczyny w szkole były jeszcze gorsze od chłopców, jeśli trafiła się okazja podokuczać komuś, kto nie potrafił odpysknać. Wiecznie tańczyły wokół mnie, drwiły ze mnie i nazywały Dupkiem-Głupkiem.

– Chcesz cukierka? – pytały, uśmiechając się sztucznie i trzepocząc rzęsami. – To było „tak” czy „nie”? Chyba raczej „nie”! – I uciekały ze śmiechem, zanim zdążyłem wydusić z siebie odpowiednie słowo. Chciałem powiedzieć tyle rzeczy, ale wszystko pozostawało zamknięte we mnie i doprowadzało mnie do szału.

Najgorsza była pora lunchu, bo nie mogłem się wymknąć, żeby znaleźć jakiś cichy kąt. Musiałem chodzić na stołówkę ze wszystkimi, jeśli chciałem jeść, a przecież wiecznie byłem głodny. Panie

kucharki starały się mnie chronić, kiedy w pobliżu nie było akurat nauczycieli – krzyczały na moich prześladowców, kiedy ich przyłapały na dręczeniu mnie, i odsyłały ich do dyrektora. Ale złośliwcy po prostu stali się bardziej przebiegli i wbijali mi palce w żebra, kiedy nie patrzył nikt dorosły, albo szczypali mnie pod stołem, wiedząc, że nawet nie pisnę. Byłem wyrzutkiem, głupkiem, workiem treningowym. Bronił mnie Thomas, jeśli tylko znalazł się w pobliżu, chociaż był trzy lata młodszy ode mnie. Z całej siły – a był coraz silniejszy – kopał

każdego, kogo przyłapał na dokuczaniu. Ale miał własnych kolegów w swoim wieku i nie chciał robić za mojego ochroniarza przez cały dzień.

– Nie mów tak do mojego brata! – wykrzykiwał, kiedy ktoś ze mnie drwił. I wszyscy się z nim liczyli, nawet ci dużo starsi.

Thomas wyrastał na prawdziwego twardziela i był gotów skopać każdego, kto próbował z nim zadzierać. Ja nikomu nie oddawałem, bo dobrze wiedziałem, o ile gorsze rzeczy czekają mnie w domu, jeśli wdam się w bójkę. W tamtych czasach

nauczyciele wciąż jeszcze bili dzieci trzcinkami i kapciami. Na to też wolałem się nie narażać, chociaż raz czy dwa dostałem lanie za przeszkadzanie na lekcji. Szczerze mówiąc, nie było to takie straszne, jak się obawiałem. Byłem tak uodporniony, że nawet się nie skrzywiłem, kiedy dostałem trzcinką po palcach. Ból nie robił na mnie niemal żadnego wrażenia. Czasem nawet sam go sobie zadawałem – zdarzało mi się głęboko haratać przedramiona stalówkami z samej frustracji, że jestem sobą, że muszę przeżywać własne życie i że jestem tak

absolutnie bezradny. Bywały chwile, kiedy nienawidziłem samego siebie tak samo mocno jak matka i reszta. I zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego wiecznie mnie biją.

Do mojej klasy chodził jeden chłopak, Pete, który nigdy nie przyłączał się do ataków na mnie i próbował mnie bronić, jeśli widział, że ktoś mnie dręczy. Pochodził z lepiej wykształconej rodziny niż większość z nas – jego ojciec był lekarzem, a matka wykładała na uniwersytecie. Pete rozumiał, że nie wolno postępować podle wobec słabszych i stawał po

mojej stronie. Nie bał się nikogo. Tylko on i Thomas robili coś takiego dla mnie. Wally był dla mnie dobry, ale moim kosztem starał się unikać bicia. Nigdy nie stawiał czoła reszcie rodziny i nie powiedział im, że to, co robią, jest złe. Pete wiedział, co jest złe, a co dobre, i głośno to mówił. Nieczęsto spotyka się ludzi, którzy mają dość odwagi, żeby się tak zachowywać, szczególnie w dzieciństwie. Czułem się dumny, kiedy zrozumiałem, że tak dobry i dzielny chłopak chce być moim przyjacielem.

Pete był dość silny, więc zdarzało się, że od czasu do czasu

dał komuś w ucho, kiedy moi dręczyciele nie chcieli ustąpić. I miał przez to kłopoty. Dyrekcja wezwała rodziców na rozmowę o jego zachowaniu. Nauczyciele uważali bijatyki za dziwne w jego przypadku. A rodzice wiedzieli tylko, że ich bystry i grzeczny syn wpadł w kłopoty, od kiedy zaprzyjaźnił się ze mną – dziwnym, brudnym, chudym, niemym dzieciakiem. I wyciągnęli z tego wnioszek, że mam na niego zły wpływ. A przecież Pete tak naprawdę tylko mnie bronił. Był moim dobrym samarytaninem i żałowałem, że nie umiem

powiedzieć jego rodzicom, że powinni być z niego dumni, a nie martwić się jego zachowaniem.

Często się zdarzało, że starsi chłopcy golili mi głowę w toalecie, więc Pete zaczął chodzić ze mną za każdym razem, kiedy musiałem się załatwić. Łobuzy nie robiły nic, kiedy był przy mnie, i sami przed sobą wychodzili na tchórzy. Wcześniej Pete był lubiany, ale w końcu inne dzieci zaczęły się od niego odsuwać, bo zawsze się koło niego kręciłem, i nie chciały bawić się z odmieńcem. Ale Pete nigdy mnie nie zawiódł. Jeśli musiał wybierać między mną a dawnymi

kolegami, zawsze wybierał mnie. I wszyscy dookoła musieli to uszanować, kiedy przekonali się, że nie zdołają go zwrócić przeciwko mnie. Przyglądanie się, jak sobie z nimi radził, było dla mnie ważną lekcją. Chciałbym umieć postawić się wszystkim w moim życiu tak, jak on stawiał się tym dzieciakom.

Zacząłem terapię z logopedą, Jill, ale z początku postępy były niezwykle mizerne. Pete nigdy nie niecierpliwił się, jeśli nie mogłem się z nim porozumieć słowami. Wskazywałem coś palcem, rysowałem obrazek albo robiłem minę, a on zawsze rozumiał, o co

mi chodzi. Długo się nad tym głowił, ale nigdy nie okazał mi, że to dla niego uciążliwa sprawa. Był jedynakiem i może przez to wydawało się, że jest mniej skłonny do stadnych polowań i nie boi się bronić czegoś, co uważa za słuszne, nawet jeśli oznaczało to, że sam jest przez to wykluczany.

– Chciałbym, żebyś był moim bratem – mówił mi nieraz. – Wtedy mógłbym się tobą opiekować cały czas.

Wyobrażacie sobie, co czułem, słysząc od kogoś takie słowa, kiedy przez trzy ostatnie lata powtarzano mi tylko, jakim jestem brudnym,

cuchnącym i złym gówniarzem?

Mimo wątpliwości co do mojej osoby któregoś dnia po szkole rodzice Pete'a zaprosili mnie do siebie. Mieszkali w wielkim, eleganckim domu i strasznie się denerwowałem, wyobrażając sobie, jak mnie tam przyjmą. Dosłownie się trząsałem, kiedy szliśmy zwirową ścieżką do imponujących frontowych drzwi, bo dobrze pamiętałem, jak moja matka traktowała dzieci, które nieproszone przychodziły do nas. Pete miał nadzieję, że jeśli jego rodzice lepiej mnie poznają, przestaną się martwić, że się ze

mną zadaje, bo przekonają się, że jestem miłym chłopakiem. Osobiście wątpiłem, czy zdołam na nich zrobić dobre wrażenie, skoro nie potrafiłem nawet mówić, ale bardzo chciałem spróbować. A poza tym byłem ciekaw, jak wygląda życie w rodzinie tak innej niż moja.

Nigdy nie byłem u nikogo w domu – nie licząc krewnych jeszcze za życia taty – a już z pewnością nigdy nie byłem w tak ładnym domu, z eleganckimi samochodami zaparkowanymi na podjeździe i z drogimi meblami w każdym pokoju. Już od progu

czuło się atmosferę prawdziwej miłości i bezpieczeństwa. W niczym nie przypominało to tandetnej, ulizanej, pokazowej pseudoelegancji, którą matka takim nakładem sił utrzymywała w swoim salonie dla gości. Ojciec Pete'a był wysokim mężczyzną o głębokim, władczym głosie. I on, i jego żona byli niezmiernie mili i starali się prowadzić ze mną uprzejmą rozmowę, kiedy jedliśmy podwieczorek przy wielkim dębowym stole. Pete mówił za mnie, tłumacząc moje odgłosy, gesty i miny. Miałem wrażenie, że ci ludzie przewyższają mnie pod

każdym względem, że nie zasługuję, by z nimi być, i powinienem siedzieć pod stołem, tak jak w domu. Ich dobroć i szacunek dla mnie były wręcz przytłaczające, ale zarazem dawały mi nadzieję, bo nagle dotarło do mnie, że istnieje świat, w którym ludzie są łagodni, uprzejmi i opiekuńczy wobec siebie. Może któregoś dnia, myślałem, uda mi się uciec od własnej rodziny i moje życie będzie przypominało coś takiego.

Nie mając bladego pojęcia, jak może wyglądać życie w domu takim jak mój, Pete, w najlepszej wierze, zapukał kiedyś do naszych

drzwi, by zapytać, czy mógłbym wyjść się pobawić.

– Spierdalaj – odpowiedziała mu matka, ledwie otworzył usta, żeby się przywitać. – I nie przyłaż tu więcej.

Zatrzasnęła mu drzwi przed zdumioną twarzą i podejrzewam, że w tej chwili, nawet jeśli nie znał wszystkich makabrycznych szczegółów z mojego życia, o wiele lepiej zrozumiał, dlaczego jestem, jaki jestem. Reakcja matki nie była wymierzona w niego osobiście. Zachowywała się tak w stosunku do wszystkich dzieci, które do nas przychodziły, więc nikt nie

próbował odwiedzin drugi raz. Nie chciała, żeby obce dzieciaki plątały się po domu, zadawały pytania, widziały rzeczy, których nie powinny widzieć, i paplały o tym w swoich domach. Dla dzieci nie chciało jej się włączać fałszywego uroku. Grzeczna była tylko dla dorosłych obdarzonych jakąś władzą – urzędowała swój teatrzyk jedynie wtedy, gdy się bała, że może mieć kłopoty, albo kiedy chciała wydebić większy zasiłek z opieki społecznej.

Cieszyłem się, że mam prawdziwego przyjaciela, i każdego dnia pędziłem do szkoły

jak na skrzydłach, wiedząc, że się z nim spotkam. A poza tym w szkole miałem przynajmniej jeden posiłek dziennie, przez pięć dni w tygodniu, i korzystałem z tego, jak się dało. Jadłem dwa razy szybciej niż wszyscy inni i wracałem po trzecią, czwartą, a czasem i piątą dokładkę. Wskazywałem potrawę i patrzyłem błagalnie na kucharki. Żarłem jak świnia, opróżniając własny talerz i wszystkie inne, które były w zasięgu. Kucharki żartowały sobie ze mnie, ale były zachwycone. Pewnie uważały, że to komplement dla ich kuchni.

– Musisz trochę przytyć. – Śmiały się, nakładając mi kopiaste porcje na talerz. – Możesz jeść, ile chcesz, kochanie.

Najbardziej lubiłem jabłkowy placek z kruszonką i mnóstwem budyniowej polewy. Wypełniał mi żołądek satysfakcjonującym ciężarem, który czułem jeszcze przez parę godzin. Było to zupełne przeciwieństwo niekończących się kurczów głodowych, do których przywykłem w domu. Rzeczywiście, szybko zacząłem przybierać na wadze i odzyskiwać trochę sił i zdrowia, które zniszczyły lata głodówki

i więzienia. To niesamowite, jak szybko młode ciało potrafi podźwignąć się po takiej gehennie i nadrobić wszelkie opóźnienia w rozwoju, kiedy tylko zacznie się je trochę lepiej odżywiać.

Jeździłem na jeszcze kilka weekendowych wycieczek do wiejskiego hotelu z wujkiem Douglasem i wyglądało to zawsze tak samo. Matka dostawała pieniądze z góry, ostrzegała, że jeśli nie zrobię wszystkiego jak należy, następnym razem nie dostanie zapłaty. Obrazowo tłumaczyła, co

mi zrobi, jeśli nie zadowolę jej najlepszego klienta. A on odprawiał za każdym razem mniej więcej te same rytuały – torturował mnie, gwałcił godzinami, biciem i pogroźkami zapewniając sobie moją współpracę i absolutne posłuszeństwo. Ale chociaż Douglas robił to dla przyjemności i realizował swoje fantazje, przy okazji przygotowywał mnie do czegoś innego. Chciał mnie złamać, by sprzedawać moje usługi innym. Musiał mieć pewność, że nigdy go nie zawiodę i nie narobię mu kłopotów. Byłem tresowany jak zwierzę w cyrku.

– Będziesz kręcił filmy –
powiedziała matka któregoś dnia,
kiedy znów przygotowywała mnie
do wyjazdu z wujkiem Douglasem.
– Zostaniesz aktorem.

Jej słowa mnie zdumiały. Niby
jak miałem być aktorem, skoro
nawet nie umiałem mówić?

– Musisz pokazać, że się
nadajesz, bo inaczej nie dostanę
pieniędzy – przypomniała mi. –
Będiesz najmłodszą gwiazdą
porno wszech czasów.

Nie wiedziałem, co to jest
gwiazda porno. Wyobrażałem
sobie, że to jakiś rodzaj
rozwiazdy. Może będę musiał się

przebierać za rozgwiadę? Nie umiałem pływać, więc miałem nadzieję, że nie każą mi wchodzić do morza. Nie miałem bladego pojęcia, o co chodzi.

– Wujek Douglas jest sławnym producentem filmowym – ciągnęła matka. – Zabierze cię do studia filmowego na parę dni. Poznasz inne dzieci.

W jej ustach brzmiało to, jakby trafiła mi się okazja do wspaniałej zabawy, ale wiedziałem z bolesnego doświadczenia, że nic, co miało cokolwiek wspólnego z wujkiem Douglasem, nie mogło być dobrą zabawą. Tego akurat

byłem pewny. Kiedy po mnie przyjechał, nie zabrał mnie do hotelu jak zwykle, tylko zawiózł do swojego domu. I było to dokładnie takie miejsce, jakiego można się było spodziewać po tak obrzydliwym człowieku – ukryte przed ludzkim wzrokiem na końcu ślepej uliczki, osłonięte przed okiem sąsiadów gęstymi drzewami i wysokimi płotami. Dom, wielki i ciemny, wyglądał groźnie, jeszcze zanim przestąpiło się próg.

W mrocznym wnętrzu smród stęchłego jedzenia, potu i brudu był tak przytłaczający, że aż człowieka cofało. Wszystko się tam lepiło od

brudu. A okna zabito na głucho, żeby nikt nie mógł uciec, i przez to nie dało się wpuścić odrobiny świeżego powietrza. W domu znajdował się labirynt ohydnych, małych pokoików. Najpierw zostałem wprowadzony do czegoś w rodzaju salonu, gdzie siedziało już kilkoro dzieci, wpatrzonych w podłogę. To było coś w rodzaju poczekalni i wujek Douglas wyjaśnił mi, że panują tu bardzo surowe zasady. Nie wolno nam było z nikim rozmawiać, nawet ze sobą nawzajem, ani na nikogo patrzeć. Przez cały czas musieliśmy wlepić wzrok w podłogę.

Wyobrażam sobie, że takie same zasady stosowali handlarze niewolników w XVII i XVIII wieku, by ich towar nie wszczął buntu, nie zrobił się bezczelny czy pyskaty.

Byli tu głównie chłopcy, ale trafiło się też parę dziewczynek. Dziewczyny pociągały nosami i szlochały; chłopcy siedzieli z suchymi oczami, milczący, jak żywe trupy. Zapowiedziano mi, że jeśli ktokolwiek złamie zasady i podniesie wzrok, odezwie się, odmówi wykonania polecenia albo wykona je źle, zostanie zabrany do pokoju kar, gdzie będą go bić, aż

nauczy się posłuszeństwa.

Douglas bez wątpienia był władcą tego małego królestwa, ale miał pomagiera o imieniu Joe, równie podłego i ohydneho typu, jak on. Joe był asystentem i miał za zadanie pędzić nas korytarzami, kiedy byliśmy potrzebni, albo zabierać do pokoju kar. Normalnym ludziom na zewnątrz musiał się wydawać kompletnym flejtuchem w tych swoich rozwleczonych, czarnych spodniach od dresu, białych skarpetach i ciężkich buciorach. Jeśli miał sweter, to zawsze za mały, z rękawami kończącymi się parę centymetrów

powyżej kościstych nadgarstków. Guziki jego kwiecistych koszul były wiecznie porozpinane i odsłaniały ohydną, włochatą pierś, kontrastującą z ogolonym podbródkiem ściągniętej, bladej twarzy. Był wysoki i chudy – przeciwieństwo grubego Douglasa. Razem wyglądali jak para kolesiów z kreskówki. Poza tym domem mogli uchodzić za dwóch niedojdów, ale wewnątrz sprawowali władzę absolutną.

Z początku odetchnąłem, bo dookoła zobaczyłem innych ludzi, a nawet dzieci. Pomyślałem, że wujek Douglas da mi spokój i nie

będzie próbował gwałcić mnie, skoro nie jesteśmy sam na sam. Ale szybko się zorientowałem, że wszyscy w tym domu są tu z tego samego powodu i Douglas nie zamierzał się z niczym ukrywać. W korytarzu usłyszałem głosy dorosłych i zrozumiałem, że to klienci, którzy będą płacić za nasze usługi.

Mężczyźni, którzy przychodzili do tego domu, zawsze byli trochę zakłopotani, kiedy pierwszy raz czuli ohydny smród, i większość z nich odmawiała Douglasowi, który ochoczo proponował im herbatę z obtłuczonych i brudnych

kubków, pleśniejących na każdej dostępnej powierzchni. Ale zawsze zostawali, bo wiedzieli, że tu kupią rzeczy, których nie dostaliby nigdzie indziej. Douglas oferował im spacer po ciemnej stronie życia, okazję, żeby zajrzeć w miejsca, jakie nie istniały w ich zwykłym, szanowanym, codziennym świecie. Czasami dyskretnie próbowali otworzyć któreś z okien, by wpuścić trochę powietrza do pokoi, ale zawiasy były nie do ruszenia, przez lata zamalowywane warstwami farby.

Wujek Douglas mógł zrealizować najpodlejsze fantazje

swoich klientów, ponieważ miał całą kolekcję zastraszonych niewolników takich jak ja – dzieci sprzedanych mu przez własne rodziny czy opiekunów, zbyt przerażone, by protestować i walczyć, bo wiedziały, co je czeka, gdyby próbowały się opierać. Zostaliśmy złamani i wytresowani. Wiedzieliśmy, czego się od nas oczekuje i że zostaniemy brutalnie ukarani, jeśli nie damy im tego, czego chcieli.

Douglas widocznie uznał, że wytresował mnie wystarczająco dobrze i że jestem gotów, by wciągnąć mnie do interesu. Że

mogę zostać gwiazdą porno, jak to nazwała matka. Kiedy pierwszy raz wszedłem do tego domu, jeszcze o tym nie wiedziałem, ale miałem tu spędzić niemal wszystkie weekendy i wakacje przez następne trzy czy cztery lata. Wciąż byłem zaledwie dziewięciolatkiem. Razem ze mną zawsze było tu kilkoro innych dzieci i trzymano nas tu przez całe weekendy, często dłużej, jeśli akurat trwały wakacje czy ferie. Właśnie tak wyglądało teraz moje życie. Wujek Douglas przyjeżdżał po mnie w piątek po szkole i odwoził w niedzielę wieczorem, żebym w poniedziałek rano mógł

pójść na lekcje.

Klienci, którzy przychodzili do jego domu, przynosili swoje chore fantazje. Płacili Douglasowi za urządzenie scenek i filmowanie ich, a potem robili z nami, co chcieli. Czasami chcieli tylko patrzeć, jak robimy różne rzeczy ze sobą nawzajem, czasami woleli zadawać ból i sami chcieli go doświadczać. Niektórzy przebierali się w różne idiotyczne kostiumy, z których śmialibyśmy się do rozpuku, gdybyśmy nie bali się o własne życie. Większość klientów bardzo się różniła od Douglasa i Joego – wyglądali na szanowanych

obywateli, przeważnie z obrączką na palcu. Niektórych znałem już z wizyt w naszym domu, na przykład tego policjanta z kajdankami. Wielu z nich przychodziło regularnie, wracało tydzień po tygodniu. Zupełnie jakby Douglas zdołał ich uzależnić od narkotyku, którym dysponował tylko on, i nie byli w stanie mu się oprzeć.

Zawsze dokładnie wiedzieli, czego chcą, łącznie z takimi szczegółami, jak nasze miny w trakcie czy rodzaj oświetlenia, jakie najbardziej im odpowiadało przy tych scenkach. Niektórzy z tych

mężczyzn kazali do siebie mówić „mamusiu” albo „tatusiu” – ja oczywiście nie mogłem tego robić, bo wciąż nie umiałem mówić. Czasami my, chłopcy, musieliśmy występować ze starszymi dziewczynami i modliliśm się, by mieć wystarczającą erekcję, bo jeśli nie, byliśmy karani za nieposłuszeństwo. Ogólnie oczekiwano od nas, że będziemy wypełniać wszystkie wskazówki tak dokładnie, jak aktorzy na profesjonalnym planie filmowym. Inaczej zabierano nas do pokoju kar i bito, aż wszystko było jak trzeba.

Raz czy dwa na początku nie

zrozumiałem, co każą mi robić, i przekonałem się, że potrafią karać równie okrutnie, jak matka. Ich ulubioną sztuczką było chwytywanie nas za jądra i wykręcanie z całej siły, aż krzyczeliśmy o litość. Czasami z opóźnieniem rozumiałem, co mam im robić przed kamerą. Nie wiem, czy brało się to z moich trudności z uczeniem się, czy przyczyna była inna, ale nie robili wyjątków dla nikogo i dostawałem lanie tak samo jak wszyscy. Aż zrozumiałem, o co chodzi.

Nie wiem, czy klienci wiedzieli, jak strasznie nas

katowano, by zmusić do spełniania ich zachcianek. Może wmawiali sobie, że sami tego chcemy, albo że pochodzimy z jakiegoś brudnego, podludzkiego świata, w którym takie rzeczy są normalne. Sądzę, że nawet jeśli mieli własne dzieci, w ogóle nie porównywali ich z nami; zupełnie jakbyśmy byli jakimś podgatunkiem.

Słuchałem rozmów dookoła i zorientowałem się, że część dzieci była spokrewniona z niektórymi z tych zboczeńców, a wszystkie znalazły się tutaj przez członków własnych rodzin, które wiedziały o tym i współpracowały

z Douglasem. Nigdy nie trafiłem na dziecko, które zostałoby porwane. Zawsze były sprzedawane w tę niewolę przez kogoś, kto powinien się nimi opiekować i chronić je przed światem. Niektóre były nawet młodsze ode mnie, miały najwyżej osiem lat.

Był jeden chłopak, już prawie dorosły, chyba syn jednego z mężczyzn, którzy wiecznie tu przesiadywali. Robił wszystko, co mu kazali, tak jak my, ale sprawiał wrażenie, że lubi to tak samo jak klienci. Zupełnie jakby zaczął jako przerażone dziecko, tak jak ja, i z wiekiem stał się jednym z nich.

Wiedziałem, że ze mną nigdy tak nie będzie, że nigdy nie stanę się taki jak ci ludzie. Czasami klienci brali tego chłopaka, by uczył resztę, jak robić wszystko, jak należy. Przypominał mi Larry'ego i Barry'ego, którzy w domu delectowali się tym wszystkim, jakby to była największa frajda na świecie.

Jeśli byliśmy grzeczni i robiliśmy wszystko dobrze, nagradzali nas odpoczynkiem – pozwalali nam iść do sypialni, które przypominały małe cele. Zamykali nas w nich na klucz, a potem przynosili herbatę

z mlekiem, talerze ciastek i tabliczki czekolady. Ktoś, kto tak jak ja przez lata musiał oszczędzać stęchłą wodę w butelkach, doceniał takie gesty. To było jak nagradzanie zwierząt w cyrku za dobrze wykonany numer. Czasami przynosili nam kanapki, choć często na chlebie była pleśń. Ale ja po prostu odrywałem spleśniałe kawałki i zjadałem resztę, wdzięczny, że w ogóle coś dostałem. Przecież nigdy nie wiedziałem, kiedy trafi się kolejny posiłek.

Jeśli tylko robiliśmy wszystko, czego od nas oczekiwano,

pozwalano nam się kąpać i myć, ale trudno było czuć się czystym po kąpieli w jednej z ufajdanych łazienek Douglasa. Zresztą nie mieliśmy tam spokoju, bo klienci wiecznie chcieli wchodzić z nami, myć nas, bawić się z nami, filmować, fotografować. Nigdy nie przepuszczali okazji. Nawet jeśli człowiek szedł się tylko wysikać, oni chcieli robić zdjęcia i ustawiali plan jak profesjonalni fotografowie: „No, opuść spodnie, jeszcze trochę. O tak”. Łazienki były sprzątane tylko wtedy, kiedy Douglas chciał coś w nich filmować; wtedy nagle zaczynały

lśnić czystością.

Nocami zamykano nas w oddzielnych pokojach, żebyśmy się mogli wyspać. Na dole, w kuchni, słyszałem głosy mężczyzn, którzy rozmawiali i śmiali się do późnej nocy. Od czasu do czasu budziły mnie nocą kroki na schodach. Zamek w drzwiach sypialni otwierał się i ktoś wchodził, żeby sobie dogodzić. Zdarzały się całe grupy, szczególnie po zamknięciu pubów – zataczali się do pokoju, ale często byli zbyt pijani, żeby mieć erekcję, przez co robili się wściekli i brutalni, jakby to była nasza wina,

że nie podniecamy ich wystarczająco. Czasami, jeśli byliśmy grzeczni w ciągu dnia i dobrze pracowaliśmy, Douglas chronił nas przed zbyt wieloma nocnymi gośćmi.

– Dajcie mu teraz spokój – słyszałem jego głos pod drzwiami. – Niech sobie odpocznie.

Cóż, zapewne chronił swoje inwestycje, żebyśmy byli gotowi do pracy następnego dnia.

Wszyscy mężczyźni w domu wydawali się całkowicie pewni, że nikt ich nigdy nie nakryje. Może nawet oszukiwali się, że tak naprawdę nie robią nic złego.

Pewnego dnia filmowali nawet kilkoro z nas w ogrodzie, oczywiście starannie zamkniętym, żebyśmy nie puciekali. Dziwnie było myśleć, że dookoła mieszkają normalne rodziny, kompletnie nieświadome, co się dzieje ledwie parę metrów od miejsc, gdzie bawią się ich dzieci, od ich bezpiecznych sypialni.

Jeśli podczas filmowania nie robiliśmy dokładnie tego, czego od nas chcieli, nie pozwalano nam spać, jeść i zmuszano do niekończących się powtórek, aż zrobiliśmy wszystko jak należy. Ale nawet jeśli rzeczy, do których nas

zmuszano, były koszmarne, wiedziałem, że pod koniec każdego weekendu będę mógł się przynajmniej umyć, najeść i napić, na co w domu nie mogłem liczyć. Teraz, patrząc wstecz, trudno mi uwierzyć, że los dziecka we własnym domu mógł być aż tak straszny, by czuło się lepiej traktowane w takim miejscu jak burdel Douglasa, ale taka była prawda. Zdążyłem się już nauczyć, że muszę robić wszystko, by przetrwać. Wiedziałem, jakie to uczucie przez całe dni siedzieć w ciemności, bez jedzenia i czystej wody. I wiedziałem, że to jest

gorsze niż cokolwiek, co mogli mi zrobić ci ludzie. Nauczyłem się sztuki przetrwania jak każde zaszczute zwierzę.

Cieszyłem się tymi chwilami, kiedy nagradzano mnie za dobre zachowanie przerwą w prywatnej sypialni. Mogłem sobie leżeć i słuchać śmiechu klientów, przychodzących i wychodzących, i wymieniających się nagraniami na wideo, chociaż słyszałem też krzyki tresowanych dzieci z pokoju kar.

Żaden z klientów nigdy nie zwracał się do nas po imieniu, bo musieliśmy być traktowani jak przedmioty, nie jak ludzie. Nigdy

nie okazywali nam cienia uprzejmości, nie odzywali się do nas. Nie padało nawet „cześć” czy „jak się masz”. Gdybyśmy byli zwierzętami, pewnie odzywaliby się do nas częściej. Może gdyby zostali zmuszeni do myślenia o nas jak o istotach ludzkich, które mają uczucia, nie potrafiliby zadawać nam takiego bólu i nie mogliby realizować swoich seksualnych fantazji.

Nigdy nie ośmieliłem się przyglądać zbyt uważnie, co się dzieje między dorosłymi, więc trudno mi powiedzieć, jak wyglądała biznesowa strona tego

miejsca. Mężczyźni, którzy przychodzili w weekendy, z pewnością płacili za nasze usługi i zapewne też za możliwość zabrania do domu nagrań z naszych występów, by móc się nimi cieszyć do woli. Zdaje się, że byli też klienci, którzy nie uczestniczyli w tym osobiście, a jedynie kupowali filmy. W domu wiecznie było pełno ludzi, klienci rozmawiali ze sobą o tym czy tamtym dziecku, porównywali doświadczenia, polecali sobie filmy, prosili o więcej podobnych, jakby byli zwykłymi kinomanami spotykającymi się w lokalnej

wypożyczalni.

Był jeden facet z amerykańskim akcentem, który często przychodził do domu, kiedy filmowaliśmy, ale nigdy nie brał udziału w scenkach. Douglas zawsze odnosił się do niego z wielkim szacunkiem i robił wszystko, co tamten mu kazał. Człowiek ten zawsze wychodził z całą kolekcją filmów. Domyślałam się, że był to jakiś biznesmen, który wiedział, jak sprzedać te materiały na dużą skalę. Zawsze dokładnie wiedział, czego chce, jak producent filmowy, instruujący reżysera, co ma nakręcić. Zakładam, że kiedy

czytacie w gazetach o materiałach ściąganych z Internetu, pochodzą właśnie od takich ludzi jak on. Być może należał do jakiegoś zorganizowanego gangu dystrybutorów pornografii.

Ale żadne z nas, dzieci, nie wiedziało nic o tych sprawach i nie przejmowało się nimi. Obchodziło nas tylko to, jak wielki zadają nam ból i jak mało przejmują się naszymi ludzkimi uczuciami. Złamano nas. Nie podnosiliśmy głów i usiłowaliśmy jedynie przetrwać za wszelką cenę. Od czasu do czasu zerkałem na któregoś z kolegów i przez moment

wpatrywaliśmy się jeden w drugiego. Zastanawiałem się, jak wygląda jego życie. Ale nigdy nie ośmieliliśmy się złamać zasad i odezwać do siebie.

Kiedy Douglas podrzucał mnie po weekendach do domu, obolałego i nieszczęśliwego, matka i Amani nigdy nie zrobili niczego, bym poczuł się lepiej. Ani nigdy nie nagrodzili mnie za to, że zarabiam dla nich tyle pieniędzy. Jeśli w domu były jakieś brudne roboty, na przykład odetkanie toalety, zostawiali je dla mnie. Bywało, że siłą wpychali moją rękę do muszli, jeśli zawahałem się choć sekundę.

Dla nich byłem po prostu niewolnikiem, przedmiotem, którego używało się w razie potrzeby. Nie chcieli dopuścić, bym przypadkiem pomyślał, że należą mi się jakieś specjalne względy tylko dlatego, że zostałem gwiazdą porno. Wciąż przede wszystkim byłem ich własnością.

Uczę się mówić

Czasami szedłem w poniedziałek do szkoły ledwie parę godzin po powrocie z domu Douglasa. Tak głęboko chowałem się przed światem we własnych myślach, tak bardzo bałem się kogokolwiek rozzłościć, że kiedy już siedziałem

w klasie, ledwie odważyłem się podnieść wzrok na tablicę. Milczący, wściekły i wycofany, byłem zapewne prawdziwym wyzwaniem dla tych dorosłych, którzy starali mi się pomóc. Nie potrafili sobie wyobrazić, co mi się kłębi w głowie ani jak bardzo boli mnie całe ciało po weekendzie zaspokajania dorosłych mężczyzn.

Nauczyciele trudzili się, by poszerzyć mi horyzonty i obudzić we mnie kreatywność, ale nie mieli pojęcia, że mój mózg wciąż jest odrętwiały po upokorzeniach i koszmarach, które znosiłem parę godzin wcześniej i które czekały

mnie w kolejny weekend, a może nawet wieczorem, po powrocie do domu.

Władze szkoły robiły, co w ich mocy, by mi pomóc – wszyscy byli przekonani, że jestem chłopcem, który przeżył traumę, kiedy oglądał straszną śmierć ojca. Przydzielona mi asystentka, panna Meredith, była ciepłą, dobrą, łagodną kobietą przed trzydziestką i jej głównym zadaniem było pomóc mi w nauce czytania i pisania. Siedziała obok mnie przez cały dzień, na wszystkich lekcjach. Jeszcze dziś pamiętam, jak ślicznie pachniała, kiedy się do mnie zbliżała – tak

czysto, świeżo i kwiatowo. Kiedy próbowała mnie przytulić, nie miałem pojęcia, co zrobić. Sztywniałem ze strachu i zażenowania, przez co pewnie czuła się niezręcznie. Minęło tyle czasu, od kiedy ktokolwiek dotykał mnie bez brutalności i chciwości, tyle czasu, od kiedy widziałem ludzi obdarzających się ciepłymi uczuciami.

Jej wysiłki, by wydobyć mnie ze skorupy, przeważnie spełzały na niczym. Jakbym tkwił w jakimś mentalnym okopie – bałem się wystawić głowę i poczuć jakiegokolwiek nowe emocje.

Jedynym wyrazem uczuć były rysunki. Ilekroć dano mi ołówek i kartkę, rysowałem ojca w płomieniach – małą postać z patyczków, gorączkowo biegającą w kółko, z płomieniami wyrastającymi z pleców jak anielskie skrzydła, bo tylko to widziałem, kiedy zaglądałem do wspomnień. Moje życie od tamtego dnia nie dało mi niczego, czym mógłbym zastąpić ten piekielny obraz. Wszystkie moje szczęśliwe wspomnienia skończyły się w tej sekundzie, w której wybuchł samochód w warsztacie. Dosłownie poszły z dymem. Panna

Meredith próbowała mnie zachęcać, żebym wymyślił jakiś inny temat do rysowania. Nigdy nie zmuszała mnie do niczego, czego nie chciałem robić. Zachęcała mnie tylko przez cały czas. Nigdy do tej pory nie doświadczałem czegoś takiego z dorosłym.

– Może narysujesz domek i drzewa? – pytała. – A może psa albo kota? Narysujemy samolot? Co powiesz na portret twojej mamusi? Mógłbyś go zanieść do domu i dać jej w prezencie.

Logopeda, Jill, była kolejną bardzo miłą kobietą, która robiła, co w jej mocy, by pomóc mi się

wyrwać z umysłowego więzienia. Miałem prawie dziewięć lat, kiedy zaczęła ze mną pracować. Dzięki jej cierpliwym zachętom szybko zacząłem wyciskać z gardła kolejne jednosylabowe słowa, ale ciągle nie potrafiłem ich połączyć w żadne zrozumiałe zdanie. My oboje wiedzieliśmy, co oznaczają te moje różne stęknienia i gulgoty, ale kiedy próbowałem się nimi komunikować z kolegami z klasy, wyśmiewali mnie tylko i wymyślali nowe przezwiska. Jill pokazywała mi obrazki i próbowała mnie namówić do rysowania i opowiadania o ich treści. Próbowała odtworzyć

połączenia między tym, co widziałem i słyszałem, a tym, co mówiłem. Kiedy zrozumiała, jak poważna jest u mnie blokada między mózgiem a ustami, pokazała mi parę ćwiczeń języka i warg, by nauczyć je formułować właściwie dźwięki. Musiałem wydawać różne odgłosy, a ona przytrzymywała mi język szpatułką, co nie było zbyt przyjemne. Bywały chwile, kiedy chciałem się poddać i uciec. Gdyby nie była tak cierpliwa i wyrozumiała, nigdy nie przebrnąłbym przez te wczesne lekcje.

Pierwszym prawdziwym

słowem, jakie udało mi się wykaszlnąć, było „kurwa”. Jill drgnęła, słysząc je, i uniosła brwi. W tamtych czasach było to jeszcze przekleństwo rzadko używane wśród dobrze wychowanych ludzi, ale słyszałem je częściej niż cokolwiek innego, a poza tym świetnie wyrażało to, co czułem.

– Och – powiedziała, szybko odzyskując rezon. – Więc znasz i takie słowa.

To było tak, jakbym tego dnia przerwał tamę, i kolejne słowa zaczęły wylewać się ze mnie, z początku niewyraźne i bełkotliwe, ale coraz bardziej klarowne, kiedy

z upływem miesięcy mięśnie
mojego języka, gardła i warg
zaczęły odzyskiwać siłę.

– Ja – mówiłem dumnie. – Joe.

Przez długi czas miałem
problemy z pierwszymi głoskami
słów. Pies brzmiało jak „ies” i Jill
musiała pokazać mi, jak wytworzyć
dźwięk „p”, żeby wypowiedzieć
całe słowo. Musiałem używać
nieodpowiednich mięśni, bo szyja
aż puchła mi z wysiłku i bolało
mnie gardło, zmuszane do
wyraźnego wypowiedzania głosek.
Mówienie to umiejętność, którą
większość z nas uważa za
oczywisty element codziennego

życia, ale kiedy próbujesz się tego nauczyć od zera, jest to niezmiernie skomplikowane i trudne zadanie.

Od pojedynczych słów przeszliśmy do historyjek. Jill pokazywała mi rysunkowe scenki i pytała, co się dzieje na tych obrazkach.

– Mama... domu? – sugerowałem.

– Mama weszła przez drzwi – poprawiała mnie Jill, zachęcając do konstruowania pełnych zdań. – A potem poszła do kuchni i zaparzyła herbatę.

– Mama weszła... drzwi. Herbatę.

Lata milczenia doprowadziły do tego, że pojedyncze słowa były dla mnie wystarczająco trudne i bez martwienia się o to, by następowały płynnie jedno po drugim. To było jak uczenie się obcego języka – klejenie razem pojedynczych skrawków słownika, w nadziei że będą miały jakiś sens dla słuchacza. Na razie odpuszczałem sobie łączniki, które przecież odpowiadają za subtelności i niuanse przekazu.

Jill była nieskończenie cierpliwa. Odbudowywała mój głos cegła po cegle. Ale nie tylko mówienie było dla mnie

problemem, jeśli chodzi o dopasowanie się do reszty dzieci. Byłem potwornie nieobyty, brakowało mi umiejętności społecznych, zupełnie normalnych dla dzieciaka w moim wieku. Poza tym niektóre z moich mięśni nie były używane od lat, co skutkowało tym, że jadłem jak świnia, a moja koordynacja ruchowa była zerowa. Przyzwyczajony do zlizywania resztek z podłogi albo do podnoszenia ich palcami, miałem bardzo mętne pojęcie, jak posługiwać się nożem, widelcem czy łyżką. Panna Meredith musiała mnie nauczyć podstawowych

umiejętności, nie tylko tych szklonych, niezbędnych w życiu, jak czytanie, pisanie i liczenie. Staralem się pamiętać, co mówił Wally – że jestem bystrym dzieciakiem i któregoś dnia będę sobie świetnie radzić. Ale nie czułem się bystry, kiedy miałem problem z opanowaniem nawet najprostszych rzeczy, których inne dzieci nauczyły się przez pierwsze dwa lata szkoły.

Chciałem poznać tak wiele nowego, jak się dało. Ale czasami trud dotrzymania kroku reszcie był niemal ponad siły, a nieustanne porażki w osiąganiu nawet

własnych skromnych celów upokarzały mnie coraz bardziej. Większość dzieci nie pamięta, kiedy opanowała podstawowe życiowe umiejętności. Niemal zakładają, że się z tym urodziły. Jaki normalny człowiek pamięta, kiedy po raz pierwszy udało mu się zawiązać but, samodzielnie umyć zęby czy zjeść groszek z talerza za pomocą noża i widelca? No więc ja pamiętam.

Matka przekonała nauczycieli, że wszystkie moje problemy wynikają z opóźnienia w rozwoju, spowodowanego szokiem po śmierci ojca. Że to wszystko przez

mój wypaczony mózg, jak to dziwacznie nazywała. Ja sam podtrzymywałem to przekonanie. Nieustannie rysowałem wypadek i kolorowałem płomień na jaskrawe kolory – pomarańczowy, żółty i czerwony – przyciskając rysiki tak mocno, że łamałem kredki. Było jasne, że obsesyjnie myślę o tym jednym wydarzeniu z mojego życia, nigdy nie zdołałem przejść normalnego procesu żałoby i nie pogodzę się z własnym losem. Większość dzieci narażonych na taką traumę otrzymałoby pomoc psychologiczną; traktowane z łagodnością i szacunkiem

próbowałyby powoli odzyskać równowagę. Mnie spotkało coś wręcz odwrotnego. Od czasu wypadku nie przeżyłem nic dobrego, żaden troskliwy dorosły nie spróbował zastąpić w mojej głowie czymś lepszym tego straszego obrazu płonącego ojca biegnącego po warsztacie.

Matka udzielała długich, czarujących odpowiedzi na wszelkie pytania, które stawiali jej przedstawiciele odpowiednich instytucji. A miała taką wprawę w udzielaniu tych wyjaśnień, że zawsze brzmiały absolutnie wiarygodnie. Kiedy pytano ją,

dlaczego jem jak zwierzę, mówiła, że próbowała nauczyć mnie manier, ale nigdy nie chciałem używać noża czy widelca. Po prostu chwyciłem agresywnie wszelkie potrawy, jakie przede mną stawiano, i rzucałem sztućcami. Nie opowiadała im przecież, że czasami nie dawała mi jeść przez całe dni, że zmuszała mnie do jedzenia z podłogi czy psiej miski. Czasami, kiedy słuchałem jej wyjaśnień, trudno mi było wierzyć we własne wspomnienia, ale kiedy tylko miała mnie z powrotem w domu, wszystko wracało, bo znów przemieniała się w potwora,

jakiego znałem.

Ale mimo wszystkich rozczarowań i trudności ciężka praca panny Meredith i innych nauczycieli zaczynała przynosić efekty. Uwolniony z piwnicy, zmuszany do nauki w miejscu, gdzie czułem się bezpieczny przed atakami – nie licząc odrobiny dziecinnych wygłupów – zacząłem krok po kroku rozumieć to wszystko, co z początku było dla mnie niezrozumiałym bełkotem. Bardzo powoli – trwało to długie miesiące – zacząłem doganiać inne dzieci, choć one zawsze potrafiły pójść naprzód o wiele szybciej,

kiedy dostawaliśmy nowy materiał do nauczenia się, bo ich wiedza miała solidniejsze podstawy.

Wysiłki Jill też przynosiły wyniki i kiedy w wieku jedenastu lat miałem przejść do gimnazjum, umiałem już wypowiadać całe zdania. Ale słowa, których potrzebowałem, wciąż mi umykały, jeśli ktokolwiek mnie poganiał czy naciskał. Wtedy jąkałem się nieporadnie, szukając ich w głowie.

Poczułem ogromną ulgę, gdy zacząłem mówić zdaniami i widziałem, że inni ludzie słyszą mnie, że rozumieją. Możliwość niemalże swobodnej komunikacji ze

światem była jak otwarcie drzwi
celi w mojej głowie. Po raz
pierwszy od lat świat naprawdę
słyszał, co mam do powiedzenia,
mógł się dowiedzieć, co myślę i co
czuję. Nie byłem już milczącym
przedmiotem, powodem do wstydu
w towarzystwie, problemem dla
nauczycieli i pracowników opieki
społecznej. Mogłem odpowiadać na
pytania, dowiadywać się, co inni
sądzą o moich pomysłach
i próbować ich rozśmieszać. To
było najprzyjemniejsze, bo ludzie,
którzy się śmiali, nie bili mnie
i istniała szansa, że polubią moje
towarzystwo, że będą chcieli, bym

dalej ich bawił. Nareszcie mogłem rozmawiać, jeśli chciałem. Chociaż wolałem nie dzielić się z nikim większością rzeczy, które miałem w głowie.

Ale fakt, że zaczynałem mówić i chodziłem do szkoły jak normalne dziecko, w niczym nie zmieniał mojej sytuacji, kiedy po południu wracałem do domu. Raczej wręcz przeciwnie – matka stała się jeszcze bardziej surowa, bo teraz, kiedy mogłem rozmawiać z ludźmi, rysować czy opisywać lata spędzone w piwnicy, musiała utrzymać nade mną jeszcze ściślejszą kontrolę. Nie mogła już

polegać na tym, że byłem niemy – co chroniło ją do tej pory. Dlatego dbała, żebym nawet przez chwilę nie zapomniał, co mnie spotka, jeśli nie będę posłuszny jej każdemu słowu albo jeśli spróbuję narobić jej problemów. Ale niepotrzebnie się martwiła. Wciąż wierzyłem, że potrafiłaby mnie zabić, gdyby uznała, że nie ma wyjścia, albo gdybym wystarczająco ją sprowokował. Wciąż bałem się jej bardziej niż czegokolwiek czy kogokolwiek na świecie.

Kiedy wracałem do domu po szkole, kazała mi się rozbierać do majtek i odsyłała na górę, do

sypialni, gdzie siedziałem i nie robiłem nic, dopóki ona czy którykolwiek z domowników nie wydał mi jakiegoś polecenia. Trudno mi powiedzieć, co było gorsze – godziny nudy, kiedy siedziałem i gapiłem się na wskazówki zegara, czy rzeczy, które kazali mi robić. Niezależnie od tego, czy były to wszelkiego rodzaju brudne roboty w domu, czy ohydne akty seksualne z Amanim czy braćmi.

Chociaż dzieci w szkole rozumiały już po części, co mówię, wciąż byłem uważany za odmieńca. Ale teraz byłem już tylko chłopcem

z wadą wymowy, a nie chłopcem, który nie mówi. W połowie lat osiemdziesiątych szkolne władze zaczęły zatrudniać więcej nauczycieli, którzy pomagali dzieciom ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, i dostawałem jeszcze więcej wsparcia niż wcześniej.

Wciąż nie byłem łatwym dzieckiem. Najczęściej na usta cisnęły mi się zdania w rodzaju: „odpieprz się” i „ty cipo” – rzeczy, które słyszałem przez całe życie, które dosłownie były mi wbijane w głowę dniem i nocą. Przeklinanie i warczenie na każdego, kto

próbował mi pomóc, pozwalało mi też wyładować gniew i frustrację.

Byłem tak nieznośny między innymi z powodu wiecznego rozgoryczenia, że nie potrafiłem poradzić sobie z większością szkolnych zadań. Po dwóch latach nie miałem już panny Meredith do pomocy. Kiedy opanowałem podstawy i potrafiłem już mówić, czytać i pisać, wszyscy założyli, że dam sobie radę sam, ale czasami traciłem panowanie nad sobą, kiedy nie mogłem zrozumieć, co nauczyciele mówią i piszą na tablicach.

W wieku jedenastu lat

wszyscy zaczęliśmy gimnazjum, ale przecież ja miałem za sobą ledwie dwa lata szkoły i byłem żałośnie nieprzygotowany, by sobie poradzić. Kiedy już myślałem, że zaczynam coś rozumieć, nauczyciele przechodzili do kolejnego tematu. Dzieciaki w klasie łapały wszystko szybciej ode mnie, a ja za bardzo się wstydziłem, by poprosić nauczyciela, żeby się zatrzymał i powtórzył coś specjalnie dla mnie. Po jakimś czasie przestawałem nawet próbować i zaczynałem rozrabiać, żeby zamaskować porażki. Strzelałem po

klasie papierkami za pomocą linijki, robiłem głupie miny i nie słuchałem już niczego, co mówią nauczyciele.

Bardzo chciałem zjednać sobie jak najwięcej osób. Chciałem, żeby mnie lubiano. A najlepszym sposobem było rozśmieszanie innych dzieciaków przy każdej okazji. Zawsze z łatwością dawałem się podpuszczać, tak jak wtedy, kiedy Larry i Barry namawiali mnie do robienia rzeczy, które wkurzały matkę. Robiłem wszystko, do czego podjudzały mnie dzieciaki, wyłącznie po to, żeby się im

przygodobać. Jeśli kazali mi rzucić czymś w nauczyciela piszącego na tablicy, robiłem to, byle tylko sprawić im przyjemność. I oczywiście bez przerwy miałem przez to kłopoty i byłem karany. Jednak w porównaniu z karami, które otrzymywałem w domu, to wszystko, co mogli mi zrobić w szkole, zupełnie mnie nie przerażało. Bałem się tylko wtedy, gdy chcieli zawiadomić matkę, że znów narozrabiałem. Wiedziałem, że kiedy tylko wrócę do domu, spuści mi lanie po swojemu.

Większość dzieci, które dokuczały mi w starej szkole,

poszła do innych gimnazjów, więc miałem okazję znaleźć sobie nowych przyjaciół; ci nie byli do mnie uprzedzeni. Pete poszedł do tej samej szkoły co ja, ale chodził na inne lekcje, bo był jednym ze zdolnych dzieciaków, gdy ja ledwie nadążałem za innymi. Ale wciąż byliśmy przyjaciółmi i z czasem zaufałem mu na tyle, żeby opowiedzieć trochę o tym, co się działo w naszym domu. Nie mówiłem mu o seksie, to było zbyt żenujące, ale kiedy opowiedziałem o biciu, oznajmił kategorycznie, że powinienem to komuś zgłosić i poszukać pomocy. Powiedział mi,

że są telefony zaufania dla dzieci maltretowanych przez rodziców i podał mi numer jednego z nich. Nie wydawało mi się, by rozmowa z kimś obcym mogła przynieść coś dobrego. Pete pochodził z zupełnie innego świata i nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie chciałem rozmawiać z policją czy innymi urzędnikami. Jego rodzice z pewnością doradzaliby coś takiego, ale ja nie byłbym w stanie tego zrobić.

Choć wiedziałem, że Pete tak naprawdę mnie nie rozumie, ufałem mu całkowicie, że nie zdradzi moich tajemnic. Wierzył, że mówię

prawdę, bo kiedy zapukał do naszych drzwi, widział matkę w akcji. Nie wiem, jak by zareagował, gdybym powiedział mu wszystko. Pewnie zmusiłby mnie, żebym z kimś porozmawiał, albo sam powiedziała by rodzicom.

Ponieważ z nikim o tym nie rozmawiałem, zakładałem, że większość dzieci znosi w swoich rodzinach jakieś formy molestowania. Nie uważałem, że brutalność, z jaką my byliśmy traktowani, jest normą, bo widziałem, że inne dzieci nie boją się rodziców. Ale nie wiedziałem też, co dzieje się w zaciszu ich

sypialni. Zakładałem, że wielu dorosłych wykorzystuje dzieci w swojej rodzinie do celów seksualnych.

Kwestie seksu są wystarczająco trudne dla każdego młodego chłopca, który zaczyna doświadczać całkowicie mu obcych emocji, ale w moim przypadku była to wyjątkowo zaplątana kwestia. Przepęłniała mnie mieszanina lęku, poczucia winy i własnych narastających pragnień. Tylko jedno było dla mnie pewne – pociągały mnie dziewczyny, a nie chłopcy czy mężczyźni. Ale że od wczesnego dzieciństwa stykałem się z taką

różnorodnością seksualną, nie miałem pojęcia, gdzie jest granica między właściwym i niewłaściwym zachowaniem.

Kiedyś, kiedy miałem trzynaście lat, trochę za bardzo się podnieciłem i dotknąłem koleżankę ze szkoły w nieodpowiedni sposób. Oczywiście nawet mi do głowy nie przyszło, że robię coś złego. Dziewczyna natychmiast naskarżyła na mnie nauczycielowi i trafiłem na dywanik do dyrektora. Dyrektor wyjaśnił, że chłopcom nie wolno robić takich rzeczy, choćby bardzo im się tego chciało. Nie rozumiałem, o co tyle zamieszania.

O przelotny dotyk? Pochodziłem ze świata, w którym każdy brał sobie, czego chciał, nie zważając na niczyje uczucia.

Byłem przerażony, kiedy dotarło do mnie, jak strasznie zgrzeszyłem w oczach tej dziewczyny i dyrektora. Zdrętwiałem ze strachu, kiedy mi powiedział, że przez moje odrażające zachowanie matka została wezwana do szkoły.

Matka jak zwykle odegrała rolę idealnej, znękaney i odrobinę zagubionej wdowy, która nie rozumie, jakim cudem jej dziecko mogło aż tak ją zawieść. A ja

siedziałem obok ze spuszczoną głową, z oczami wbitymi w podłogę. Nie śmiałem się odezwać, bo wiedziałem, że i tak zostanę za to skatowany, kiedy tylko dopadnie mnie w domu. Nie dlatego, że uważała moje zachowanie za jakąś straszną zbrodnię, ale dlatego, że została wezwana do szkoły i najadła się wstydu przed dyrektorem.

– Nie wiem, gdzie on się nauczył takich rzeczy – powiedziała, a ja wciąż gapiłem się w podłogę. Aż gotowało się we mnie, by wyrzucić z siebie wszystko, co wiem i gdzie się tego

nauczyłem. Ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, pożałuję, że żyję. Nawet teraz, kiedy miałem już trzynaście lat i nie byłem małym dzieckiem, matka wiedziała, że jej tajemnice są bezpieczne. A zresztą, czy ktokolwiek uwierzyłby w tak makabryczne opowieści?

Smak wolności

Któregoś ranka Pete przyszedł do szkoły ze straszną nowiną.

– Moi rodzice chcą mnie posłać do szkoły przygotowawczej¹ – oznajmił.

Uznali, że nasza szkoła nie wydobywa z niego całego

potencjału, czy coś w tym rodzaju, więc przenosili go, żeby rozwijał ten potencjał gdzie indziej. Może wciąż uważali, że mam na niego zły wpływ i chcieli go ode mnie odseparować. Nie miałem pojęcia, co to jest szkoła przygotowawcza, ale wiedziałem, że prawdopodobnie nie zobaczę więcej Pete'a, kiedy się do niej przeniesie. Zakładałem, że po prostu zniknie z mojego życia, tak jak zniknął Wally, choć Pete protestował i zapewniał mnie, że będzie inaczej. Myśl, że stracę jedynego przyjaciela, była nie do zniesienia. Załamane się na jego

oczach i rozplakałem jak dziecko – czego na pewno nie zrobiłbym przy nikim innym, może nie licząc Wally’ego.

– Nie poradzę sobie bez ciebie – szlochałem.

– Poradzisz sobie, będziemy w kontakcie – obiecywał. Próbował złagodzić cios i udawać, że ta sprawa to tak naprawdę nic wielkiego.

– Nie – odparłem. – Tylko tak mówisz, ale nie będziesz się ze mną przyjaźnił, jeśli znajdziesz nowych kolegów.

– Nieprawda – protestowałem, ale widziałem, że sam jest równie

nieprzekonany, jak ja.

Nie miałem mu za złe, że idzie swoją drogą. Po prostu wiedziałem, że nie będziemy już kumplami, i nie chciałem zostać w próżni i czekać w nieskończoność, aż się odezwie, tak jak czekałem na Wally'ego. Mój brat zawiódł mnie tak strasznie, że myśl o tym wciąż sprawiała mi ogromny ból. Nie chciałem być zawsze w niełasce kolegą, który zabiega o Pete'a i zawsze dowiaduje się, że kumpel jest zajęty nowymi przyjaciółmi, lekcjami albo ważnymi egzaminami i nie ma dla mnie czasu. Aż za dobrze wiedziałem, jak bolesne jest każde

kolejne rozczarowanie, każdy zawód. Wolałem od razu stawić czoło prawdzie, skończyć to definitywnie i radzić sobie najlepiej, jak umiałem. Trzeba było pogodzić się z faktem, że stracę Pete'a, mojego jedyne go prawdziwego przyjaciela. Że to koniec.

Powiedział mi o tym w poniedziałek rano i jego słowa tłukły mi się po głowie, kiedy siedziałem na porannych lekcjach. Byłem w szoku i jeszcze trudniej niż zwykle trafiały do mnie słowa nauczycieli. Przyjaźń z Pete'em była jedyną dobrą rzeczą w moim

życiu i nie widziałem sensu chodzenia do szkoły, skoro miało go tu nie być. Nie potrzebowałem już ochrony przed chuliganami, ale wiedziałem, że i tak nie uczę się niczego na lekcjach, bo miałem coraz większe zaległości. Więc jeśli na przerwach nie mogłem trzymać się z Pete'em, to wszystko wydawało mi się jedną wielką stratą czasu. Dopóki chodziłem do szkoły, musiałem każdego popołudnia wracać do koszmaru mojego rodzinnego domu. Gdybym rzucił szkołę, może mógłbym rzucić całe moje życie: matkę, Amaniego, Larry'ego, Barry'ego i ohydneho

wujka Douglasa. Nagle w mojej głowie zapaliło się coś, jakby żarówka – zacząłem na poważnie myśleć o ucieczce od szkoły, domu i całej mojej przeszłości.

Oczywiście już wcześniej zdarzało mi się o tym marzyć. Rozmyślałem o tym milion razy, szczególnie kiedy leżałem w piwnicy w domu albo w którejś z małych sypialni u Douglasa. Ale nigdy nie udało mi się ułożyć konkretnego planu, jak to zrobić i dokąd pójść. Nigdy nie sądziłem, że to mogłoby się udać. A wiedziałem, że kiedy policja odwiezie mnie do domu – co było

nieuniknione – skończy się to dla mnie naprawdę strasznie. Dlatego nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by zrealizować ten pomysł. Zresztą przyjaźń Pete'a wystarczyła, by utrzymać mnie w szkole. Ale teraz jedyny powód, by nie uciekać, zniknął. A ja byłem starszy, stałem się nastolatkiem. A może to nie żadna mrzonka i rzeczywiście mogłem trochę wcześniej rozpocząć dorosłe życie?

Ogarniało mnie coraz większe podniecenie, kiedy ten niewyraźny pomysł zaczął się konkretyzować w plan. Gdy byłem mały, wiedziałem, że pewnie szybko mnie

złapią i odwiozą prosto do matki, która spierze mnie na miazgę za to, że ośmieliłem się zrobić coś takiego. Ale teraz, kiedy byłem starszy, fakt, że kręcę się po ulicach, nie byłby już tak podejrzany. A poza tym potrafiłbym lepiej o siebie zadbać. Teraz przynajmniej umiałem mówić, a przyjaźń z Pete'em sprawiła, że poruszałem się wśród ludzi z większą pewnością siebie. Wymyśliłem, że jeśli uda mi się ukrywać i nie włączyć nikomu w drogę przez parę lat, będę dość dorosły, by legalnie przebywać na stałe poza domem. Mógłbym żyć

własnym życiem, z dala od ludzi, którzy mnie krzywdzili i traktowali jak niewolnika. Czy życie na gigancie mogło okazać się gorsze niż to, które wiodłem w domu i u wujka Douglasa, nawet gdybym przez jakiś czas biedował? Jeśli zdołałem przetrwać trzy lata w piwnicy, to zdołam przetrwać wszędzie.

Kiedy ten pomysł zakorzenił się w mojej głowie, nagle wydał mi się oczywistym rozwiązaniem wszystkich problemów, które zamieniały moje życie w piekło. Postanowiłem uciec natychmiast. Nie chciałem znosić jeszcze

jednego wieczoru w domu, pełnego upokorzeń, bólu i molestowania. Przecież nie musiałem. Prawdę mówiąc myśl, że miałbym jeszcze kiedykolwiek tam wrócić, stała się nie do zniesienia, kiedy nagle otworzył się przede mną cały świat. Wiedziałem, że w przerwie obiadowej będę miał godzinę, podczas której nikt nie zauważy mojej nieobecności. To była moja szansa.

– Muszę wracać do domu – powiedziałem Pete’owi, kiedy jak zwykle spotkaliśmy się po ostatniej przedpołudniowej lekcji. – Źle się czuję.

– Kto po ciebie przyjdzie? –
spytał. – Ta suka?

Zawsze tak nazywał moją
matkę, od kiedy kazała mu
spierdalać spod naszych drzwi.

– Tak – skłamałem. – Możesz
powiedzieć nauczycielom, że mnie
zabrała?

– Jasne. – Wzruszył
ramionami. Być może zauważył, że
dziwnie się zachowuję, ale jeśli
tak, pewnie sądził, że to reakcja na
jego nowinę.

Poszedłem na stołówkę
i zabrałem tyle jedzenia, ile
mogłem wynieść bez zwracania na
siebie uwagi. Upychałem je po

kieszzeniach, kiedy nikt nie patrzył. Po czym, jak gdyby nigdy nic, poszedłem do szatni i przegrzebałem wszystkie torby i kurtki w poszukiwaniu gotówki. Zabrałem też parę ciuchów, które mogły mi się przydać, kiedy pozbędę się szkolnego mundurka. Miałem wyrzuty sumienia, że okradam kolegów, ale włączył mi się tryb przetrwania. Wiedziałem, że niedaleko ucieknę bez pieniędzy i w mundurku; natychmiast ktoś by mnie zatrzymał i zaczął zadawać pytania.

Kiedy byłem już gotowy, wyszedłem za bramę szkoły tak

spokojnie, jak pozwalało mi łomoczące serce. I po prostu szedłem dalej, nie oglądając się za siebie. Wędrowałem godzinami, by zostawić przeszłość jak najdalej w tyle. W końcu wyszedłem z miasta i znalazłem się poza zabudowaniami, w pięknej, wiejskiej okolicy, dobrze znanej amatorom biwaków i pieszych wędrówek. Turyści wszelkiej maści zjeżdżali się latem do tej części kraju, ale że był dopiero marzec, byłem pewien, że nikogo nie spotkam.

Od kiedy nauczyłem się czytać, przestudiowałem

w bibliotece parę książek o survivalu. Często fantazjowałem, jak by to było fajnie mieszkać samotnie w dziczy i radzić sobie dzięki własnemu sprytowi i umiejętnościom. Wyobrażałem sobie, że nauczyłem się dość, by mogło mi się to udać. Zamierzałem założyć obóz gdzieś w lesie i żyć jak filmowy Tarzan, może nawet przyjaźnić się ze zwierzętami, jak on. Zwierzęta pewnie byłyby lepszymi przyjaciółmi niż ludzie, których poznałem. Wszelkie trudności, jakie musiałbym znosić w dziczy – byłem tego pewien – to pestka w porównaniu z tym, co

przeżywałem we własnym domu. Im bardziej się od niego oddalałem, tym bardziej optymistycznie patrzyłem w przyszłość. Nabierałem pewności, że to się może udać, że moja gehenna się skończyła. Byłem wolnym człowiekiem; zostawiłem za sobą dzieciństwo i rozpocząłem resztę życia.

Koło siódmej wieczorem uznałem, że odszedłem już dość daleko i tutaj nikt mnie nie będzie szukał. Zacząłem rozglądać się za jakimś miejscem, gdzie mógłbym spędzić pierwszą noc. Kiedy mijałem grupę dużych, wolno

stojących domów, natknąłem się na grupę około tuzina dzieciaków, które bawiły się na dworze po kolacji. Miło było zobaczyć przyjazne twarze – kogoś, kto nie wiedział nic o mnie i mojej przeszłości. Zatrzymałem się, żeby z nimi pogadać. To były eleganckie dzieciaki. Ich sposób mówienia przypominał raczej Pete’a niż mój, a ich domy wydawały mi się pałacami.

– Skąd jesteś? – zapytał chłopak, który przedstawił się jako John.

– Jestem z wizytą w tej okolicy – rzuciłem wymijająco.

– A dlaczego masz bagaż? –
spytał, wskazując mój szkolny
plecak, który teraz mieścił cały mój
majątek.

– Nie twoja sprawa –
odparłem.

– Chcesz pograć w piłkę? –
zapropnował, zupełnie
niespeszony moimi burkliwymi
odpowiedziami.

– Okej.

Chętnie przyjąłem
zaproszenie, spragniony
towarzystwa i przyjaźni. Miło było
pobyć z grupą dzieciaków, które
mnie akceptowały i nie miały
wobec mnie żadnych uprzedzeń.

Nie znały mnie jako śmierzącego, niemego chłopca, który słabo czytał i pisał. Dla nich byłem po prostu nieznanym, który zawędrował do ich bezpiecznego, zamkniętego świata. Miałem wrażenie, że polubiły mnie dla mnie samego. Próbowaly zadawać więcej pytań, a mnie udawało się odpowiadać na tyle wymijająco, żeby się nie wydać, a zarazem na tyle przyjaźnie, żeby ich nie zrazić.

– Będziesz tu jutro? – spytał John, kiedy zrobiło się za ciemno na grę w piłkę i moi nowi znajomi musieli wracać do domów.

– Tak – rzekłem, uznając, że to

bardzo dobre miejsce, by zatrzymać się na jakiś czas. Tym bardziej że nagle okazało się, że mam tu grupkę przyjaciół.

– No to do zobaczenia.

Poszli sobie. Krzyczeli i machali wesoło na pożegnanie, a potem nagle noc zrobiła się bardzo cicha, a powietrze nieprzyjemnie chłodne. Taki kawał życia spędziłem zamknięty w ciasnych przestrzeniach, że ogromne, nocne niebo mnie onieśmiało. Ale poczucie wyzwolenia wciąż przepełniało mnie radością. Oświetlone okna wielkich, solidnych domów, do

których rozbiegli się moi nowi znajomi, wyglądały bardzo kusząco, ale odwróciłem się dzielnie i ruszyłem w gęstniejącą ciemność, żeby poszukać sobie jakiegoś miejsca na nocleg. Zrozumiałem, że nie zdążę zbudować szałas, jak to sobie wyobrażałem, ale i tak musiałem jakoś schronić się przed chłodem. Zima dopiero co minęła i powietrze ochładzało się bardzo szybko.

Gwiazdy i księżyc dawały tylko tyle światła, że widziałem wokół siebie ledwie zarysy otoczenia. Po chwili natknąłem się na tory kolejowe i postanowiłem

ruszyć wzdłuż nich, żeby nie zgubić się w czarnym cieniu drzew. Miałem ze sobą latarkę, którą znalazłem w czyjejs torbie w szatni, ale nie chciałem niepotrzebnie zużywać baterii, bo nie wiedziałem, kiedy będę mógł je wymienić. A poza tym jeszcze by mnie ktoś zauważył i zwrócił na mnie uwagę.

Jakieś dwieście metrów od domów natrafiłem na barak robotników kolejowych przy torach. Drzwi nie były zamknięte, więc wszedłem i przy świetle latarki obejrzałem zakurzone wnętrze. Światło wyłowiło stare, dawno nieużywane sprzęty i stertę

podkładów kolejowych – wielkich kłoców solidnego drewna, który wyglądał, jakby leżał tutaj od czasów budowy torów. Uznałem, że nikt już nie używa tego baraku, szczególnie w nocy. Śmierdziało tu smołą i smarem, ale przecież sypiałem swego czasu w gorszych smrodach. Idealnie, pomyślałem. Mój własny mały domek w dziczy. Zamknąłem za sobą drzwi, odgarnąłem trochę pajęczyn i znalazłem suchy ką, w którym mogłem się położyć. Wędrowałem siedem godzin, a potem jeszcze grałem w piłkę, więc usnąłem szybko i głęboko, choć od czasu do

czasu budziło mnie zimno.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień i ostrożnie wyjrzałem za drzwi, teren dookoła był równie opustoszały, jak wtedy, kiedy szedłem spać. Słysząc było tylko wiatr i ptaki w koronach drzew. Postanowiłem zwiedzić okolicę, więc ukryłem plecak w pobliskich zaroślach. Nie chciało mi się nosić go ze sobą, ale bałem się zostawić go w baraku, gdyby jednak zjawili się jacyś robotnicy. W tym plecaku był cały mój majątek i nie mogłem sobie pozwolić na jego utratę.

Moi nowi znajomi byli w szkole, więc przez długie

godziny bawiłem się sam w lesie. Cieszyłem się wolnością, ale zjadłem już cały prowiant, który zabrałem ze stołówki, i burczenie w moim brzuchu przybierało na sile niczym nadciągająca burza. Cały dzień cieszyłem się na spotkanie z Johnem i resztą dzieciaków. I całe wieki czekałem pod ich domami, zanim wreszcie wyszli się pobawić po szkole. Kiedy John i jego siostra wybiegli z bramy, zobaczyłem, że rozglądają się za mną i cieszą się na spotkanie. To było bardzo przyjemnie uczucie.

— W którym domu się zatrzymałeś? — spytał John, kiedy

siedzieliśmy i czekaliśmy na resztę.

– Bo znamy wszystkich w okolicy.

– Tam – powiedziałem i machnąłem w nieokreślonym kierunku. Chciałem jak najszybciej zmienić temat.

– Ale wczoraj mówiłeś, że tam – zaprotestował John, zdziwiony i zaintrygowany.

– Na farmie za mostem – uściśliłem, bo po drodze minąłem ich kilka.

– Na której? – Jego siostra też już była zaciekawiona. – Nasi rodzice znają wszystkich gospodarzy.

Najwyraźniej rozmawiali

o mnie w domu i ich rodzice się mną zainteresowali. Zacząłem trochę panikować, ale zmusiłem się do zachowania spokoju.

– Okej – stwierdziłem w końcu, bo nie miałem pojęcia, jak się wykręcić. – Powiem wam prawdę. Ale obiecajcie... nikomu ani słowa!

Skinęli z powagą głowami i wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczami, spodziewając się usłyszeć coś niesamowitego. Wszyscy lubią poznawać czyjeś tajemnice.

– Uciekłem z domu.

Po raz pierwszy

wypowiedziałem to na głos i mnie samego zaskoczyło, jak dramatycznie to zabrzmiało.

Oboje otworzyli usta i milczeli przez chwilę, przetrawiając tę zdumiewającą rewelację. A potem zalała mnie lawina pytań.

– Dlaczego?

– Skąd jesteś?

– Przed kim uciekłeś?

– Gdzie nocujesz?

– Co teraz zrobisz?

Wyjaśniłem, że matka mnie biła i groziła, że mnie zamorduje.

– Jeśli mnie znajdą – rzekłem

– policja odwiezie mnie do domu

i matka mnie skatuje.

Parę razy kazałem im przysięgać, że nie powiedzą nikomu, nawet innym dzieciakom z ich paczki. Ale oczywiście była to zbyt ważna wiadomość, by zdołali ją zachować w tajemnicy. Ledwie pięć minut po tym jak przyszły, cała reszta dzieciaków wiedziała już o wszystkim. Chyba każde dziecko od czasu do czasu marzy o ucieczce z domu. Teraz poznali kogoś, kto naprawdę to zrobił, i chcieli być częścią tej przygody. Kto by tam grał w piłkę! Woleli siedzieć ze mną i planować moją przyszłość. Wszyscy gadali jednocześnie.

– Okej – powiedział po chwili John. – Złożymy przysięgę. Nikomu o tobie nie powiemy i będziemy się tobą opiekować.

Odeszliśmy dalej od domów, by na pewno nikt nas nie podsłuchał. Koledzy posadzili mnie i kazali opowiedzieć więcej o tym, co robiła mi matka. Słuchali z otwartymi ustami. Nie powiedziałem im o molestowaniu, tylko o biciu i zamykaniu w pokoju bez światła i jedzenia przez całe dni. Było oczywiste, że nikt z nich nawet nie zdawał sobie sprawy, że na świecie są maltretowane dzieci. Nikt z nich nie potrafił sobie

wyobrazić takiej matki jak moja. Musiała im się wydawać postacią z horroru, bo też była właśnie kimś takim. Widziałem, że są głęboko wstrząśnięci i że naprawdę chcą mi jakoś pomóc.

– To gdzie spędziłeś noc? – spytała mnie siostra Johna.

Wskazałem im barak przy torach.

– Ale tam chyba było strasznie zimno?

Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową.

– Trochę było.

– To ja ci powiem, co zrobimy. – Przejmowała

dowodzenie nad całą akcją. – Pójdziemy do domu i ukradniemy dla ciebie koce.

– Nie, mam lepszy pomysł. – John przebijał siostrę entuzjazmem. – Przemycimy cię do domu i będziesz mógł się schować pod moim łóżkiem. A jak rodzice wyjdą, zaprowadzimy cię do kuchni i nakarmimy.

Wpadłem w prawdziwą panikę. Gdybyśmy zrobili coś takiego, dorośli szybko zaczęliby coś podejrzewać i zadawać pytania. A te dzieciaki nie wyglądały, jakby potrafiły długo utrzymać język za zębami.

Traktowały całą tę sytuację jak świetną zabawę, tak jak potraktowałyby ją każde dziecko z normalnego domu. Ale dla mnie to była śmiertelnie poważna sprawa, kwestia życia i śmierci. Gdyby teraz mnie złapano i odstawiono do domu, matce z pewnością odbiłoby do reszty i zwyczajnie zatłukłaby mnie w przyпадку wściekłości.

– To się raczej nie uda – stwierdziłem ostrożnie, żeby nie wyjść na niewdzięcznika. – Ale rzeczywiście jestem głodny.

– Okej – powiedział John, zrywając się z ziemi. – Urządzimy ci ucztę.

– Tylko nie szalejcie –
przestrzegłem. – Nie bierzcie
niczego, czego brak mogliby
zauważyć rodzice. Nie chcemy,
żeby zaczęli coś podejrzewać.

Choć błagałem, żeby się
hamowali, zdecydowali już, co
chcą zrobić, i byli zbyt
podekscytowani, by dało się im
przemówić do rozsądku. Wszyscy
popędzili do domów i kazali mi
czekać w baraku.

I oczywiście poszli na całość
– opróżnili rodzicom szafki
i przynieśli mi całe naręczna
pościeli i siatki jedzenia, po czym
urządzili mnie w baraku, zmieniając

go w skrzyżowanie domku na koloniach z chatką Świętego Mikołaja. Nie wszystko do końca przemyśleli – na przykład puszki fasoli bez otwieracza – ale i tak było tego dość, żebym najadł się do syta. Jadłem więc i słuchałem ich paplaniny. Snuli plany, jak to się mną zaopiekują i będą mnie ukrywać. Znowu poczułem się trochę jak pies, ale tym razem jak rozpieszczony kanapowiec, a nie pogardzany kundel.

– Będiesz naszym najlepszym tajemniczym przyjacielem – stwierdzili, pokazując mi z dumą wszystko, co dla mnie ukradli. –

I nigdy nikomu nie powiemy, że tu jesteś.

Nie bardzo wierzyłem, że zdołają tak długo ukryć ekscytujący sekret przed rodzinami. Ale miło było znaleźć się wśród życzliwych osób, w centrum zainteresowania. No i dostałem od nich pościel i jedzenie. Kontrast między ich opiekuńczością a tym, jak traktowali mnie matka i Amani, wzruszał mnie i jednocześnie smucił. Dlaczego moja własna rodzina nie chciała się mną tak opiekować? Próbowałem nie przejmować się rzeczami, na które nie miałem wpływu,

i postanowiłem po prostu cieszyć się fartem przez parę dni, zanim ruszę dalej. Powiedziałem sobie, że wszystko co złe jest już za mną. Nie musiałem już o tym myśleć.

Nowi koledzy nie chcieli zostawiać mnie samego na noc; dosłownie nie mogli się ode mnie oderwać. Najchętniej pewnie zanocowaliby ze mną, by przeżywać tę przygodę trochę dłużej. Ale robiło się coraz później, a ja martwiłem się, że rodzice zaczną ich szukać. Błagałem dzieciaki, żeby wróciły do domów, zanim ktoś po nie przyjdzie.

– A jeśli jakiś obcy będzie

tędy przechodził i zrobi ci krzywdę? – spytała siostra Johna, a pozostali jej przytaknęli.

– Nic mi nie będzie – zapewniłem. Tak bardzo chciałem, żeby już sobie poszli. – Jest ciemno, nikt mnie nie zobaczy.

– Mogą cię pożreć dzikie zwierzęta – zasugerował ktoś inny.

– Nie, naprawdę – upierałem się. – Wszystko będzie dobrze.

Próbowałem ich przekonać, że mogą mnie zostawić, i podkreślałem, jakie to ważne, by nikomu o mnie nie mówili. Obiecali mi to jeszcze raz i wiem, że mieli jak najlepsze intencje. Kiedy

wreszcie pobiegli do domów, ułożyłem się pod kocami, z pełnym żołądkiem, ciesząc się, że tej nocy już tak nie zmarznę.

Przez kilka następnych dni przyjaciele odwiedzali mnie każdego wieczoru po szkole i przynosili coraz więcej prowiantu. O wiele więcej, niż potrzebowałem i byłem w stanie zjeść. Piątego wieczoru John wziął mnie na bok i wyskoczył z nową propozycją.

– Zamieszkać z nami – poprosił. Wiedziałem, że bardzo głęboko to przemyślał, pewnie też obgadał z siostrą. – Mógłbyś być

moim starszym bratem. Jeśli powiem rodzicom, że twoja mama jest dla ciebie niedobra, adoptują cię. I wtedy zostaniesz z nami na zawsze.

Nie mogłem zaprzeczyć, że to kusząca propozycja, ale byłem już na tyle rozsądny, by wiedzieć, że szanse na taki obrót spraw są mizerne. Wiedziałem, że matka nigdy mnie dobrowolnie nie odda. Chyba że ktoś zapłaci jej dość, by zrekompensować wszystkie finansowe straty. Wiedziała, że moje potencjalne zarobki mogły być naprawdę wysokie, a poza tym w życiu nie zgodziłaby się dać mi

szansy na szczęśliwe życie. Nie sądziłem też, by rodzice tych dzieciaków wzięli pod swój dach przybłędę. I to takiego, który ma problemy z nauką i jest uważany za chuligana.

– Nie – odparłem ostrzej, niż zamierzałem. – Tu mi dobrze. Serio.

Tego wieczoru John postanowił przynieść mi dla odmiany ciepły posiłek. Siedząc z rodziną przy kolacji, zaczął ukradkiem pakować pieczone ziemniaki do torby, a potem oznajmił, że musi wyjść do toalety. Popędził do baraku, by mi je dać,

zanim wystygną. Ale kiedy dziesięć minut później wrócił do stołu, mama zapytała go, gdzie był.

– W toalecie – skłamał.

– Nieprawda – zaprzeczyła. –

Sprawdziłam. I widziałam cię na dworze.

– Bo tam biega bezdomny pies – odpowiedział John, gorączkowo szukając jakiejś przekonującej historyjki. – Zrobiło mi się go żal.

Mimo jego przytomności umysłu matka zrobiła się podejrzliwa. Już wcześniej zauważyła, że z kuchennych szafek od paru dni znika mnóstwo rzeczy, i czuła, że coś się dzieje. Na pewno

nie uwierzyła, że syn karmi bezdomnego psa puszkami fasoli, chlebem, mlekiem i płatkami śniadaniowymi. Pytaniom nie było końca i w końcu mój przyjaciel – który nie umiał kłamać mamie w żywe oczy – musiał się do wszystkiego przyznać. Podejrzewam, że ulżyło mu, kiedy wreszcie wyrzucił z siebie tę tajemnicę. Nie był chłopakiem, który się dobrze czuł, okłamując rodziców, nawet jeśli uważał, że robi to w słusznej sprawie.

Nie miałem o tym wszystkim pojęcia, kiedy układałem się do snu, by spędzić kolejną noc

w baraku. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy obudziły mnie kroki chrzęszczące na kamieniach przy torach, niedaleko mojego schronienia. Oprzytomniałem natychmiast, odrzuciłem kradzioną pościel i ukląknęłem przy drzwiach. Z łomoczącym sercem wyjrzałem przez szparę, by ocenić niebezpieczeństwo. Zobaczyłem zbliżający się promień latarki. Człowiek, który ją trzymał, wydawał się zbyt wysoki jak na któreś z dzieci, a jego kroki były zbyt głośne. To musiał być dorosły w ciężkich butach. Nie miałem

pojęcia, co robić. Zaparłem się całym ciężarem o drzwi i zablokowałem je stopą, by zyskać trochę czasu. Chciałem przemyśleć możliwości. Zakładałem, że to robotnik kolejowy, który akurat dzisiejszej nocy ma coś do zrobienia przy torach. Zacząłem planować, jak wypadnę za drzwi i minę go, zanim zdąży mnie złapać i zanim zjawią się jego koledzy.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami i przez szparę wpadł wąski promyk światła. Natychmiast cofnąłem się poza jego zasięg.

– Kto tam? – zapytał męski głos. – Joe, to ty?

Zupełnie zgłupiałem. Skąd obcy człowiek mógł znać moje imię?

– Jestem policjantem.

– Odpieprz się! – krzyknąłem, nie mogąc wymyślić nic bardziej inteligentnego w tych okolicznościach. Przed oczami stanął mi policjant, który przychodził do piwnicy i do Douglasa. Zadrżałem na myśl, że jeśli zostanę aresztowany, to znów trafię w ich łapy.

– Parę osób martwi się o ciebie. – Nie dawał za wygraną. Jego głos brzmiał sympatycznie i słyszałem w nim troskę, ale już

kiedyś się na to nabrałem i nie chciałem dać się oszukać kolejny raz, kiedy już posmakowałem wolności.

– Gówno prawda! – wrzasnąłem.

– No już, Joe, otwórz drzwi, proszę cię. Muszę zobaczyć, czy jesteś cały i zdrowy.

– Jestem, więc się odpieprz.

– Ale ja muszę zobaczyć na własne oczy, czy nic ci nie jest. Proszę cię, otwórz drzwi. Nie chcę ich wybijać siłą, bo mógłbym cię zranić. Naprawdę jestem policjantem i jeśli uchylisz drzwi chociaż troszeczkę, zobaczysz mój

mundur. Ludzie z tych domów to twoi przyjaciele i martwią się o ciebie.

– Pieprzeni donosiciele! – krzyknąłem. – Ja nie chcę wracać. Proszę, niech mnie pan zostawi w spokoju! Niech pan zapomni, że pan o mnie usłyszał. Proszę!

– Nie mogę, chłopcze, przykro mi. Mam obowiązek zadbać o to, żebyś trafił w bezpieczne miejsce.

Zrozumiałem, że nie zmieni zdania i nie pójdzie sobie. Wiedziałem, że jestem w pułapce. Jeśli policjant wejdzie do środka, odetnie mi drogę ucieczki. O wiele łatwiej byłoby mi zwać, gdybym

był na zewnątrz. Podjąłem decyzję. Otworzyłem drzwi, żeby pomyślał, że mnie przekonał swoimi argumentami i obietnicą ochrony. Wyszedłem na dwór z plecakiem na ramieniu, a policjant chwycił mnie mocno za nadgarstek, by mieć pewność, że mu nie ucieknę. Po kilku dniach wolności nie podobało mi się to uczucie. Przypominało mi wszystkie inne okoliczności, kiedy chwytały mnie dorosłe ręce i ciągnęły tu czy tam wbrew mojej woli. Ale nie szamotałem się. Nie było sensu, bo nic bym tym nie osiągnął, a on tylko trzymałby mnie mocniej. Był zbyt silny, żebym

zdołał mu się wyrwać. Ale miałem nadzieję, że trafi mi się jakaś okazja do ucieczki, zanim mnie zamknie. By dojść do drogi, musieliśmy pokonać stromą skarpe. Widziałem, że facet ma z tym trudności. Stopy mu się ślizgały, a mógł się podpierać tylko jedną ręką, kiedy groził mu upadek.

– Nie musi mnie pan tak mocno trzymać – powiedziałem, kiedy zrozumiałem, że trudno mi będzie pokonać tę przeszkodę ze mną uczepionym jego ręki. – Nigdzie się nie wybieram.

– Nie uciekniesz mi? – spytał z powątpiewaniem. – Obiecujesz?

– Nie, oczywiście że nie. Daję słowo. – Dorośli składali mi obietnice, których nie zamierzali dotrzymać, więc dlaczego miałbym być inny? Zrobiłbym wszystko, byle tylko nie wrócić do matki.

Kiedy poczułem, że jego palce się rozluźniają, wyrwałem się i popędziłem w ciemność. Słyszałem, jak woła za mną:

– Joe, wracaj tu!

Ale nawet się nie obejrzałem. Strach i desperacja widocznie dodały mi skrzydeł, bo choć parę razy potknąłem się w ciemnościach, błyskawicznie znalazłem się poza zasięgiem policjanta. Ruszył

w pogoń, ale promień jego latarki szybko zniknął mi z oczu. Zadziwiające, ile energii potrafi dodać człowiekowi strach. Dowiedziałem się później, że policja szukała mnie przez następne dwa dni i od czasu do czasu widziałem ze swojej kryjówki radiowozy krążące po okolicy, ale chyba nie wkładali w to zbyt wiele serca. Pewnie myśleli, że wcześniej czy później gdzieś się pojawię, bo nie zdołam zbyt długo wytrzymać w głuszy.

Kiedy już się upewniłem, że uciekłem policjantowi, zwolniłem i przez jakiś czas krążyłem na oślep

po lesie, aż natknąłem się na opuszczony kemping. Stał tam pusty domek z bali, zamknięty na zimę. Zamek w drzwiach miał marny, więc udało mi się go sforsować jednym solidnym kopniakiem. Domek był wygodniejszy niż barak kolejowy, znalazło się tu nawet łóżko, na które natychmiast padłem, zmęczony po nocnej gonitwie. Wnętrze okazało się czyste i suche, ale zimne, kiedy już ostygłem po biegu. Wszystkie koce zostały w baraku i nie sądziłem, by rozsądnie było wracać tam po cokolwiek, bo policja mogła obserwować to miejsce.

Pomyślałem zresztą, że rodziny dzieciaków i tak zabrały już swoją własność. Nie wiedziałem, ile mam czasu, zanim zjawi się tu ktoś, by przygotować domek na lato, ale uznałem, że chatka nada się na kryjówkę, przynajmniej dopóki policja nie przestanie mnie szukać.

Zostałem tam kilka dni, żywiąc się resztkami prowiantu, który trzymałem w plecaku. Podzieliłem go na porcje, żeby mi starczył na jak najdłużej. Nie widziałem przez ten czas żywego ducha. W kolejną niedzielę, jak co dzień, krążyłem po pustym kempingu i szukałem sobie zajęcia. Miałem tu mnóstwo

miejsca i spokoju. Byłem sam na sam z własnymi myślami, ale przywykłem do samotności i to nie stanowiło dla mnie problemu. Z przyjemnością włóczyłem się po okolicy, szukając przydatnych rzeczy i czegoś do jedzenia. Nikt mi nie przeszkadzał, nikt mną nie rządził. Nie zastanawiałem się nad przyszłością. Wyobrażałem sobie, że przez kolejne lata będę się po prostu przenosił z miejsca na miejsce, szukając po drodze pożywienia, byle jakoś przetrwać, może nawet zajmując się tu czy tam do jakiejś pracy za grosze. Samotność w lesie była o wiele

lepsza niż mieszkanie z matką czy weekendy spędzane u Douglasa, więc starałem się nie rozmyślać za wiele. Po prostu żyłem. Kiedy pozwalałem sobie na rozmyślania, tęskniłem za Pete'em, a czasami zastanawiałem się, co dzieje się z moim bratem, Thomasem. Nigdy nie byliśmy tak dobrymi kumplami, jak ja z Pete'em, ale wiedziałem, że w domu nie jest lekko i martwiłem się o niego.

Był wieczór i zaczął już zapadać zmrok, kiedy usłyszałem dziecięce głosy w lesie niedaleko domku. Wpadłem do środka i przez narożnik okna zacząłem

obserwować, czy są z nimi jacyś dorośli. Kiedy dzieci pojawiły się w zasięgu mojego wzroku, zobaczyłem, że to John i jego siostra. Domyślałem się, że to oni mnie wsypali. Powinienem był siedzieć cicho i poczekać, aż pójdą dalej. Ale byłem na nich tak zły, że mnie wydali mimo wszystkich swoich obietnic, że nie mogłem się powstrzymać, by nie wyjść i nie powiedzieć im, co o nich myślę. Zresztą, może potrzebowiałem też z kimś pogadać, bo nuda i samotność dawały mi się we znaki.

O mało nie wyskoczyli ze

skóry, kiedy nagle stanąłem na ścieżce przed nimi.

– Dlaczego mnie wsypałeś, John? – spytałem. – Mówiłeś, że chcesz być moim przyjacielem, że przekonasz rodziców, żeby mnie adoptowali, że mam być twoim bratem, a potem na mnie doniosłeś!

– Martwiłem się o ciebie – tłumaczył John, bardzo ucieszony, że znów mnie znalazł, ale i niepewny, jak ich potraktuję. Nie chciał mnie spłoszyć. – Ale uciekłeś. Wszędzie cię szukają. Zorganizowali wielką ekipę poszukiwawczą.

Nie umiałem długo się na nich

złościć. Kiedy już się uspokoilem, obiecali, że tym razem naprawdę nikomu nie powiedzą, gdzie jestem. Wiedziałem jednak, że nie mogę im ufać. Nie mogłem ufać nikomu i za każdym razem, kiedy zapominałem o tej zasadzie, rozczarowywałem się boleśnie.

– Możemy ci przynieść jedzenie i koce? – spytał.

– Po prostu mnie zostawcie – poprosiłem. Wolałem nie kusić losu.

Ale wiedziałem, że nie dadzą mi spokoju, choćbym błagał na kolanach. Wciąż byłem dla nich zbyt dużą atrakcją, a poza tym

chyba szczerze się o mnie martwili.

– No dobra – powiedziałem w końcu. – Idźcie do domu i przynieście mi coś do jedzenia.

– Ty zostań z Joem – polecił John siostrze – a ja pójdę. – Pewnie on też mi nie ufał i bał się, że znów ucieknę, kiedy tylko wrócą do domu.

– Domyślą się, jeśli wrócisz beze mnie i weźmiesz jedzenie – stwierdziła jego siostra. – Mieliśmy wrócić razem.

– Okej – zgodził się, choć niechętnie. – Joe, obiecujesz, że nigdzie nie pójdziesz?

– Obiecuję – skłamałem.

Kiedy tylko zniknęli mi z oczu, złapałem plecak i pobiegłem do lasu. Nie zamierzałem zaufać już nikomu na świecie, jeśli to oznaczało, że mogę trafić z powrotem do domu. Nie wątpiłem w dobre intencje tych dzieciaków, ale najprawdopodobniej dorośli mieli na nich oko i natychmiast by się zorientowali, co jest grane, gdyby z domu znów zaczęło znikać jedzenie. Jeśli chciałem być bezpieczny, musiałem sobie radzić sam. Nie miałem innego wyjścia. Tak będzie wyglądało moje życie, dopóki nie dorosnę na tyle, by policja przestała mnie szukać.

Zdrada i powrót

Kiedy znów znalazłem się bez dachu nad głową, natychmiast zatęskniłem za przytulnymi ścianami domku z bali. Życie w dziczy może się wydawać kuszące, kiedy człowiek siedzi uwięziony w miejscu, w którym nie

chce być, ale natura potrafi w niemiły sposób przypomnieć, dlaczego gatunek ludzki wybrał mieszkanie w domach. Kiedy ściemniło się do reszty, zaczęło lać jak z cebra. Ubranie przesiąkło mi do suchej nitki w parę minut, a deszcz nie ustawał. Zerwał się wiatr, który siekł mi w twarz kroplami deszczu i przeszywał zimnem do kości. Kiedy tak mozolnie wędrowałem w ciemnościach, zmarznięty, zmęczony, mokry i głodny, myślałem o Johnie i reszcie dzieciaków, które siedzą w ciepłych domach. I to wszystko

wydawało mi się potwornie niesprawiedliwe.

Ogarnęła mnie potężna fala goryczy i gniewu. Dlaczego moje życie nie mogło być normalne, takie jak innych dzieci? Dlaczego Bóg wziął się na mnie od dnia, kiedy zostałem poczęty przypadkiem na tym cholernym przyjęciu z okazji rocznicy ślubu? Dlaczego odebrał mi tatę i posłał go do diabła, a mnie nie dał od tamtej pory ani odrobiny szczęścia? Brnąłem przez mokry las ze schyloną głową, żeby deszcz nie padał mi w twarz, i wymyślałem Bogu, wykrzykując przekleństwa. Jakbym odbijał sobie te lata, kiedy

nie mogłem wybuchnąć gniewem ani rozpaczą przez moje milczenie. Ktoś, kto znalazłby mnie tej nocy, pomyślałby, że natknął się w lesie na szaleńca. I w pewnym sensie miałby rację.

Nie wiedziałem, dokąd iść ani nawet z grubsza w jakim kierunku. Chciałem tylko znaleźć jakieś suche miejsce, gdzie mógłbym się położyć i przespać, ale nie miałem pojęcia, jak znaleźć bezpieczny kąt. Nie było takiego miejsca, gdzie by mnie nie szukano, gdzie mógłbym zniknąć bez konieczności odpowiadania na pytanie, kim jestem. Miałem wrażenie, że cały świat przyłączył

się do gigantycznego spisku przeciw mnie. Jakby otaczała mnie wielka pajęczyna i wszystkie nici ciągnęły mnie do matki, siedzącej pośrodku i czekającej cierpliwie, aż znów wyląduję u jej stóp.

Przeszło mi przez głowę, żeby znaleźć drogę z powrotem do kolejowego baraku, wysuszyć się tam i przed świtem ruszyć dalej, ale uznałem, że policja na pewno tam jeszcze zajrzy. Szczególnie jeśli John i jego siostra powiedzieli im, że mnie widzieli i że ciągle kręcę się po okolicy.

Choć po godzinie czy dwóch deszcz trochę zelżał, las wciąż był

mokry i kapiała na mnie woda z drzew. Całe ciało bolało mnie ze zmęczenia i zimna, ale nie znalazłem miejsca, gdzie mógłbym usiąść czy się położyć, żadnego schronienia. Wszelkie pomysły na temat życia w lesie wydały mi się nagle dziecięcymi fantazjami. Bo też były nimi. W końcu wyszedłem spod ociekających wodą drzew na pustą drogę, gdzie przynajmniej mogłem stawiać jedną nogę przed drugą bez potykania się o korzenie i gałęzie, bez obijania goleni i wykręcania kostek co parę kroków. Dzięki temu, że wcześniej rozejrzałem się po okolicy,

wiedziałem, że przy tej drodze, jakieś cztery kilometry dalej, jest mały supermarket. Ruszyłem tam w nadziei, że w pobliżu znajdę jakieś schronienie. O ile pamiętałem, przed sklepem stała budka telefoniczna i pewien pomysł zaczął dojrzewać mi w głowie.

Choć czułem się bezpiecznie, kiedy byłem samotny, to wiązał się z tym pewien problem. Miałem za dużo czasu na rozmyślania i zacząłem wspominać rzeczy, które zwykle spychałem na samo dno świadomości. A im więcej przypominałem sobie zdarzeń ze swojego krótkiego życia, tym

bardziej robiłem się wściekły i tym bardziej pewny, że to nie było w porządku. Przez lata zakładałem, że większość dzieci musi znosić przynajmniej część tego, co ja przeszedłem. Ale teraz, kiedy byłem starszy i miałem większe pojęcie o tym, jak wygląda życie innych ludzi, coraz lepiej rozumiałem, że to nieprawda. Mogłem się złościć na Pete'a, że zmienił szkołę, i mogłem się wściekać na mojego nowego kolegę, Johna, że na mnie doniósł, ale te przebłąski z ich życia, które dostrzegłem, pozwoliły mi zdać sobie sprawę, że moje życie nie jest

normalne. Widziałem, jak zszokowani byli moimi opowieściami o rodzinie – choć przecież wyjawilem im tylko niewielką część prawdy – więc na świecie musieli być też inni, którzy czuliby to samo, gdyby poznali moją sytuację. Może nie musiałem walczyć z tym sam. Może żyli gdzieś dobrzy ludzie, którzy mi pomogą, jeśli pójdę do nich i opowiem o wszystkim, co mnie spotkało. Nie mogłem ufać policji ze względu na gliniarza, który przychodził do wujka Douglasa, ale może były jakieś inne instytucje. Myśli kłębiły mi się w głowie,

kiedy tak wędrowałem na obolałych nogach, w mokrych, zimnych ciuchach, które ocierały mi skórę.

Przypomniałem sobie, jak Pete wspominał o telefonach zaufania dla dzieci źle traktowanych przez rodziny. Nigdy wcześniej nie pomyślałem, by zadzwonić pod taki numer, bo matka, Douglas i Amani tyle razy mi powtarzali, że nikt mi nie uwierzy, że w końcu uznałem, że to prawda. Matka zawsze kłamała tak przekonująco, ilekroć policja czy urzędnicy pytali ją o cokolwiek, że założyłem, że uwierzą jej, a nie mnie. I że odstawią mnie

z powrotem do domu, jeśli spróbuję poszukać pomocy. Myśl o tym, co matka mi zrobi, jeśli dorwie mnie po takiej zdradzie, przerażała mnie tak bardzo, że nigdy nie odważyłem się spróbować. Ale teraz, kiedy przemyślałem wszystko dokładniej i czułem się przed nią bezpieczny przez ponad tydzień, zacząłem widzieć sprawy trochę inaczej. Pete uwierzył we wszystko, co mu powiedziałem, John i jego paczka też, więc może i inni mi uwierzą.

Teraz, kiedy miałem czas przemyśleć to, co spotkało mnie przez ostatnich osiem lat, zaczęło do mnie docierać, że mój przypadek

jest ekstremalny. Jeśli Pete, John i reszta byli tak zszokowani ledwie strzępami prawdy, które przed nimi odsłoniłem, to nawet nie wyobrażałem sobie, jak zareagują ludzie, kiedy poznają całą moją historię. Może ci z telefonu zaufania też mi uwierzą i pomogą, tak jak Pete i dzieciaki przy torach. Ale do kogo najlepiej się zwrócić? Z mojego punktu widzenia to wszystko byli obcy. Mogli zrobić mi krzywdę, gdybym źle wybrał osobę, której się zwierzę.

Był jeden numer telefonu, który Pete podał mi swego czasu i który wbił mi się w pamięć, bo

celowo był łatwy do zapamiętania. Cyfry w kółko obijały mi się w głowie i zacząłem myśleć, że może Pete miał rację. Może ci ludzie rozumieją, co przeżywałem. Może mają wystarczająco dużo doświadczenia, by się zorientować, że mówię prawdę, i będą potrafili ochronić mnie przed matką, Amanim i Douglasem. Pomysł wydawał mi się coraz bardziej kuszący, gdy człapałem przemoczony tą ciemną, zimną, pustą drogą.

Kiedy dotarłem do małego wiejskiego sklepu, od razu wszedłem do budki telefonicznej,

by ochronić się przed deszczem i dać sobie parę chwil na przemyślenie co dalej. Byłem tak zmarznięty, przemoczony i głodny, że wreszcie do mnie dotarło, że nie dam sobie rady sam. Musiałem znaleźć kogoś godnego zaufania, kto mi pomoże i obroni mnie przed matką i resztą. Stałem tak, drżący z zimna, z wodą ściekającą mi za kołnierz z mokrych włosów. I nagle zauważyłem ulotkę przypiętą do tablicy nad aparatem, reklamującą ten sam telefon zaufania, o którym mówił mi Pete. To było jak znak. Jakby Bóg czy ktokolwiek inny chciał mi powiedzieć, co mam

robić. Ale nawet wtedy potrzebowałem długiej chwili, by zebrać się na odwagę i podnieść słuchawkę. Puls łomotał mi w uszach, kiedy z trudem wystukiwałem numer zgrabiałymi palcami.

Telefon dzwonił bardzo długo, nikt nie odbierał, więc po paru minutach odwiesiłem słuchawkę, po części wdzięczny, że nie muszę tłumaczyć obcej osobie, jak wyglądało moje życie. Odwaga znów mnie opuszczała. Bo co będzie, jeśli ci ludzie na drugim końcu linii zawiadomią policję i gliny odwiozą mnie do matki?

Było bardzo prawdopodobne, że matka zabije mnie za ucieczkę. Ale gdybym nie znalazł pomocy, pewnie i tak umarłbym z zimna i głodu. Stałem tak długą chwilę, próbując się uspokoić, aż w końcu znów podniosłem słuchawkę i jeszcze raz wybrałem numer. Wciąż żadnej reakcji po kilku sygnałach. Rozłączyłem się. Próbowałem jeszcze parę razy i tchórzyłem, zanim ktokolwiek odebrał. Jak miałem zaufać komukolwiek, skoro wszyscy mnie zawsze zdradzali, maltretowali albo opuszczali? Tata odszedł, Wally i Pete też, moi przyjaciele przy torach donieśli na

mnie. Co mnie podkusiło, by myśleć, że ludzie z telefonu zaufania będą inni? Ale na zewnątrz zrobiło się kompletnie czarno, a deszcz znów przybierał na sile. Jakie miałem wyjście? Nie mogłem spędzić reszty życia w budce telefonicznej. Wybrałem numer jeszcze raz i zanim zdążyłem się rozłączyć, usłyszałem spokojny, miły, kobiecy głos.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Stałem tak, niemy jak przez te wszystkie lata, ze ściśniętym gardłem. Mój mózg nie potrafił zmusić ust do pracy.

– Jesteś jeszcze na linii? –

spytała po chwili kobieta. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Matka mnie bije – wymamrotałem w końcu.

– Okej – odparła, jakby to, co usłyszała, było zupełnie normalną rzeczą. – Skąd teraz dzwonicz?

– Bo co? – rzuciłem, natychmiast ogarnięty podejrzliwością. Niewiele brakowało, bym natychmiast uciekł w deszcz.

– Muszę tylko wiedzieć, czy jesteś w bezpiecznym miejscu. Dzwonicz z czyjegoś domu?

– Nie, z budki.

– Jest dość późno, wyszedłeś

o tej porze z domu?

– Nie, kurwa, uciekłem! –
Wkurzyłem się, ale wiedziałem, że
muszę się uspokoić, jeśli chcę, żeby
ta kobieta mi pomogła.

– Och, w porządku. – Nie
wydawała się speszona moją
złością ani przekleństwem. Może
mój telefon nie był taki niezwykły.
Może była przyzwyczajona do
strachu i agresji u dzwoniących
dzieciaków. – Długo już uciekasz?

– Po co te wszystkie pytania?
Co pani zrobi, żeby mi pomóc?

– Przede wszystkim muszę
wiedzieć, jak masz na imię.

– Po co?

– Nie wiem, jak się do ciebie zwracać. Ja jestem Susan. A ty?

Nie odpowiedziałem od razu. Zacząłem się martwić, że ten telefon okaże się błędem, ale z drugiej strony miło było siedzieć w suchym miejscu i rozmawiać z kimś przyjaznym.

– Joe – odparłem w końcu.

Gadała przez chwilę, nie zadając zbyt wielu pytań.

– Skoro uciekłeś – stwierdziła – na pewno jest ktoś, kto się o ciebie martwi. A po ulicach nocami chodzą źli ludzie, którzy mogą ci zrobić krzywdę.

– Nie – zaprzeczyłem

żarliwie. – Tu jestem bezpieczny. To w domu robią mi krzywdę i różne obrzydliwe rzeczy.

Nie musiała mi mówić, ilu złych ludzi jest na świecie, bo poznałem paru z nich osobiście i aż za dobrze wiedziałem, że to nie obcy w krzakach są niebezpieczni. Niebezpieczna była moja rodzina i ludzie, którym mnie sprzedano. Wiedziałem o świecie więcej niż ta kobieta z całym jej zawodowym przygotowaniem i dobrymi chęciami.

– Skąd jesteś? – spytała, zmieniając taktykę. Nie odpowiedziałem. Choć była bardzo

miła, ta rozmowa nie szła tak, jak się spodziewałem i jak miałem nadzieję. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale nie byłem przygotowany na tyle pytań.

Nagle oznajmiła, że ma problem z telefonem.

– Przełączę się na inny – zaproponowała. – Poczekaj chwilkę, Joe. Nie rozłączaj się. Zaraz wracam.

Coś w jej głosie budziło zaufanie, więc poczekałem, tak jak mnie prosiła. Myślałem o tym, czy się nie rozłączyć, ale wtedy musiałbym zaczynać wszystko od początku, gdybym zdecydował się

zadzwoić jeszcze raz. Stałem tak, gapiąc się w ciemność i deszcz za szybą. Miałem wrażenie, że Susan nie odzywa się całe wieki, ale tak naprawdę trwało to może z pół minuty. Kiedy wróciła, zagadywała mnie jeszcze przez chwilę. Pytała o mnie, o to, co zamierzam... Aż nagle zalał mnie blask reflektorów samochodu, przygważdżając w szklanej budce jak zająca na drodze. Obróciłem się i dostrzegłem charakterystyczną maskę radiowozu, zatrzymującego się przed budką. Kiedy z auta wysiadł policjant i zaczął wciągać na siebie pelerynę

przeciwdeszczową, okazało się, że to ten sam, któremu uciekłem parę nocy wcześniej przy torach. Wiedziałem, że muszę działać szybko, bo facet – wiedząc, jaki jestem zdesperowany – na pewno tym razem nie zaryzykuje, że mu zwieję. Rzuciłem słuchawkę, otworzyłem drzwi i ruszyłem biegiem. Ale tym razem spodziewał się tego i chwycił mnie za plecak, kiedy go mijałem. Zatrzymało mnie szarpnięcie.

– No już, spokojnie. Joe, uspokój się! – Jego głos nie był tak zagniewany, jak się spodziewałem, biorąc pod uwagę fakt, że ostatnim

razem nieźle przeciągnąłem go po krzakach. Szczerze mówiąc, brzmiał dość przyjaźnie.

– Odpieprz się! – krzyknąłem, szamocząc się bezskutecznie. – Nie wrócę tam! Odpieprz się! Nie wrócę do tych gnoi!

Byłem przekonany, że zdradziła mnie kobieta z telefonu zaufania. Oczywiście możliwe, że radiowóz przejeżdżał tamtędy przypadkiem, akurat w tym momencie. Ale wydawało się to mało prawdopodobne. Jakie były szanse, że pojawi się na środku pustkowiecia o tej porze nocy, akurat kiedy rozmawiałem z tą kobietą?

Znów miałem wrażenie, że poprosiłem o pomoc i zostałem wystawiony do wiatru. Byłem tak wściekły, że straciłem panowanie nad sobą – rzucałem się, tłukłem pięściami, kopałem i wrzeszczałem, a gliniarz z trudem sobie ze mną radził.

– Przestań się miotać, Joe – powtarzał i próbował trzymać mnie na odległość wyciągniętej ręki, żebym go nie dosięgnął. – Proszę cię. Tym razem cię nie puszcę, więc nawet nie próbuj uciec.

W końcu się zmęczyłem. Był o wiele silniejszy ode mnie i zrozumiałem, że mnie nie puści,

choćbym go tłuł z całej siły. Pozwoliłem się zapakować na tylne siedzenie radiowozu. Postanowiłem udawać, że policjant wygrał, i poczekać na lepszą okazję ucieczki. Zawiózł mnie na maleńki miejscowy posterunek policji – w zasadzie tylko biuro przyklepione z boku do jego domu, ale przynajmniej było tu ciepło i sucho. Kiedy już weszliśmy do środka, zapalił światło, zamknął za sobą drzwi na zamek, posadził mnie i zaparzył nam po kubku herbaty.

– No dobrze – zaczął, kiedy już się uspokoiłem i uznał, że da się ze mną normalnie pogadać. –

Wiemy, kim jesteś. Pasujesz do opisu zaginionego chłopca, który uciekł z domu.

– Kurwa, nie możecie mnie tam odesłać! – wrzeszczałem na nowo. – I jak mnie, kurwa, znaleźliście w tej pieprzonej budce?

– Wiedzieliśmy, że tam jesteś – odparł tylko. – Powiedziano nam, że twierdzisz, że mama cię bije. To prawda?

Nie odezwałem się. Wiedziałem, że wszystko, co teraz powiem, trafi do jej uszu. I że matka mnie zabije, jak tylko będzie miała okazję. Nie chciałem jeszcze

bardziej pogarszać sprawy, oskarżając ją o rzeczy, w które i tak nikt nie uwierzy. Wyglądało na to, że popełniłem ogromny błąd. Niepotrzebnie w ogóle z kimkolwiek rozmawiałem, więc postanowiłem chociaż teraz trzymać język za zębami.

– Kurwa, nie wrócę tam – wymamrotałem, mobilizując całą odwagę, by ukryć przerażenie, które zaczęło wypierać gniew. – Nie zmusicie mnie. Nie będę z panem rozmawiać. Nie ma pan prawa mnie tu trzymać.

– Owszem, mam – zaprzeczył cierpliwie. – Jesteś nieletni, więc

muszę zastosować areszt dla twojego dobra.

– Nie muszę robić niczego, co mi każesz, ty fiucie! – zawarczałem. Jak osaczony pies walczyłem do samego końca, gotów ugryźć każdą dłoń, która się zbliży, i to dosłownie. Już nieraz gryzłem ludzi.

– Jada po ciebie funkcjonariusze z posterunku w twoim rejonie – powiedział. – To oni badali sprawę twojego zaginięcia.

Poczułem lodowaty dreszcz. Czy jednym z nich będzie mężczyzna z kajdankami? A może to

jego koledzy? Pewnie przeczyta ich raport i dowie się, co mówiłem. Czy przekaże go Douglasowi, który potem powtórzy to Amaniemu i matce? Zamilkłem. Znowu ukryłem się za maską milczenia, które było moim schronieniem przez tyle lat. Wbiłem oczy w podłogę, jak mnie nauczono. Policjant dał mi spokój i jakąś godzinę czy dwie później przyjechali po mnie tamci.

– To jest Joe – przedstawił mnie ten pierwszy. – Jest dość trudny, łagodnie mówiąc. Trzymajcie go mocno, bo lubi zwiewać.

Policjanci woleli nie

ryzykować. Jeden z nich wyjął kajdanki – dokładnie takie same jak te, w które tak często mnie zakuwano, gdy gwałcił mnie jego kolega. Zapiął mi je na nadgarstkach, przypiął mnie do siebie i poprowadził na tylne siedzenie nieoznakowanego samochodu. Dotyk zimnej stali wpijającej mi się w ciało przypomniiał mi doświadczenia z policjantem w domu Douglasa. Zacząłem się trząść i nie mogłem nad tym zapanować. Czułem się, jakbym wracał do nich, i to podany na talerzu. Jakby sięgnęli aż tutaj i wciągnęli mnie z powrotem

w swoją sieć. Jakby na całym świecie nie było bezpiecznego miejsca, w którym nie mogliby mnie znaleźć i sprowadzić do siebie. Skoro już byłem w rękach policji, ile czasu potrzeba, by tamten gliniarz usłyszał, że mnie złapali, i powiedział Douglasowi i reszcie, gdzie jestem i co mówiłem? Wszystko, co od tej pory powiem, będzie zapisane i nagrane. I tamci się dowiedzą, że na nich doniosłem. Bóg jeden wiedział, co mi zrobią, jeśli tak się stanie. Wszystkie te paniczne myśli wirowały mi w głowie, kiedy siedziałem w samochodzie obok

policjanta, który wsiadł ze mną z tyłu.

Jeden z gliniarzy próbował mnie zagadywać po drodze, ale nie odpowiadałem. Nie byłem nawet pewien, czy udałoby mi się wydusić jakieś słowa ze ściśniętego strachem gardła. Dobrze wiedziałem, że jeśli ktoś próbuje być dla mnie miły, zwykle kończy się to źle. Nie mogłem stracić czujności, musiałem się pilnować. Mimo że mnie złapali i wieźli w kajdankach do domu, ten krótki haust wolności trochę mnie ośmielił. Nie czułem się już tak całkowicie bezradny. Naprawdę

miałem jakiś wybór, dopóki nie siedziałem zamknięty w jednym pomieszczeniu z matką, Amanim czy Douglasem. Mogłem jeszcze mieć jakiś wpływ na to, co się ze mną stanie, jeśli tylko będę obstawał przy swoim i nie dam się łatwo stłamsić.

– Przysięgam na Boga – powiedziałem, kiedy już uspokoilem się na tyle, że byłem w stanie cokolwiek wykrztusić. – Jeśli mnie odwieziecie do domu, zabiję tę pieprzoną sukę.

– To, co mówisz, nie jest zbyt miłe – odparł. – Mama bardzo się o ciebie martwi. To taka miła

osoba.

– Kurwa, miła osoba? Nic nie wiecie, kurwa! Zatlucze mnie na śmierć, jak mnie tam odwieziecie. Przysięgam, że ją potnę nożem, jeśli będę musiał tam wrócić.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? Twoja mama się martwi i chce, żebyś wrócił do domu.

Wyobrażałem sobie, jak pięknie przed nimi zagrała, opowiadając im, jakie to ze mnie trudne dziecko i jakie piekło ze mną przeżywa. I jak to straciła ukochanego męża w strasznym wypadku, i od tamtej pory ma ze mną same kłopoty. Słyszałem to

wiele razy. To, jak się teraz zachowywałem, tylko potwierdzało wszystko, co o mnie mówiła. Dotarło do mnie, jak duże jest prawdopodobieństwo, że odwiozą mnie prosto do domu, z którego uciekłem tydzień wcześniej. Znow zacząłem szaleć jak dzikie zwierzę, które próbuje uciec z klatki. Musiałem im pokazać, jak bardzo nie chcę wracać do matki.

– Nie wrócę do domu! – krzyczałem. – Nie wracam, kurwa! Ona mnie zabije!

– Uspokój się, uspokój. – Policjant próbował mnie unieruchomić na siedzeniu, po

którym miotałem się dziko. – Nie wieziemy cię do domu, wieziemy cię na posterunek.

– Oni mi znowu zrobią krzywdę.

– Kto ci zrobi krzywdę?

– Mój brat – wypaliłem, wciąż za bardzo przestraszony, żeby wspomnieć o Douglasie i jego kolegach.

– Dlaczego brat miałby ci zrobić krzywdę?

– Ciągle mi wsadza kutasa w tyłek! – powiedziałem, sam zszokowany, że naprawdę wymówiłem te słowa. I zawstydzony, że przyznałem się do

czegoś takiego. Żaden chłopak nie lubi opowiadać, że został zgwałcony, a już szczególnie przez własnego brata, nawet jeśli wie, że to nie jest jego wina.

– Z całą pewnością nie wracasz do domu – zapewnił mnie gliniarz. – Proszę cię, uspokój się. Musisz nam zaufać.

– Zakuliści mnie w kajdanki – wskazałem swoje nadgarstki – i ja mam wam ufać?

– Okej – powiedział policjant po chwili namysłu. – Zdejmę ci je, żebyś wiedział, że mówię poważnie.

Drzwi były zablokowane,

więc i tak nie mogłem uciec, ale poczułem ulgę, kiedy zdjął mi kajdanki. Miałem nadzieję, że powoli odzyskuję ich zaufanie. Oddychałem głęboko, żeby się trochę uspokoić. Nie chciałem popełnić błędu. Musiałem być gotowy do ucieczki przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nawet jeśli ci gliniarze zaczęli gadać, jakby mnie rozumieli, wciąż nie ufałem im ani odrobinę. I nie zamierzałem spędzić na żadnym posterunku ani chwili dłużej niż to konieczne. Byłem przerażony, że spotkam tam kumpla wujka Douglasa i będę całkowicie zdany na jego łaskę.

Kiedy dojechaliśmy na posterunek, zostałem szybko odprowadzony do pokoju przesłuchań. Nie miałem szansy zwiać. Posadzili mnie z kolejnym kubkiem herbaty i jakiś wyższy rangą policjant dołączył do tego, który siedział ze mną z tyłu samochodu. Ich podejście zupełnie się zmieniło. Zaczęli łagodnie wypytywać mnie, co zaszło w domu między mną a bratem. Wyglądało na to, że wspominając o gwałcie, uruchomiłem jakiś proceduralny dzwonek alarmowy i musieli potraktować to oskarżenie poważnie. Może zaczęło im świtać,

że są jakieś inne powody mojego zachowania niż te, które im wmawiano. Po raz pierwszy dorośli ludzie mający jakąś władzę naprawdę mnie słuchali. Oczywiście było im też żal mojej matki, bo wyobrażali sobie, jaka będzie zdruzgotana wieścią, co kombinował jej starszy syn pod jej dachem. Ale wciąż nie byłem gotów opowiedzieć, jaki udział miała matka w moim koszmarnym życiu.

Nie chciałem zdradzać policjantom więcej szczegółów, niż to było konieczne, ale musiałem powiedzieć dość, by zdali sobie

sprawę, że nie mogą puścić mnie do domu, nawet na chwilę, dopóki nie zakończą śledztwa. Kombinowałem gorączkowo, w jaki sposób najlepiej się ochronić. Larry i Barry maltretowali mnie we dwóch, ale to Larry zawsze był prowodyrem, więc ograniczyłem swoje oskarżenie do niego. Wystarczająco trudno było się przyznać, że gwałcił mnie jeden brat, wciąganie w to drugiego byłoby jeszcze większym upokorzeniem. A poza tym, gdybym opowiedział wszystko, mogliby mi nie uwierzyć. Nie wiem, dlaczego nie wspomniałem im o matce,

Amanim i wujku Douglasie. Pewnie ciągle wstydzilem się przyznać, w jak straszny sposób byłem wykorzystywany. Czułem się brudny, upokorzony i współwinny wszystkiego, do czego zmuszano mnie przez lata.

Choć cieszyłem się, że wreszcie mnie słuchają i że nie traktują moich słów jak kłamstwa, to z drugiej strony coraz bardziej bałem się, że powiedziałem za dużo. Bycie niezauważanym zapewnia pewien stopień bezpieczeństwa. Teraz nagle znalazłem się w świetle jupiterów, w centrum zainteresowania, i było

to przerażające. Wiedziałem, że kiedy matka o tym usłyszy, będzie chciała mnie zabić. A Larry ustawi się w kolejce zaraz za nią. Teraz, kiedy wyskoczyłem z tym oskarżeniem, tym bardziej nie mogłem dopuścić, żeby policja odesłała mnie do domu.

– Możesz nam podać więcej szczegółów? – pytali w kółko.

– Nie – odpowiadałem, wbijając wzrok w podłogę. – On po prostu ciągle się do mnie dobiera.

Kiedy już mnie wysłuchali, uznali, że moje oskarżenia są na tyle wiarygodne, by wezwać opiekę

społeczną. Cieszyłem się, że traktują mnie poważnie, ale też bałem się, że teraz spotkam się z ludźmi, którzy od dawna wiedzieli o moich problemach z zachowaniem. Od chwili, kiedy ugryzłem pierwszą opiekunkę społeczną, która przyszła do domu, do momentu, kiedy uciekłem. Mieli całą kartotekę dowodów, że jestem agresywny i zaburzony. Czy oni nie pomyślą, że zmyśliłem tę historię o Larrym, żeby tylko narobić rodzinie jeszcze większych problemów?

Kiedy przyszła pracownica opieki społecznej i policjanci

przedstawili jej sytuację, od razu widziałem, że nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. Ale musiała postępować zgodnie z procedurą.

– Rozmawialiśmy z twoją mamą – zaczęła. Wyobrażałem sobie, jak matka dwoiła się i troiła, by wypaść wiarygodnie podczas tej rozmowy. – Powiedziała nam, że zawsze miałeś zły wpływ na rodzinę – ciągnęła ta kobieta. – Powiedziała, że całe życie stwarzałeś problemy.

W milczeniu gapiłem się w podłogę. Wiedziałem, że jeśli powiem na głos to, co mi chodzi po głowie, tylko potwierdzę jej

uprzedzenia. Kiedy przejrzeni moje akta, znaleźli wszystkie notatki o traumie po śmierci taty. A teraz jeszcze policja słyszała, jak wściekam się i przeklinam. I odgrażam się, że zabiję matkę, jeśli mnie odeślą do domu. Wszystko wskazywało na to, że matka jest w porządku i że to ja stanowię problem. Może próbowaliby wnikliwiej przyjrzeć się przyczynom mojego zachowania, gdyby nie mieli tak doskonałego wytłumaczenia w postaci śmierci ojca. A tak, kiedy patrzyli na mnie, widzieli tylko agresywnego rozrabiakę, który

przeszkadza innym dzieciom w szkole i przyprawia swoją biedną rodzinę o wieczny ból głowy. Moją jedyną nadzieją było, że uwierzą w to, co powiedziałem o Larrym. A przynajmniej uznają to za na tyle prawdopodobne, by nie odesłać mnie do domu.

– Ze względu na powagę twoich oskarżeń wobec brata – powiedzieli mi – będziesz musiał pójść do placówki opiekuńczej, dopóki nie zbadamy tej sprawy.

Ku mojej uldze wysłali mnie do przejściowego domu dziecka, gdzie trzyma się nieletnich, dopóki opieka społeczna nie wymyśli, co

będzie dla nich najlepsze – dom, opieka zastępcza, adopcja, jaki rodzaj edukacji i tak dalej. Był to ogromny budynek przypominający szpital, zimny i onieśmielający. Wyglądał raczej na więzienie niż na dom dziecka. Całe jedno skrzydło budynku zajmowały biura opieki społecznej, a nasze ruchy śledziło mnóstwo kamer, więc trudno mówić w takich warunkach o jakimkolwiek zaufaniu. Dyscyplina była surowa, ale sprawiedliwa. Opieka chyba naprawdę chciała znaleźć jakiś sposób, by uratować mnie przed samym sobą, ale jakoś nie

potrafiłem im się podporządkować i mocno nadużywałem ich cierpliwości.

Choć ciągle sprawiałem problemy, miałem przynajmniej poczucie, że tamten policjant dotrzymał słowa i nie odesłał mnie do domu. Może jednak była jakaś nadzieja, że kiedy już przeprowadzą śledztwo, uwierzą mi i pozwolą nie wracać do matki i reszty tej bandy, dopóki nie będę dość duży, by żyć samodzielnie.

Dzień po moim przyjeździe do domu dziecka odwiedził mnie ten sam policjant, który przywiózł mnie samochodem do mojego miasta.

– Zatrzymaliśmy twojego brata – powiedział, a mnie serce podskoczyło z radości. Gdyby Larry się przyznał, byłem skłonny powiedzieć im wszystko, nawet o wujku Douglasie i jego kumplach. Nawet o policjancie z kajdankami. – Wszystkiemu zaprzeczył. Twoja mama mówi, że jesteś kłamczuchem. Rozmawialiśmy też z twoją szkołą i oni także twierdzą, że mają z tobą same kłopoty.

Moje nadzieje padły na pysk równie szybko, jak przed chwilą wzbiły się pod niebo. Mogłem się tego spodziewać, nie zamierzali mi wierzyć. Nie odezwałem się

słowem. Gapiłem się tylko w podłogę i czekałem, aż ten człowiek mi powie, jaki czeka mnie los.

– Ale twoja mama ma cię tak dość, że nie chce cię z powrotem. Jest u kresu wytrzymałości.

Nagle znów pojawiła się nadzieja, nawet jeśli wszyscy dookoła wciąż woleli wierzyć, że to ja jestem problemem, a nie matka i Larry. Wszystko jedno z jakiego powodu miałem tu zostać. Najważniejsze, że wreszcie zdołałem wyrwać się z domu, spod żelaznej pięści matki. Niech sobie wszyscy myślą, że jestem kłamcą

i rozrabiaką, ale przynajmniej przez jakiś czas nikt mnie nie będzie bił i molestował. Podejrzewałem, że matka zaczęła panikować po wizytach policji. Dopóki byłem niemy czy zbyt przerażony, by mówić, czuła się bezpieczna. Ale teraz wreszcie znalazłem w sobie odwagę, by używać głosu, i choć tym razem nikt mi nie uwierzył, zagrożenie wciąż istniało – ciągle wszystko mogło się wydać. Skoro już raz odważyłem się zwierzyć policjantom, nie mogła liczyć na to, że zdoła nade mną zapanować w przyszłości. Zakładam, że właśnie dlatego stwierdziła, że nie

chce mnie z powrotem.

W domu dziecka sypialiśmy w dormitoriach, gdzie nasze łóżka rozdzielone były jedynie parawanami, i personel ciągle do nas zaglądał. Sprawdzali nas przez całą noc. Nie było to zbyt przytulne miejsce, ale i tak czułem się tu bezpieczniej niż kiedykolwiek w domu. Wiedziałem, że tu przynajmniej nikt mnie nie zaatakuje, nie będzie zmuszał do rzeczy, których nie chciałem robić. Najgorsza była nuda. Wiecznie siedzieliśmy w świetlicy i gapiliśmy się w telewizor albo graliśmy w bilard. Ale i do nudy

byłem przyzwyczajony. W domu przesiadywałem sam całymi godzinami, czy to w ciemnej celi, czy w sypialni, gdzie nie wolno mi się było ruszyć i niczego robić.

Personel domu spędzał większość czasu na indywidualnych rozmowach z nami, więc reszta nie miała co robić, kiedy ktoś szedł do gabinetu. Nikt z wychowawców nie miał czasu bawić się z nami ani nawet poznać nas lepiej. Wypełniali tylko obowiązki. Pod tym względem bardziej przypominali więziennych strażników niż opiekunów. Podejrzewam, że gdyby wtedy ktoś

miał dość czasu, by usiąść ze mną i zdobyć moje zaufanie, pewnie zacząłbym mówić o swoich przeżyciach. Ale ja traktowałem wszystkich podejrzliwie – przecież zdradzono mnie już tyle razy – i nikomu nie chciało się przewyciężyć mojej nieufności.

Większość dzieci znikła z tego domu dość szybko po przyjęciu, ale ja byłem jednym z najtrudniejszych przypadków i zdaje się, że mieli problem z wymyśleniem, co ze mną zrobić. Żyłem w wiecznej niepewności, jaka ostatecznie zapadnie decyzja – przerażony, że matka zmieni zdanie

i stwierdzi, że chce mnie z powrotem, a oni odeślą mnie do domu tylko dlatego, że nie wiedzą, gdzie mnie upchnąć.

Kiedy już zakończyła się moja ocena psychologiczna, powiedzieli mi, że albo odeślą mnie do matki, albo do innego domu dziecka, na dłużej; albo znajdą mi opiekunów zastępczych. Ale jacy opiekunowie, myślałem, będą się chcieli zajmować nastolatkiem, który ma niewyparzoną gębę i który uważa, że cały świat jest przeciwko niemu? Rozrabiaką i uciekinierem? A gdyby nawet jacyś mnie wzięli, to jaką miałem gwarancję, że nie

będą mnie dręczyć i molestować tak samo jak wszyscy inni? Pozostanie w domu dziecka wydawało mi się najlepszym rozwiązaniem, ale mogłem tylko mieć nadzieję i czekać, co postanowią ludzie, których nawet nie znałem. To przerażające uczucie, nie mieć absolutnie żadnego wpływu na to, co się dzieje w twoim życiu.

To tu, to tam

Kiedy już wchłonał mnie system opieki państwowej, przez kilka tygodni przerzucali mnie z jednego do drugiego domu dziecka, próbując wymyślić, co ze mną zrobić. Wiem, że każdy, kto chciał mi pomóc, miał ze mną niemały

problem. Byłem tak wściekły na świat, tak podejrzliwy wobec wszystkich, że nie zamierzałem nikomu dać szansy. W przeszłości zawsze, jeśli ktoś okazywał mi dobroć, kończyło się to rozczarowaniem. Tata umarł, Wally i Pete odeszli. Douglas próbował mnie przekupić garściami cukierków. John, a nawet ta kobieta z telefonu zaufania, wydali mnie policji. Teraz nie ufałem żadnemu z wychowawców, choć twierdzili, że chodzi im wyłącznie o moje dobro. Uznałem, że lepiej trzymać ich wszystkich na dystans, jeśli nie chcę znów cierpieć. Dlatego

robiłem, co mi się podobało, i traktowałem wszystkich fatalnie – zachowywałem się dokładnie tak, jak mówiła matka. Byłem koszmarem i po krótkim czasie wszyscy wychowawcy kombinowali, jak by zwalić ten problem komuś innemu na głowę. Sprawiałem takie kłopoty, że nikomu nie chciało się ze mną szarpać.

Jakiś miesiąc po tym, jak policjant zgarnął mnie z budki telefonicznej, stało się najgorsze, co mogło się stać. Ktoś zdołał przekonać matkę, żeby wzięła mnie z powrotem do domu. Może sądzili,

że wyświadczają mi przysługę, namawiając ją, żeby dała mi jeszcze jedną szansę. Nie wiem, co sprawiło, że zmieniła zdanie. Może przemyślała sprawę i uznała, że bezpieczniej będzie trzymać mnie blisko i wiedzieć, co opowiadam ludziom. A może po prostu brakowało jej pieniędzy, które płacił za mnie wujek Douglas. Kiedy mi powiedzieli, jaka decyzja zapadła w mojej sprawie, wpadłem w szal, tak samo jak w policyjnym wozie miesiąc wcześniej. Nie zamierzałem potulnie dać się odwieźć, ale tym razem nikt nie zwracał na mnie uwagi. Z ich

punktu widzenia byłem tylko uciążliwym gówniarzem, który potrafił nawet fałszywie oskarżyć brata, by postawić na swoim. Chcieli się mnie jak najszybciej pozbyć, więc troje opiekunów z domu dziecka unieruchomiło mnie, zapakowało na tył białej furgonetki i odwiozło do mamusi, wrzeszczącego i miotającego się przez całą drogę. Czułem, że nic, co zrobię czy powiem, nie przekona ich, że popełniają błąd. Że oddają mnie w ręce samego diabła. Że wiozą mnie na egzekucję. To było jak jeden z moich koszmarów, w których próbowałem dostać się

do drzwi, ale coś ciągnęło mnie do tyłu. Mogłem szamotać się w tym samochodzie do upadłego – on i tak jechał do domu matki. Wychowawcy nie zwracali uwagi na moje błagania i krzyki, jakbym znów był niemy.

Dowieźli mnie do domu i zaprowadzili pod drzwi, trzymając tak mocno, że nie mogłem nawet drgnąć. Moja czarująca mama z radością przywitała w domu syna marnotrawnego, przez co w oczach wychowawców tym bardziej wyszedłem na niewdzięcznego bachora. Kiedy tylko wyszli i drzwi zamknęły się

za nimi, uśmiech zniknął z jej twarzy i wściekłość, której się spodziewałem, wykipiiała z niej jak wulkan.

– Chodź tu! – rozkazała.

Chwyciła mnie za włosy i powlokła do rodzinnego salonu, tego z wiecznie zaciągniętymi zasłonami. Wiedziałem, że już po mnie. Amani pojawił się znikąd, kiedy tylko usłyszał, że pracownicy domu dziecka odjeżdżają, i we dwójkę wygarbowali mi skórę jak nigdy dotąd. Po raz pierwszy próbowałem walczyć, nie chciałem się położyć, nie chciałem spokojnie tego znosić, ale to tylko podsyciło

ich furię. Oboje byli o wiele więksi i silniejsi ode mnie. A razem byli niepokonani. Amani używał pasa. Kiedy już padłem na podłogę, zaczęli mnie kopać, okładać pięściami, tłuc czym popadło z całej siły. Rzucali mną po pokoju jak szmacianą lalką, walili moją głową o ściany. Miałem wrażenie, że naprawdę próbują mnie zabić.

— Co powiedziałaś tym pieprzonym glinom, cholerny gnojku?! — wrzeszczał Amani. Pewnie bał się, że skończą się interesy z wujkiem Douglasem i jego kolegami. A ja nie mogłem nawet złapać tchu, by go uspokoić

i zapewnić, że go nie wydałem.

– Mówiłam ci, że cię zatłukę, jeśli piśniesz choć słowo, co się dzieje w rodzinie! – krzyczała matka i kopała raz po raz moje rozciągnięte ciało.

Ciosy były tak silne, że zacząłem wymiotować. Kiedy matka i Amani wreszcie się zmęczyli, a ja leżałem na podłodze jak kupa łachmanów, zawołali Larry'ego i Barry'ego, żeby mnie pilnowali. Bracia zdarli ze mnie ubranie i zrobili ze mną, co chcieli. A ja byłem zbyt słaby i obolały, żeby się opierać.

– Już ja ci dam powód do

skarg – wycedził Larry przez zaciśnięte zęby, biorąc się do roboty.

Kiedy ze mną skończyli, byłem tak posiniaczony i poobijany, że nie było mowy o tym, żeby puścić mnie do szkoły, bo wszyscy zobaczyliby, co mnie spotkało. Matka zatrzymała mnie w domu przez tydzień pod pretekstem, że jestem chory. O ile wiem, nikt z opieki społecznej nie przyszedł sprawdzić, czy dobrze się czuję w domu. Nikt ze szkoły nie sprawdził, czy naprawdę jestem chory. Nikt nie uwierzył w ani jedno moje słowo, za to przedstawienie matki przekonało

ich w stu procentach. A może po prostu uznali, że cała nasza rodzina to przegrana sprawa i za duży kłopot.

Przez ten tydzień ktoś z rodziny pilnował mnie całą dobę, by mieć pewność, że nie spróbuję uciec albo nie dopadnę jakiegoś narzędzia, którym mógłbym się bronić. Bili mnie i gwałcili, kiedy tylko nasza ich ochota. Ale nawet matka wiedziała, że nie mogą mnie więzić w nieskończoność, skoro świat wie już o moim istnieniu, więc po tygodniu, kiedy większość widocznych ran się zagoiła, musieli puścić mnie do szkoły, jeśli nie

chcieli ryzykować kolejnej wizyty urzędników z opieki. Przez całą niedzielę matka odgrażała się, co ze mną zrobi, jeśli pisnę komuś choćby słówko. Nie mogła się zamknąć, wrzeszczała cały czas, aż kręciło mi się od tego w głowie. W końcu przycisnęła mi nóż do szyi.

– Mówię ci, kurwa! – wrzasnęła. – Następnym razem cię zabiję!

I wierzyłem jej.

W poniedziałek rano odprowadziła mnie pod samą bramę szkoły. Przez całą drogę nie odezwałem się słowem.

Wpatrywałem się prosto przed siebie, czekając na okazję. Kiedy tylko zobaczyłem, że matka jest już poza terenem szkoły, wyszedłem na uliczkę na tyłach budynku. Tym razem nawet nie zwracałem sobie głowy pozbywaniem się mundurka. Teraz, kiedy już wiedziałem, że mogę po prostu wyjść, nie zamierzałem tu spędzić ani chwili. W domu i tak mnie tłukli, więc co miałem do stracenia?

Tym razem nie miałem planu. Prawdę mówiąc, byłem jeszcze trochę oszołomiony, ale ruszyłem w tym samym kierunku, co poprzednio. Szedłem najwyżej

godzinę, kiedy przede mną zatrzyma się radiowóz. Z miejsca pasażera wysiadł policjant i ruszył w moją stronę. Zastanawiałem się, czy nie uciec, ale byłem zbyt zmęczony i wiedziałem, że i tak pewnie mnie złapie, więc tylko stanąłem i czekałem, aż podejdzie.

– A dokąd ty idziesz, synku? – spytał.

Trzymał mnie mocno, a kierowca skontaktował się z bazą przez radio i dowiedział się, że zaginałem.

– Chodź, chłopcze – powiedział. – Wracamy do szkoły.

Kiedy dojechaliśmy na

miejsce, odprowadzili mnie do dyrektora. Spytał, co się dzieje i dlaczego się tak zachowuję.

– Nie wrócę do domu – rzuciłem, nie odrywając oczu od podłogi.

– Dlaczego nie? – zainteresował się.

– Bo znowu mi robią krzywdę – odparłem. Nie potrafiłem wyjaśnić tego w żaden inny sposób.

– Co mogę zrobić, żeby zatrzymać cię w szkole, Joe?

Był to dobry nauczyciel starej daty i wiedział, że w moim przypadku, z moimi trudnościami z nauką, możliwie długa edukacja

jest wyjątkowo istotna. Doceniałem jego chęci i troskę, ale nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda moje życie. Ktoś, kto nie przeżył czegoś takiego, nie był w stanie sobie tego wyobrazić. Wzruszyłem ramionami, bo nie znalazłem żadnej odpowiedzi. Dyrektor westchnął i w ruch poszła zwykła procedura. Wezwano opiekunkę społeczną, żeby się mną zajęła – kolejną osobę, która wzięła mnie na bok i próbowała wydobyć ode mnie wyjaśnienie, co się dzieje w mojej głowie. I znów powiedziałem im, że jeśli mnie odeślą z powrotem, zdemoluję dom i tym razem zrobię

krzywdę matce.

– Naprawdę zrobię jej krzywdę – zarzekałem się.

To były tylko czcze pogrożki, bo chociaż rosłem – miałem już prawie czternaście lat – matka i tak była dziesięć razy silniejsza ode mnie, kiedy się wściekła. Byłem jednak tak zdesperowany, że gdybym dorwał jakiś ostry przedmiot, dźgnąłbym ją, jestem pewien. Pracownicy opieki społecznej, widząc moje agresywne zachowanie, chyba zaczęli się niepokoić, że naprawdę zrobię coś złego. Nie mogli wiedzieć, że kiedy wracam do domu, ktoś cały czas

mnie obserwuje i nie mogę nawet zbliżyć się do kuchni czy innego miejsca, w którym znalazłbym jakąś broń.

– Skontaktowaliśmy się z twoją mamą – powiedziała opiekunka społeczna mimo moich pogroźek.

– Jak tu przyjdzie, to ją, kurwa, zabiję! – krzyknąłem.

Jakbym gadał do siebie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Czasami zastanawiałem się, po co w ogóle uczyli mnie mówić, skoro nikt nie miał zamiaru słuchać, co mam do powiedzenia. Matka zjawiała się w gabinecie dyrektora,

żeby zabrać mnie do domu, jakby to, co się stało, było tylko drobnym naruszeniem szkolnych zasad. Kiedy weszła, całkiem mi odbiło. Nie obchodziło mnie już, czy usłyszy, co mam o niej do powiedzenia. Wiedziałem, że i tak mnie zabije, jeśli dorwie mnie w swoje łapy. Nie zamierzałem już siedzieć z oczami wbitymi w podłogę, bez słowa na swoją obronę.

– Chodź, Joe – rzekła tym swoim rozsądnym głosem, a ja zacząłem szaleć po gabinecie, rozwalać wszystko, co dyrektor miał na biurku, demolować

pomieszczenie jak obłąkaniec. – Zawsze to tak wygląda – wyjaśniła. Odsunęła się i pozwoliła, bym sam udowodnił, że wszystko, co opowiadała ludziom na mój temat, to prawda. Żałowano jej na pewno; przecież była przyzwoitą kobietą, która starała się, jak mogła wychować wynaturzonego, niewdzięcznego syna.

– A, pieprzyć go – rzuciła w końcu, jakby jej święta cierpliwość wreszcie się wyczerpała. – Mam dość. Nie chcę go z powrotem.

Kiedy to powiedziała, pracownicy opieki nie potrafili już

namówić jej do zmiany zdania. Znowu trafiłem pod opiekę państwa, do domu dziecka, który naprawdę lubiłem, choć pewnie moje złe zachowanie i podejście do otoczenia na to nie wskazywały. Czułem się tam bezpieczny, jedzenie było smaczne i nikt mi nie robił krzywdy. Matki i reszty rodziny nie widziałem przez sześć miesięcy. Zaczęło mi się wydawać, że wreszcie im uciekłem.

W ciągu kolejnych dwóch lat poznałem całe mnóstwo najróżniejszych wychowawców

w różnych domach. Od czasu do czasu trafiałem na kogoś, kto naprawdę chciał sprawić, by życie jego podopiecznych było lepsze, kto poświęcał czas na rozmowy z nami, na słuchanie, organizowanie nam zajęć. Ale ogromna większość wolała się nie wysilać i robiła tyle, byle tylko zapracować na swoją pensję. Większość czasu spędzali w pokojach socjalnych, pili herbatę i wychodzili tylko, kiedy trzeba było zająć się jakimś problemem. Robili się niecierpliwi, gdy ktoś zakłócał im spokój i odsyłali nas z kwitkiem, jeśli odważyliśmy się zapukać do tych ich pokoików

z czymś, co uważali za bzdurę. Wiem, że pewnie trudno było sobie z nami poradzić, a już ze mną w szczególności. Ale większość tych ludzi nie zrobiła niczego, by znaleźć źródło problemu i cokolwiek naprawić.

Całkiem chętnie dawali nam kieszonkowe na ubrania czy nawet na kino, jeśli tylko mieścili się w tygodniowym budżecie. Byli zadowoleni, jeśli choć na chwilę przestawaliśmy się im płatać pod nogami i pewnie oszczędzało im to kłopotu, jakim byłoby organizowanie nam rozrywek. W jednym z domów był nawet

minibus na szesnaście miejsc, ale nie pamiętam, żebyśmy gdziekolwiek nim pojechali. Używano go tylko do odwożenia nas do lekarza lub szpitala w razie konieczności. Oczywiście nie zawsze wydawaliśmy kieszonkowe zgodnie z przeznaczeniem. Zwykle kręciliśmy się pod sklepami monopolowymi i prosiliśmy dorosłych, żeby kupili nam alkohol i papierosy – zadziwiające, ile osób się na to godziło. Często wracałem do domu pijany, ale personel tego nie zauważał. Kiedy chodziłem po mieście, zawsze nosiłem błyszczący dres, sportowe

buty i bejsbolówkę, jakby to był jakiś mundur. Daszek czapki opuszczałem na oczy, chowając się przed pełnymi dezaprobaty czy nieufnymi spojrzeniami przechodniów.

W pewnym momencie urzędnicy przenieśli mnie do mniejszego domu dziecka, urządzonego w kamienicy i prowadzonego bardziej jak dom rodzinny. Pewnie mieli nadzieję, że trochę się ucywilizuję. Tam też opiekowali się nami zwykli, etatowi wychowawcy, ale trafiały tam i starsze, i młodsze dzieci. Zakumplowałem się jednym

z chłopaków, dziesięcioletnim Benem, i we dwójkę strasznie psociliśmy. Którejś nocy, kiedy wszyscy już poszli spać, urządziliśmy najazd na spiżarnię. Pchnąłem szklane drzwi, żeby ją otworzyć, i widocznie nacisnąłem za mocno, bo ręka przeszła mi na wylot i nieźle ją rozharatałem. Musieli pędzić ze mną do szpitala i założyć mi szwy – została mi po tym blizna, którą mam do dziś.

W tym domu była też dziewczyna, Jean. Trochę opóźniona umysłowo – nawet bardziej niż ja. Była jakiś rok starsza ode mnie i wyraźnie dawała

mi do zrozumienia, że jest mną zainteresowana. Choć miałem wyżej uszu przymusowego seksu z mężczyznami i chłopakami, zawsze lubiłem to robić z dziewczynami. Chciałem być normalny i z obrzydzeniem myślałem, że mógłbym być gejem, tak jak Larry i Barry, więc nie byłem całkiem obojętny na jej zaloty, chociaż nieszczęśliwie mi się podobała.

Któregoś dnia stałem w łazience w samych majtkach i napszczałem sobie wody do wanny, kiedy Jean weszła za mną i zamknęła drzwi na klucz. Chociaż

nie była zbyt atrakcyjna, to kiedy zaczęła mnie dotykać, moje ciało zareagowało – tak jak u każdego normalnego nastoletniego chłopaka w takich okolicznościach, a już tym bardziej u kogoś, kto pod przymusem zdobył tak szerokie i przedwczesne doświadczenie. Trudno było nie skorzystać z okazji, więc posłuchałem instynktu i zaczęliśmy uprawiać seks na podłodze. Dom był mały i zawsze wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Parę minut później pod drzwiami łazienki stały już inne dzieciaki i kibicowały nam głośno. Ben miał świra na punkcie seksu, i to

głównie on zagrzewał mnie do dzieła i wypytywał o szczegóły. Teraz, jak się nad tym zastanawiam, myślę, że i jego musiało coś spotkać, skoro był tak napalony w tak młodym wieku. Ale wtedy nigdy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach. Hałas szybko ściągnął wychowawców, którzy przybiegli na górę i zaczęli łomotać w drzwi, żądając, byśmy natychmiast przestali i wyszli z łazienki.

Choć byłem trochę zażenowany tym zamieszaniem, nie poczuwałem się do jakiegoś strasznego przestępstwa. Zmuszano mnie do gorszych rzeczy, więc nie

widziałem nic złego w stosunku seksualnym, jeśli obie strony się zgodziły. Ale opiekunowie oczywiście byli przerażeni, kiedy dowiedzieli się, co zaszło pod ich nosami, i natychmiast zwołali zebranie, żeby omówić problem. Trudno sobie wyobrazić, ile godzin różni ludzie musieli spędzić na dyskusjach, co ze mną zrobić, chociaż nie mieli bladego pojęcia, co się dzieje w moim życiu i w mojej głowie.

Ponieważ Jean była dużo bardziej opóźniona ode mnie, uznali, że to ja jestem winny. Oskarżyli mnie, że ją

wykorzystałem, chociaż to ona pierwsza przystawiała się do mnie, a oboje tego chcieliśmy. Cóż, technicznie rzecz biorąc, chyba rzeczywiście ją wykorzystałem, chociaż do niczego jej nie zmuszałem. Postąpiłem źle, ale nic dziwnego, że nie rozróżniałem, co jest dobre, a co złe. A Jean z pewnością nie zrobiła niczego, na co nie miała ochoty.

Jak większość nastolatków z domu dziecka czułem, że wszyscy się mnie czepiają. Ale jeden z wychowawców, który wmawiał wszystkim, że jestem jakimś seksualnym maniakiem, tak załazł

mi za skórę, że pewnego dnia nie wytrzymałem. Wybiegłem na parking i przewróciłem jego citroena 2CV na dach. Zupełnie jakby wściekłość dała mi nadludzką siłę, tak jak mojej matce.

Skoro wychowawcy uważali, że jestem przedwcześnie rozwinięty seksualnie i zaburzony, dlaczego nie próbowali się dowiedzieć, skąd mi się to wzięło? Teraz, patrząc wstecz, nie potrafię zrozumieć, dlaczego nikomu nic nie zaświtało. Ale widocznie łatwiej było trzymać się wersji matki, że jestem pokręcony i trudny z powodu śmierci ojca, i koniec. To że

przewróciłem samochód opiekuna, tylko wzmocniło w nich przekonanie, że jestem właśnie taki, jak mnie opisywała.

Z powodu tego, co zrobiliśmy z Jean zostałem przeniesiony z powrotem do większego domu dziecka, a w moich papierach znalazł się kolejny kleks. Pewnie nawet ci, którzy próbowali mi pomóc, zaczęli we mnie widzieć beznadziejny przypadek. Nikt nigdy nie zdobył mojego zaufania i nie wyciągnął ze mnie, co sprawiło, że się tak zachowuję.

Zostaję złodziejem

Po sześciu miesiącach tułania się po domach dziecka w moim życiu znów pojawiła się matka – o dziwo, słodka jak miód, z prośbą, żebym wrócił do domu. Kiedy mi powiedzieli, że chce się ze mną zobaczyć, przeraziłem się, chociaż

wiedziałem, że nie może na mnie napaść przy ludziach. Nie chciałem jej widzieć, ale powiedzieli mi, że nie mam wyjścia, a poza tym jakaś mała część mnie chciała się dowiedzieć, co słyszać u Thomasa. Owszem, moje życie rodzinne było straszne, ale mimo wszystko była to moja rodzina i łączyła mnie z nimi więź, której nawet okrucieństwo matki nie potrafiło zerwać do końca. Kiedy przyszła do domu dziecka, dowiedziałem się, że jest w ciąży z Amanim – to było jej siódme dziecko. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że jeszcze jeden dzieciak przyjdzie na świat i będzie

zdany na jej łaskę.

– Obiecuję ci, że nic ci się nie stanie, jeśli teraz wrócisz – zapewniła mnie z całą szczerością, na jaką było ją stać. – I dopilnuję, żeby chłopcy dali ci spokój.

Nie wierzyłem w ani jedno jej słowo i chyba to widziała. Trudno sobie wyobrazić jej bezczelność. Jak w ogóle mogła przyjść i prosić mnie o coś takiego, pamiętając, co wyprawiała ze mną w przeszłości? Ale przecież mojej matce nigdy nie brakowało tupetu. Teraz zwałała wszystko na Larry’ego i Barry’ego, choć przecież robili tylko to, co im kazała i na co im pozwalała.

– Posłuchaj – powiedziała spokojnie i rzeczowo. – Wiem, że w przeszłości źle cię traktowałam i bardzo cię za to przepraszam.

Stałem z założonymi rękami i słuchałem.

– Amaniego już nie ma – wyjaśniła, jakby to on był problemem, a nie ona. – Pozbyłam się go.

Poczułem się trochę pewniej, bo wiedziałem, że mogę skuteczniej obronić się przed jej wybuchami złości, jeśli będę walczył tylko z nią. Z obojgiem nie miałem szans – nikt nie miał. Wciąż nie rozumiałem, dlaczego chce mnie

z powrotem, skoro przez tyle lat powtarzała mi, że mnie nienawidzi i chce mnie zabić. Może dlatego, pomyślałem, że Amani odszedł, a lubiła mieć dom pełen ludzi, którymi mogła dyrygować.

Mimo wszystkiego, co mi zrobiła, i choć wciąż jej nie ufałem, postanowiłem dać jej szansę. Musi w nas być jakiś instynkt, kiedy myślimy o matkach – coś, co każe nam wierzyć, że nas kochają, choć wszystko wskazuje, że jest wręcz odwrotnie. Bo dlaczego w ogóle rozważałem powrót do kogoś, kto nienawidził mnie tak żarliwie? Kto z takim rozmysłem krzywdził mnie

i wyzyskiwał przez całe lata? Chciałem wierzyć, że mam mamusię, która mnie kocha, nawet jeśli musiała nią być ta kobieta. Chciałem, żeby była dla mnie taka sama jak dla Ellie, Larry'ego i Barry'ego. Próbowałem sobie wmówić, że nareszcie się zmieniła i że wszystko będzie wyglądać inaczej, kiedy już jestem starszy i umiem lepiej o siebie zadbać. Że teraz będę częścią rodziny, a nie tylko brudnym gnojkiem, który musi wchodzić pod stół i jeść resztki jak pies.

Być może wróciłem również dlatego, że czułem się o wiele

pewniejszy siebie po miesiącach życia bez niej. I po wszystkim, co przeżyłem przez ten czas. Czułem się bezpieczny, bo wiedziałem, że jeśli znowu będzie źle, zawsze mogę uciec i wrócić do domu dziecka. Wierzyłem, że teraz, jako piętnastolatek, mam większą kontrolę nad własnym życiem. Byłem już prawie dorosły i czułem, że nikt nie będzie mógł mnie już zmusić do rzeczy, jakie robiłem w przeszłości. Chciałem też zobaczyć mojego młodszego brata, Thomasa, którego zawsze lubiłem i który przeżywał podobne piekło jak ja, chociaż nigdy ze sobą o tym

szczerze nie rozmawialiśmy.

Jakiś czas wcześniej władze miasta przeniosły matkę do mniejszego, skromniejszego domu. To też był bliźniak, ale miał tylko jedno piętro i znajdował się w innej części miasta. Był to ładny dom, z dużym ogrodem z tyłu. Matce zaczynał dokuczać artretyzm w nogach, więc chodzenie po tyłu schodach i sprzątanie starego domu sprawiało jej kłopot. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś, kto przypominał przerażający żywioł, naprawdę może się starzeć i słabnąć. Zauważyłem, że matka zaczyna wyglądać jak stara kobieta

– nosiła niemodne ubrania, potrafiła cały dzień chodzić po domu w kapciach i workowatych czarnych spodniach. Kiedy szła do pubu, ciągle ubierała się w jaskrawe, kwieciste sukienki, ale bardzo przytyła i te kiecki zaczęły wyglądać przerażająco na kobiecie jej rozmiarów. Kiedy wychodziła, wciąż jeszcze starała się ładnie wyglądać, robiła nienaganny makijaż i układała włosy, ale nie wyglądała już młodo.

Nie przeszkadzało to mężczyznom podrywać jej w pubie, kiedy Amani zniknął, chociaż śmiem twierdzić, że tylko ci

bardziej podpici decydowali się iść z nią do domu. Zabierała ich prosto do sypialni i często słyszeliśmy, jak to robią. Wszyscy staraliśmy się nie włączyć im w drogę, ale czasem widzieliśmy takiego czy innego faceta wymykającego się rankiem. Czasem byli to straszni żule. Sądzę, że upijała się do tego stopnia, że traciła wszelkie wyczucie w tych sprawach. Ale przecież Amani też nie był jakimś wybitnie urodziwym okazem, więc może wygląd nie miał dla niej znaczenia.

Kiedy zgodziłem się wrócić do domu, zgodnie z obietnicą odizolowała mnie od Larry'ego

i Barry'ego i pozwoliła dzielić pokój z Ellie i Thomasem. Wyglądało to na dobry początek. Okazało się, że Amani naprawdę zniknął, a razem z nim wszelki ślad po wujku Douglasie i jego kumplach spod ciemnej gwiazdy zaginał. O ile wiedziałem, Amani wrócił do ciotki Melissy i jego związek z moją matką po prostu się rozpadł. Ludzie mówili, że próbowała go zmusić do rozwodu, kiedy się okazało, że jest w ciąży. Ale Amani uznał, że matka próbuje go złapać na dziecko, i odszedł. Nie wiem, czy pokazał się chociaż przy narodzinach tego dziecka. Ja

z pewnością już nigdy go nie widziałem.

Wyglądało na to, że matka naprawdę się stara przezwyciężyć ohydłą stronę swojej osobowości. Często przepraszała nas za dawne błędy – przeważnie w chwilach, kiedy po paru drinkach zbierało jej się na uzalanie nad sobą. Ja też starałem się stłumić złe wspomnienia. Chciałem zacząć od początku i nie pamiętać o tym wszystkim, ale czasami było mi trudno. Sam fakt, że mieszkaliśmy w innym domu, trochę pomagał. To nie były te same pokoje, w których mnie torturowano i więziono, a to

pozwalało unikać najczarniejszych myśli.

Z początku pozwoliłem sobie wierzyć, że matka mówi szczerze i naprawdę żałuje tego, co robiła. Ale potem zaświtało mi w głowie, że ściągnęła mnie do domu, bo chciała mieć jeszcze jednego potencjalnego żywiciela. Przez te lata, kiedy pracowałem u Douglasa, płaciła za swoje chłanie pieniędzmi, które Amani dostawał za moje filmy. Ale teraz, kiedy Amani odszedł, była spłukana. Musiała zapędzić do pracy tyle swoich dzieci, ile się dało, i przekonać je, żeby oddawały jej

wypłatę. Inaczej w ogóle nie miałyby pieniędzy.

Pierwszy tydzień w domu upłynął mi całkiem nieźle, bo matka próbowała uspić moją czujność, żebym poczuł się bezpiecznie. W kolejnym tygodniu zaczęła gadać, że ja, Thomas i Ellie powinniśmy zacząć zarabiać na swoje utrzymanie. Natychmiast zrobiłem się ostrożny. Wystraszyłem się, co mogła dla nas zaplanować, gotów zwiać, gdyby ktoś w rodzaju Douglasa pokazał się w domu. Larry i Barry byli zbyt leniwi, żeby pójść do pracy. Matka nie była w stanie zmusić do niczego

dwóch dwudziestoparoletnich koni, więc ciągle naciskała na nas, młodsze dzieci, i podsuwała nam pomysły, co moglibyśmy robić. Byłem w szoku, jakie zwyczajne, uczciwe i rozsądne były z początku te propozycje.

Zaczęła od wysyłania nas, żebyśmy myli ludziom samochody. Chodziliśmy od drzwi do drzwi i liczyliśmy sobie funta za auto. Robiliśmy to bardzo chętnie i szybko zaczęliśmy myć po dwadzieścia, trzydzieści samochodów dziennie, zachwyceni, że pod koniec dnia mamy kieszenie pełne pieniędzy. Ale kiedy tylko

wracaliśmy do domu, matka odbierała nam pieniądze i szła z nimi prosto do pubu. Naprawdę ciężko pracowaliśmy i zaczęło nas wkurzać, że tak szybko tracimy cały zarobek, tym bardziej że nie kupowała za te pieniądze niczego dla nas.

– Dlaczego oddaję ci wszystkie pieniądze? – spytałem któregoś dnia. Jej pozorna przemiana dała mi fałszywe poczucie bezkarności. – Nie mam nic przeciwko, żeby oddawać ci trochę, ale powinniśmy mieć dla siebie chociaż część z tego, co zarabiamy.

Ledwie to powiedziałem, zrozumiałem swój błąd, bo jej pięść wylądowała na mojej twarzy, aż poleciałem przez pokój. Wszystkie wspomnienia wróciły do mnie w mgnieniu oka, kiedy próbowałem się pozbierać i oprzytomnieć. Na chwilę zaćmiły mi umysł i przez sekundę miałem ochotę chwycić pierwszą ciężką rzecz, jaka się nawinie, i oddać matce. Ale coś mnie powstrzymało. Nie wiem, czy bałem się rozzłościć ją jeszcze bardziej, czy naprawdę trzeźwo oceniłem to wszystko i zdałem sobie sprawę, że tylko pogorszę własną sytuację. Tak czy

inaczej, zamiast oddać, wyszedłem z domu, wróciłem do domu dziecka i powiedziałem im, że matka znów mnie pobiła. Widzieli siniaka na mojej twarzy – miałem taką śliwę, że oko prawie całkiem mi się zamknęło – ale kiedy pracownicy opieki poszli z nią porozmawiać, wymyśliła historyjkę, jak to zacząłem szaleć, demolować dom i musiała mnie spacyfikować. Ku mojemu przerażeniu znów jej uwierzyli.

Przyznaję, że moje zachowanie w domach dziecka przez ostatnie miesiące nie poprawiło mi reputacji, więc urzędnikom pewnie

łatwiej było uznać, że po prostu wróciłem do swoich starych zwyczajów. Z ich punktu widzenia matka zrobiła, co w jej mocy, żeby wyprowadzić mnie na dobrą drogę. A ja odpłaciłem jej za to niewdzięcznością i agresją. Tak czy inaczej zostałem w domu dziecka, bo odmówiłem powrotu do matki, a robiłem się już trochę za duży, żeby zmusić mnie do czegoś, czego nie chciałem robić.

Miesiąc później matka znów do mnie przyszła, żeby namawiać mnie do powrotu. Przez cały piętnasty rok życia krążyłem w tę i z powrotem między jej domem

i domem dziecka. Za każdym razem miałem nadzieję, że wszystko potoczy się inaczej. I za każdym razem przeżywałem rozczarowanie. Jej huśtawki nastrojów wydawały się jeszcze bardziej nieprzewidywalne niż kiedyś. Kiedy byłem mały, cały czas była wściekła i agresywna wobec mnie. Teraz miewała chwile, kiedy szczebiotała do nas słodka jak miód, ale nie dało się przewidzieć, kiedy ten nastrój minie i znów zacznie wrzeszczeć, bić i ciągnąć mnie i Thomasa za włosy. Mimo artretyzmu wciąż była silna, kiedy wpadała w złość. Sam nie wiem, co

mnie powstrzymywało, by rzucić się na nią z pięściami. Choć odgrażałem jej się tyle razy, nigdy nie pozwoliłem sobie uderzyć własnej matki, a to oznaczało, że wciąż mogła mną rządzić, dopóki żyłem pod jej dachem.

Kiedy tylko nastrój jej się pogarszał, Larry i Barry pojawiali się u jej boku, żeby spuścić mi łomot, tak jak robili to zawsze – dwaj goryle, którzy nigdy nie przegapili okazji, by komuś dołożyć. Wciąż miałem nadzieję, że matka przestanie się na mnie wyżywać i zacznie traktować mnie tak, jak traktowała ich. I dawałem

jej kolejną szansę mimo niekończących się rozczarowań. Larry i Barry byli już wtedy niezłymi osiłkami i nawet matka nie próbowała ich bić, nie licząc okazjonalnego szturchańca w ucho, żeby im przypomnieć, kto tu jest szefem.

Ale przynajmniej byłem wolny – mogłem uciekać do domu dziecka, kiedy chciałem, i przyjaźnić się, z kim mi się podobało. W pewnym momencie poznałem starszego chłopaka, McDermotta. Prowadził mały warsztat przy naszej ulicy, trochę podobny do tego, w którym pracował tata. Może było mu mnie

żał czy coś, bo chętnie ze mną rozmawiał i pozwalał sobie pomagać przy robocie. Od czasu do czasu dawał mi funta za to czy tamto albo stawiał mi lunch w McDonalddie. Kiedy poznaliśmy się lepiej, czasem zapraszał mnie na obiad do domu i zawsze było bardzo miło. Czuję się jak dorosły. Tak naprawdę chciał pewnie, żebym miał jakieś zajęcie i nie pakował się w kłopoty. Ale nawet jeśli chodziło mu tylko o to, i tak miło z jego strony. Cierpliwie wysłuchiwał moich opowieści o tacie, bo ciągle chciałem o nim mówić. Tak jak wtedy, kiedy byłem

mały i w kółko rysowałem, jak się palił. Nie miałem wielu osób, z którymi mogłem rozmawiać o tacie – w domu nie śmiałem o nim wspominać, bo bałem się konsekwencji.

Któregoś dnia McDermott i ja wracaliśmy z lunchu i wpadliśmy po drodze do jego kumpla. Musiałem skorzystać z toalety, więc poszedłem do łazienki i na umywalce zobaczyłem złoty sygnet. Bez namysłu schowałem go do kieszeni. Była to głupota, raczej nawyk niż cokolwiek innego, bo matka zawsze nas zachęcała do drobnych kradzieży, kiedy tylko

nadarzyła się okazja. Samemu McDermottowi nic bym nigdy nie ukradł, bo był moim przyjacielem, ale to wydawało mi się w porządku. To był obcy dom. W naszej rodzinie wszystko kręciło się wokół pieniędzy, więc dwa dni później poszedłem do jubilera w mieście i spytałem, czy nie chce kupić sygnetu. Wziął go i obejrzał uważnie.

– To jest kradzione – powiedział, nie oddając mi go. – Nie kupię tego.

– Nieprawda – skłamałem. – To sygnet mojego taty, mam go po nim.

– Nie jest twojego taty. – Jubiler był absolutnie pewny siebie i nie przyjmował do wiadomości moich wyjaśnień. – Ukradłeś go.

Zrozumiałem, że McDermott musiał obejść okoliczne sklepy i ostrzec właścicieli, bo domyślił się, że wcześniej czy później złodziej spróbuje sprzedać sygnet. Spojrzałem w górę i zauważyłem kamerę. Wiedziałem już, że nie będę mógł się wyprzeć, że to ja przyniosłem sygnet. McDermott dowiódł się, że to ja okradłem jego kolegę. Ogarnął mnie wstyd i złość na siebie.

I rzeczywiście, następnego

dnia McDermott przyszedł do naszego domu, żeby mi powiedzieć, jak bardzo się na mnie zawiódł. Powiedział, że jego kumpel nie zawiadomi policji, ale mam się więcej nie pokazywać w warsztacie. Ja sam byłem równie rozczarowany sobą, jak on. Był pierwszym nieopłacanym przez opiekę społeczną dorosłym, który znalazł dla mnie czas i który zaprzyjaźnił się ze mną i potraktował przyzwoicie, nie chcąc ode mnie niczego w zamian, a ja go zdradziłem. Zepsułem wszystko. Matka jak zwykle spuściła mi łanie za to, że byłem

dość głupi, by dać się przyłapać. A ja czułem, że na nie zasłużyłem, skoro zachowałem się tak podle wobec McDermotta i nadużyłem jego przyjaźni. Po raz kolejny udowodniłem, że matka miała rację. Byłem nicponiem. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia przez ten sygnet.

Trudno wyrwać się spod władzy długoletniej tresury. Matka zawsze nas zachęcała, żebyśmy kradli, co się da. A kiedy podrośliśmy, wysyłała nas nawet na zorganizowane złodziejskie akcje. Na przykład historia z pastorem. Kiedy miałem czternaście lat, matka uznała, że cała rodzina powinna

zacząć regularnie chodzić do kościoła. Zaprzyjaźniła się z miejscowym pastorem, którego poznała w pubie. Zaczęła wysyłać Thomasa i mnie, żebyśmy pomagali pastorowi opiekować się dziećmi w szkółce niedzielnej i zbierać ofiarę podczas mszy.

– Jeśli wam się uda – powiedziała – podbierajcie pieniądze z koszyka i chowajcie do kieszeni. Bierzcie, ile się da.

Jej prośba nie wydała się niczym niezwykłym. Po prostu zawsze tak było. To oczywiście nie oznaczało, że nie baliśmy się, że ktoś nas przyłapie. Wiedzieliśmy,

że matka spierze nas na kwaśne jabłko, jeśli któremuś powinie się noga. Przez pierwsze dwa tygodnie za bardzo się baliśmy, żeby cokolwiek ukraść, ale nie dawała nam spokoju, więc w końcu się poddaliśmy i zaczęliśmy upychać garście pieniędzy do majtek, kiedy pastor nie patrzył. Byliśmy zdumieni, że tak łatwo idzie. Co gorliwsi parafianie kładli do koszyka koperty z nazwiskiem i wysokością datku, więc wiedzieliśmy, które opłaca się zabierać. W niektórych kopertach było nawet po czterdzieści funtów. Otwieranie ich po powrocie do

domu było jak otwieranie co niedzielę gwiazdkowych prezentów. By jeszcze bardziej nas zachęcić, matka zgodziła się w końcu wypłacać nam działkę z tych kradzieży, zamiast brać wszystko dla siebie. I niestety poszliśmy na to. Za każdym razem, kiedy kradzież uchodziła nam na sucho, stawaliśmy się bardziej pazerni i co tydzień upychaliśmy do majtek coraz więcej kopert.

Mniej więcej po roku pastor zauważył, że kwota datków znacznie się zmniejszyła, i domyślił się, że jesteśmy najbardziej prawdopodobną przyczyną tego

deficytu. Któręś niedzieli mszę odprawiał ktoś inny, ale Thomas i ja nie zwróciliśmy na to uwagi, dopóki po zbiórce pieniędzy nasz pastor nie stanął za nami, nie postukał nas w ramię i nie kazał wyjść ze sobą na zewnątrz, chociaż ten drugi był w połowie kazania. Okazało się, że obserwowali nas przez całą mszę i widzieli nasz każdy ruch. Thomas stchórzył tej niedzieli, więc ja zwędziłem również jego działkę i nawet nie chciało mi się chować kopert do majtek. Zrobiłem się już tak pewny siebie, że upchnąłem łup po prostu do kieszeni.

– Wiemy, że giną pieniądze – powiedział pastor, kiedy wyciągnął nas już z kościoła. Mówił spokojnie, ale stanowczo; był pewny swego.

– Co ty sugerujesz, fiucie? – spytałem ze złością, kiedy Thomas jąkał się i kręcił, spanikowany.

– Opróżnijcie kieszenie – ciągnął pastor cierpliwie, ignorując moją agresję.

– Nie ma pastor prawa nas przeszukiwać – rzuciłem. Postanowiłem iść w zaparte.

– W takim razie – stwierdził spokojnie – wzywam policję.

– Widział pastor, jak coś

kradniemy? – spytałem
wyzywająco.

– Nie, ale wiemy, że od dawna
giną datki wielu parafian.

– Może kościelny je zwędził.

– Nie, Joe, to nie był
kościelny.

Wyklócałem się tak długo, jak
się dało, w nadziei że coś mi
przyjdzie do głowy, zanim będę
musiał pokazać, co mam
w kieszeniach i wszystko się wyda.

– Opróżnij kieszenie –
rozkazałem Thomasowi głosem
pełnym oburzenia na to „fałszywe”
oskarżenie. – Pokaż mu, że nic nie
masz.

W ułamku sekundy, kiedy pastor obserwował ruchy Thomasa, przełożyłem koperty z kieszeni do majtek. O mało nie wykastrowałem się ich ostrymi krawędziami. Kiedy pastor przekonał się, że Thomas niczego nie ma, zwrócił się do mnie.

– Ja też nie mam nic w kieszeniach – powiedziałem wesoło, wywracając je na lewą stronę. Modliłem się, żeby żadna koperta nie wysunęła mi się przez nogawkę spodni, dopóki przed nim stałem.

– No dobrze, chłopcy. – Pastor westchnął. I pokiwał głową, że

możemy iść. Widziałem, że wie, co jest grane, ale postanowił chwilowo nam odpuścić. Kiedy odchodziłem drobnym kroczeniem, musiałem wyglądać, jakby przytrafił mi się śmierdzący wypadek. W domu powiedziałem matce, że trzeba dać sobie spokój z datkami, bo pastor nas podejrzewa. Nie była zadowolona.

Tego wieczoru przyszedł do nas i zapowiedział matce, że nie chce widzieć Thomasa ani mnie w swoim kościele.

— Dlaczego? — spytała i zrobiła wielkie, niewinne oczy, jakby pierwszy raz usłyszała, że

jest jakiś problem. – Co takiego zrobili?

– Podkradali pieniądze z ofiar – odpowiedział łagodnie, jakby się bał zszokować tę biedną, dobrą kobietę, że jej dzieci robią coś tak karygodnego.

Matka urządziła popisowe przedstawienie. Oznajmiła, że uszom nie wierzy, i dała nam przy nim po głowie, chociaż piszczeliśmy, że jesteśmy niewinni, i zwałaliśmy winę na kościelnego. Pastor wydawał się usatysfakcjonowany, że sprawiedliwość została wymierzona.

– Dziękuję, że ich pani upomniała – rzekł. – Pani oczywiście zawsze jest mile widziana w kościele, ale bez tych dwóch.

Matka oczywiście nie zawracała sobie więcej głowy kościołem. A Thomas i ja znowu dostaliśmy baty za to, że zrobiliśmy się pazerni i zabieraliśmy za dużo pieniędzy.

– Przecież to ty je wydawałaś!
– zaprotestowałem, bo z każdą konfrontacją byłem coraz odważniejszy. Ale matka nie słuchała moich argumentów. Chciała tylko wyładować złość, że

straciła dobre źródło dochodów.

Następnego dnia wróciłem do domu dziecka, by wyleczyć nowe siniaki, ale znowu przyszła przeprosić i obiecywała, że zaczniemy wszystko od początku, jeśli wrócę. I znów dałem się uprosić.

Kiedy nie dało się już kraść w kościele, zaczęła nas posyłać do sklepów, dając bardzo szczegółowe instrukcje, co mamy jej przynieść. Przede wszystkim zależało jej na ubraniach i mówiła nam dokładnie, jakie mamy brać rozmiary. Thomas i ja staliśmy się mistrzami sklepowych kradzieży. Upychaliśmy

do plecaków rzeczy, które matka jeszcze tego samego dnia sprzedawała w pubie. Kradliśmy garnki, zabawki, wszystko, czego chciała. Szybko zdała sobie sprawę, że na sprzedaży kradzionych rzeczy zarabia więcej, niż przynosiliśmy do domu, myjąc samochody, i stawiała coraz wyższe wymagania.

Któregoś dnia ona, Thomas i ja mijaliśmy sklep z rowerami. Matka wskazała ruchem głowy rowery, które były wystawione przed drzwiami.

– Chcę je mieć – powiedziała.

– Wszystkie cztery.

Nie wyobrażałem sobie, jak mamy z Thomasem uciec z dwoma rowerami każdy, więc musieliśmy zwerbować dwóch kolegów i przekonać ich, że to będzie niezła zabawa. Schowani za rogiem zbieraliśmy się na odwagę, aż w końcu ruszyliśmy biegiem, złapaliśmy rowery ze stojaków i odjechaliśmy, śmiejąc się jak wariaci, kiedy wściekły właściciel sklepu wrzeszczał za nami. Nigdy nie lubiłem kraść, ale to wydawało się lepsze, niż obrywać od matki. A przypływ adrenaliny sprawiał mi przyjemność. Zresztą, robiłem to nie tylko dlatego, żeby uniknąć

bicia. Po prostu chciałem, żeby matka była zadowolona, próbowałem zasłużyć sobie na jej miłość i udowodnić jej, że nie musi mnie nienawidzić do końca życia, nawet jeśli byłem ulubieńcem ojca. Byłem też jej synem i chętnie robiłem wszystko, o co prosiła, żeby zyskać jej uczucie.

Na kradzieży w sklepie przyłapano mnie tylko raz, w Woolworths. Byłem tam z Thomasem, ale jemu udało się uciec. Drżałem z przerażenia, kiedy sklepowy detektyw, który mnie złapał, powiedział, że zadzwoni do matki. To była o wiele bardziej

przerażająca perspektywa, niż gdyby wewał policję. Błagałem o litość, ale bez skutku. W końcu kierownik sklepu zadzwonił i po policję, i po matkę. I znów wylądowałem w zamkniętym pokoju, z oczami wbitymi w podłogę. Nie mogłem powiedzieć nic na swoją obronę, bo matka stała tuż obok mnie i słyszała każde słowo. Policja spytała kierownika, czy chce wnieść oskarżenie.

– Nie – stwierdził. – Jego mama wydaje się dość surową osobą, to mi wystarczy.

– Och, niech mi pan wierzy –

odpowiedziała matka. – Już ja mu dam nauczkę, kiedy wrócimy do domu. Nigdy więcej się to nie powtórzy.

Kierownik sklepu z zadowoleniem patrzył, jak dosłownie wyciągnęła mnie z jego biura za ucho. Kiedy już byliśmy w domu, sprąta mnie za to, że jestem do niczego. Znów uciekłem do domu dziecka, szukając schronienia. Powiedziałem im, że nie chcę już mieszkać u matki. Czasami miałem wrażenie, że zostałem schwytany w jakiś zaklęty krąg, którego nie da się przerwać. Dom dziecka – matka – i znów dom

dziecka. Ale przynajmniej mogłem dokonywać wyborów i dzięki temu czułem się silniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Idę na swoje

Thomas i ja zżyliśmy się przez ten rok. Ja miałem już piętnaście lat, on prawie trzynaście, i był moim najlepszym kumplem na świecie. Wiedziałem, że w dużej mierze przeżywał taki sam koszmar jak ja. To sprawiło, że powstała między

nami więc, jaka nie łączyła mnie z nikim innym. W weekendy – jeśli akurat byłem w domu – gdy mieliśmy trochę wolnego czasu, kradliśmy jabłka z ogrodu obok, co doprowadzało sąsiada do szału. Albo włóczyliśmy się po lesie za domem i gadaliśmy o życiu, o planach na przyszłość. O tym, co zrobimy, jak już będziemy dość duzi, żeby uciec od matki raz na zawsze. Sąsiedzi raz czy dwa próbowali jej się poskarżyć, że okradamy ich ogród, i o dziwo stanęła po naszej stronie, czyli po prostu pożarła się z nimi, tak jak żarła się z biednym starym Paddym

w poprzednim domu.

Za to Larry i Barry wciąż byli nie do strawienia. Z nimi nigdy nie miałem normalnych relacji. Któregoś dnia poszedłem powłóczyć się po lesie i kiedy przedzierałem się przez jakieś krzaki, natknąłem się nagle na moich braci. Barry leżał goły na plecach, z zadartymi nogami, a Larry leżał na nim. Żołądek mi się wywrócił na ten widok.

– Złaż z niego! – krzyknąłem, popychając Larry'ego.

Larry mocno złapał mnie za rękę.

– Nie masz prawa nawet o tym

pisnąć. Jeśli cokolwiek powiesz, to cię spierzemy!

I dalej robili swoje, a mnie zachciało się wymiotować. Ten widok przywołał wszystkie tłumione, obrzydliwe wspomnienia tego, co się działo w domu wujka Douglasa – par, trójkątów, facetów, przychodzących tylko popatrzeć, i tego starszego chłopaka, który lubił to wszystko i tłumaczył nam, jak to robić prawidłowo. Jak Barry mógł czerpać przyjemność z czegoś, co dla mnie było taką torturą? Ale przecież on miał teraz dwadzieścia cztery lata, a ja tylko dziewięć, kiedy zaczynałem.

– Spieprzaj stąd, onanisto! – krzyknął Barry.

Odszedłem, wściekły i skołowany. Kiedy już otworzyły mi się oczy, zrozumiałem, że to się działo cały czas. I że ci dwaj bez przerwy znikali razem w lesie. Próbowali mi wmówić, że to po prostu świetna zabawa i powinienem się przyłączyć, ale nie mogłem tego zrozumieć. Wystarczająco długo żyłem w normalnym świecie, by wiedzieć, że seks między braćmi to nie jest zwyczajna rzecz. To było chore i nie w porządku. I nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Kiedy już wiedziałem, co się dzieje, było mi coraz trudniej wytrzymać w domu, więc znów wróciłem do domu dziecka. Potrzebowałem trochę samotności, żeby poukładać sobie wszystko w skołowanej głowie. Po jakimś czasie zacząłem się martwić, że Thomas wciąż mieszka w tym domu, więc wróciłem i próbowałem go przekonać, żeby poszedł ze mną. We dwóch moglibyśmy powiedzieć komuś, jakie zboczone rzeczy dzieją się pod okiem naszej matki.

Ale on się upierał.

– Nie, w życiu – stwierdził. –

Matka mnie zabije, jak cokolwiek powiem.

– Mnie też tak mówiła – odparłem. – I jakoś nigdy nie zabiła.

– Jasne. I zobacz, co z tego masz! – krzyknął. – Siedzisz w domu dziecka i nikt ci nie wierzy. Co z tego masz? Ja mam przynajmniej dom i rodzinę.

– To nie jest rodzina.

Zagroziłem, że sam komuś powiem o tej naszej rodzinie, i Thomas się wściekł. Pobiliśmy się, co nam się nigdy wcześniej nie zdarzało. Wtedy już dobrze sobie radził i całkiem nieźle mnie

poturbował, zanim zrozumiałem, że to do niczego nie doprowadzi. Poszedłem sobie. Kiedy wróciłem do domu dziecka, byłem tak wściekły, że nie wytrzymałem. Zacząłem demolować sypialnię, rozwalać wszystko, co mi wpadło w ręce. Wychowawca przybiegł natychmiast i próbował mnie uspokoić, ale do mnie nic już nie docierało i w końcu musiał mnie spacyfikować siłą. Zacząłem się wyrywać. Gniew dodał mi siły i zdołałem się uwolnić. Pobiegnę na dół, przez całą drogę klnąc, wrzeszcząc i waląc drzwiami. Nie wiedziałem, dokąd biegnę. Byle

dalej od nich wszystkich.

Kiedy znalazłem się na dworze, zobaczyłem, że reszta wychowawców ma akurat zebranie w sali. Byli tacy zadowoleni z siebie, tacy bezużyteczni, kiedy siedzieli za panoramicznym oknem i decydowali o naszych losach, a nie mieli bladego pojęcia, jak to jest być jednym z nas. Podniosłem cegłę i rzuciłem ją z całej siły w szybę, trafiając jednego z nich w bark. Potem odwróciłem się i uciekłem tak szybko, jak mogłem. Wciąż nie miałem pojęcia, dokąd biegnę. Po prostu chciałem uciec od wszystkich i wszystkiego. Personel

domu wystraszył się chyba, że zrobię coś głupiego. Zawiadomili policję i kazali ściągnąć mnie z powrotem, chociaż nie wiem, po co zawracali sobie głowę.

Około piątej po południu wróciłem do domu dziecka. Okno było już zabite deskami. Urzędnik zarządzający wszystkimi placówkami opieki społecznej w tym rejonie wezwał mnie do gabinetu. Wyglądał jak ktoś, kto ma mnie wyżej uszu.

– Ty – powiedział – pakuj manatki i won. I nie wracaj.

– Nie mam dokąd pójść – wypaliłem.

- Wracaj do matki. Masz dom.
- Pan nie rozumie...
- Tutaj na pewno nie wrócisz.

Masz szesnaście lat, więc nie mamy już obowiązku opiekować się tobą.

– Rzeczywiście, moje urodziny minęły niezauważone kilka tygodni wcześniej.

– A mogę chociaż dostać kieszonkowe?

– Nie możesz.

Tego wieczoru znalazłem się na ulicy tylko z plecakiem, który wyrzucono za mną. Wiedziałem, że matka i reszta wyjechali po południu na parę dni na kemping i dom stoi pusty, więc wróciłem

tam i przespałem noc w ogrodowej szopie. Było zimno. Nie mogłem zasnąć, dzięki czemu miałem mnóstwo czasu na rozmyślenia, co teraz ze mną będzie i co naprawdę chcę ze sobą zrobić.

Wiedziałem, że nie ma sensu wracać do domu. Tyle lat próbowałem jakoś żyć z matką i resztą rodzeństwa i wiedziałem, że to się nigdy nie uda. Teraz na dodatek pokłóciłem się z Thomasem. Wiedziałem, że jeśli chcę cokolwiek osiągnąć w życiu, muszę zacząć od nowa. Gdzieś, gdzie matka nigdy mnie nie znajdzie i nie zdoła przekonać do powrotu.

Ale gdzie? I jak?

Następnego ranka włamałem się do domu i przeszukałem wszystkie zakamarki. Zabrałem każdego pensa, jedzenie i ciuchy, jakie udało mi się znaleźć. Zostawiałem za sobą szlak zniszczenia w tych schludnych, lśniących czystością pokojach. Rozwalałem wszystko, co mi wpadło w ręce. Pokój Larry'ego i Barry'ego wywróciłem do góry nogami. Dałem upust wściekłości, którą tyle lat tłumilem w sobie. Poza tym z premedytacją uniemożliwiałem sobie powrót, paliłem za sobą wszystkie mosty.

Wiedziałem, że matka domyśli się, że to ja zdemolowałem jej ukochany domek. I jeśli dorwie mnie w swoje łapy, znów mnie stłucze. Może nawet zabije, tak jak odgrażała się tyle razy.

Jak dziesiątki tysięcy młodych ludzi przede mną postanowiłem ruszyć do Londynu, miasta tak wielkiego, że mogłem w nim zniknąć. Matka nigdy mnie tam nie znajdzie, nawet gdyby szukała. Nie miałem ani szylinga w kieszeni, nie miałem przyjaciół ani nawet znajomych, do których mógłbym się zwrócić o pomoc, ale i tak uznałem, że stolica da mi największe szanse

na przetrwanie. Kiedy już zdemolowałem dom matki, wyszedłem z niego po raz ostatni. Wiedziałem, że będzie ciężko. Słyszałem, że bezdomne dzieciaki zbierają się w miejscu zwanym Charing Cross, ale poza tym nie miałem pojęcia, co mnie czeka i jak będzie wyglądać moje nowe życie.

Kiedy stanąłem na poboczu z uniesionym kciukiem, ogarnęła mnie radosna euforia. Nareszcie byłem wolny. Koniec kulenia się ze strachu przed humorami matki. Mogłem zrobić ze swoim życiem, co mi się podobało. Nie miałem pojęcia, co to będzie, ale

wiedziałem, że otwiera się przede mną cały świat, o wiele lepszy niż ten, który znałem do tej pory. Poczucie szczęścia, które mnie przepelniało, było mi zupełnie nieznane. Właściwie nigdy nie myślałem o przyszłości – najwyżej o tym, jak przetrwać kolejny dzień. Teraz po raz pierwszy miałem prawdziwą nadzieję i było to cudowne uczucie.

Epilog

Bardzo ciężko było mi stanąć na nogi w Londynie. Zdarzały się chwile, kiedy sądziłem, że nie dam rady, ale widocznie jestem twardszy, niż mi się wydaje. Przetrwałem trzy lata więzienia w piwnicy, głód, bicie, gwałty

i maltretowanie wszelkiego rodzaju, a potem niemal cztery lata obsługiwałem klientów w odrażającej fabryce pornosów wujka Douglasa. Jeśli człowiek może przeżyć coś takiego, to chyba może przeżyć wszystko.

Ilekcroć czytam w gazetach o takim czy innym celebrycie oskarżonym o ściąganie z Internetu dziecięcej pornografii, o kolejnej bandzie pedofilskiej zdemaskowanej przez policję czy o przywódcy takiej bandy, który został namierzony i aresztowany w jakimś domu zwodniczo niewinnym z wyglądu, zastanawiam

się, jak mało przeciętny człowiek wie o tym świątku. To, co spotyka część molestowanych dzieci w naszym społeczeństwie, jest o wiele mroczniejsze i przerażające niż wyobrażenia, jakie ma na ten temat większość z nas. Dzieci w krajach Zachodu bardzo rzadko są porywane z ulic przez obcych – oczywiście inaczej wygląda to w innych częściach świata, dotkniętych głęboką nędzą, gdzie handel bezbronnymi jest bardziej rozpowszechniony. Na Zachodzie kiedy dzieje się coś takiego – kiedy dziecko znika w drodze do sklepu albo, co gorsza, z własnego

bezpiecznego domu – media trąbią o tym przez całe tygodnie i miesiące. Ale właśnie dlatego, że takie przypadki są rzadkością.

Kiedy czytamy o wykorzystywanych, filmowanych dzieciach, o handlu dziecięcą pornografią w Internecie, jesteśmy oczywiście przerażeni myślą, że taki los mógłby spotkać dziecko z naszej rodziny. Że ktoś mógłby je porwać i zmuszać do czegoś tak ohydneho. Ale w większości przypadków nasze lęki są nieuzasadnione, bo dzieci, które pojawiają się w filmach ściąganych przez ludzi niezdolnych pohamować

ciekawości czy popędów, dzieci biorące udział w scenach nieludzkich tortur, niemal zawsze wprowadzane są w ten świat przez własnych rodziców, opiekunów czy członków najbliższej rodziny. Zwykle są sprzedawane i odczłowieczane równie okrutnie i z zimną krwią, jak każdy inny niewolnik w historii ludzkości. Potwory wykorzystujące takie dzieci jak ja nigdy nie widzą w nas istot ludzkich, nigdy nie zastanawiają się nad naszymi uczuciami, nigdy nie pytają nas o samopoczucie, nie używają nawet naszych imion. Chciałbym, żeby

media, służby socjalne i policja wreszcie to pojęły i nauczyły się cierpliwie słuchać, kiedy jakieś dziecko wydaje się nieszczęśliwe czy zaburzone i nie potrafi wyjaśnić dlaczego.

Od kiedy opuściłem Norwich, nigdy więcej nie widziałem matki, Larry'ego, Barry'ego ani mojej siostry. Nigdy nie miałem wieści od Wally'ego, Marie czy ciotki Melissy. Czasem widuję się tylko z Thomasem. Bardzo długo nie chciałem oglądać się za siebie, wolałem patrzeć tylko w przyszłość. Aż nagle, kiedy skończyłem dwadzieścia pięć lat,

zdarzyło się coś niewiarygodnego. Poznałem dziewczynę, która była piękna, dobra, i co najdziwniejsze, chyba i ja się jej spodobałem. Musiało tak być, bo zgodziła się za mnie wyjść i od tamtej pory jesteśmy razem.

Nie sądziłem, że po tym, co przeszedłem, będę w stanie stworzyć normalny związek. Z początku mieliśmy problemy – z trudem odrzucałem swój bagaż z dzieciństwa – ale ona trwała przy mnie i stała się dla mnie prawdziwą bratnią duszą. Zebrałem się na odwagę, by opowiedzieć jej po kawałku, co mnie spotkało.

Przepełniło ją to przerażeniem i obrzydzeniem, ale pomogło jej zrozumieć mnie lepiej i dzięki temu pokonaliśmy problemy. Długo się zastanawialiśmy, czy powinienem pójść z tym na policję i wnieść oskarżenie. Dobrze byłoby zobaczyć wujka Douglasa, Joego i całą resztę tej pedofilskiej bandy za kratkami, ale w końcu tego nie zrobiłem. Wciąż nie ufam policji i przedstawicielom władz. Nigdy wcześniej mi nie uwierzyli, więc dlaczego miałiby uwierzyć teraz?

Mamy z żoną pięcioro dzieci i bardzo starałem się być dobrym rodzicem, jakiego sam zawsze

pragnąłem. Takim, jakim pewnie byłby mój tata, gdyby żył. Słyszy się czasem, że ludzie z taką przeszłością jak moja w dorosłym życiu stają się psychopatami, bo nie potrafią sobie poradzić z przepełniającym ich gniewem, ale ja poszedłem w przeciwnym kierunku. Po prostu postanowiłem sobie, że będę najlepszym ojcem i mężem, jakim mogę być. Wciąż wydaje mi się to cudem, ale mam bardzo szczęśliwą i zżytą rodzinę, choć nigdy nie sądziłem, że będzie mi to dane.

Szczęście, które odnalazłem w życiu rodzinnym, dało mi siłę, by

opowiedzieć moją historię w tej książce. Wiem, że nie jest to łatwa lektura, ale mam nadzieję, że tym z was, którzy dotrwali do ostatniej strony, pomoże zrozumieć zło, które wciąż istnieje w naszym społeczeństwie. Im więcej ludzi to zrozumie, tym większa jest szansa, że jakieś dziecko, które znajdzie się w takiej sytuacji, uzyska pomoc.

Podziękowania

Dziękuję Sue Quinn i ekipie C.W. Company, Alanowi i Fionie Stokesom i doktorowi R.H. Daviesowi z Coiety Clinic za wsparcie i pomoc wykraczającą poza obowiązki zawodowe.

¹ Grammar school –
w Wielkiej Brytanii szkoła
od 11. do 17. roku życia,
przygotowująca zdolniejsze
dzieci do egzaminów na
studia (przyp. tłum.).